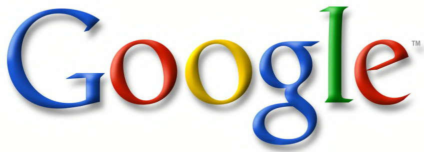
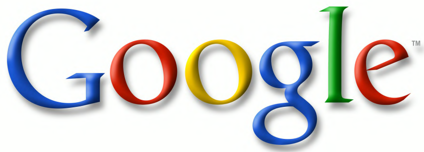








Knihy belletristické půjčují se
a v stejném čase toliko 4, z nichž
jen 2 mohou býti z téhož odboru.

Členy, kteří v čas knih nevrátí, upomene knihovník na černém prkně. Kdo vyzvání toho neuposlechne, upomene se po 8 dnech nevyplaceným listem, a kdyby ani to nepomohlo, po 14 dnech ve veřejných listech.





Slavnému
literárnímu a řečnickému
spolku Slavia

PISMA

ALEXANDRA GROZY.

v upomínku na
odevzdání praporu
dne 24 května
Sofie Podlipská
kmotra praporu



Slavnému

literárnímu a řečnickému
spolku Slavia



PISMA

ALEXANDRA GROZY.

v upomínku na
odevzdání praporu
dne 24 Května

Sofie Podlipská
kmotra praporu

POWIEŚCI LUDU

I DUMY

ALEXANDRA GROZY.

Tom I.

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.

—

1855.

O DUSZACH UMARŁYCH.

Powieść Ukraińska.

A matka płacze, a krynica płynie,
A matka płacze po swojéj dziecinie,
Po swojéj Hanusi, po swojéj Jagusi.

Snać Pan Bóg w niebie potrzebował kwiatek,
Że wziął do siebie dwoje takich dziatek;

Tę powieść ze zbioru Malorossyanina Kuleszy, przełożył M. Grabowski i umieścił w swéj rozprawie o gminnych ukraińskich podaniach, drukowanéj w 6-éj części Rubona, pisma zbiorowego, wydawanego przez Kazimierza Bujnickiego; nie mając pod ręką oryginału, przełożyłem na wiersz z przekładu p. M. Grabowskiego.

I w raju ślicznie z dziatkami takiemi,
Lecz sercu matki ciężko tu na ziemi.

Matka się w płaczu utulić nie może.
Duszno w komnacie, stanęła na dworze;
Na dworze duszno, poszła do ogródka,
Tam kwitnie róża, kwitnie niezabudka:
To—jéj Hanusia; a to—jéj Jagusia.
I żałośliwiéj jeszcze zaszlochała,
Wbiegła w komnatę, ręce załamała.

Żywy za serce żal domowych bierze,
Nad biédną panią litują się szczerze;
Lecz cóż ta litość, cóż ten żal pomoże!!
Upadnie pani na swe białe łoże,
W białą poduszkę głowę swoję schowa
I tylko jęczy, jak dusza czyscowa.

Była u pani jakby pani druga,
Stara jéj niańka, wierna stara sługa.

„O pani, serce!—stara Magda rzeknie—
Darmo z ocz waszych ta rzeczka łez cieknie,
Bo naszym dziatkom lepiéj w tamtym świecie,
Niżli nam tutaj; to może zechcecie

Posłuchać, co tam Dubinicha prawi:
Wszak ona zamierała, to niech wam objawi
Co widziała, słyszała."—Jako Magda chciała,
Dubinichę do siebie pani przywołała.
Przychodzi Dubinicha: stara, strasznie stara,
Chuda, zwyczajnie z świata tamtejszego mara.

I spyta pani: „Byłaś w tamtym świecie?"
„Ach byłam, dobrodzijko".—„Cóż widziałaś prze-
(cie?"
„Widziałam, co się dzieje z duszami zmarłemi".
„A czyś się nie widziała z dziewczętami memi?"
„Widziałam się, widziałam.... z Hanusią, Jagusią".
„Co!! z Hanusią! Jagusią! co! tyś się widziała?"...
I skoczy pani z łóżka jakby nie leżała:
„Mów, co one tam robią?!!" „A cóż, Bogu chwała
Aniołki: Matka Boska wiąże pończoszeczki,
One przed nią trzymają złote kłębuszeczki.
O! tak, tak!!! Matka Boska wiąże pończoszeczki,
One przed nią trzymają złote kłębuszeczki".

Jak usłyszy to pani, to tak sercem rada,
Że odetchnąć nie może; na kolana pada
Przed Przenajświętszéj obrazem Rodzicy,
Co tam u niéj na ścianie przyświecał w świetlicy;

Jak żywa Święta Panna z dzieciątkiem u łona,
Uśmiecha się, swym Boskim Synkiem zachwycona.
Otóż pani jak padnie, jak ręce nie złoży,
Jak nie zapłacze, to wszyscy domowi
Zapłaczą z nią, nie mogąc oprzéć się płaczowi.

„O miłosierdzia Matko—szlochając powtórzy
Biédna pani—jakżeś me serce pocieszyła,
Żeś do siebie sierotki moje przytuliła".
I znów płacze, dziękuje; powoli... powoli...
Uspokoi się nieco: snać serce mniéj boli,
Aż nareszcie weselsza, tak się odezwała:
„Serce babusiu, kiedyś ty widziała,
To powiédz, co się dzieje z zmarłemi duszami?"

„Pani gołąbko! ludzkiemi ustami
Czyż można wypowiedziéć co się dzieje
Na tamtym świecie? Niech nie pije, nie je
A tylko opowiada, i tak nie wygada
Człowiek wszystkiego. Otóż jak mi pora
Przyszła umierać, to zaraz śmierć skora
Z swą kosą w nogach przedemną stanęła".

„A jakażto śmierć?"

„Ach strasznie straszna, szkielet samy,
Ani ciała, ni skóry, a gdzie oczy, jamy.

Otóż jak mi w nogach śmierć stanęła,
To zaraz nogi, ręce, piersi i całe ciało
Zastygło, zaziębniało;
Tylko oczy nie ziębną i widzę oczyma
Że śmierć stoi“.

„I z kosą w ręku?“

„O! i kosę trzyma.
Potém jak machnie kosą, jam się wzdrygnęła,
I dusza moja pierzchnęła,
Jak ptaszek z ciała wyleciała,
Po chacie polatała,
I aż pod samą ścielą w kącie sobie siadła.
Widzę jak siedzi, w progu stoją grzechy
I z chaty nie puszczają; do okna dopadła,
A okno było wolne; daléj oknem w pole...
Lekko mi się zrobiło wyrwawszy na wolę,
Jakbym się odrodziła.

Patrzę, ja nie sama:
Jakiś mię dziad prowadzi; idę choć się boję
Zapytać dokąd idę. Aż oto psów dwoje
Tak się gryzie, tak gryzie, a dziad do mnie rzecze:
„Czy widzisz jak się gryzą, aż jucha z nich ciecze?
To nie psy, to rodzone dwa braty czumaki,

Co się pobili w stepie. Kiedy dziś świat taki,
Że rodzeni na siebie jako psy się rzucą:
Niechże oni, Bóg rzecze, we psy się obrócą,
I gryzą się, aż taki przechodzić nie będzie
Co ich rozdzieli".

Step jednaki wszędzie—
Idziemy, aż oto przed nami
Bezdnia nad bezdniami.
„Leź!" dziad prawi: „boję się" „leź!" i leźć musia-
(łam.
Podniósłszy oczy, drugi świat ujrzałam:
Siedzą umarłe dusze, wszystko podziałami,
Młodzi z młodemi, starce ze starcami,
Kto jak tutaj zasłużył taką ma zapłatę.
Kto na ubóstwo dary wysypał bogate,
To te na złotych stołach wszystkie przed nim leżą;
A kto żył swoich bliźnich łzami i grabieżą,
To pusto przed nim.

Idziem: brodzą woły
W trawie po rogi, a jak deski wychudzone;
Nieopodal pustkowie, sam tylko step goły,
A na nim takie woły pięknie dokarmione,
Że ledwie tuszę dźwigną. „Otóż, dziad powiada:

Bogacz co tylko w zbytkach szczęście swe zakłada
A biédnym nie pomaga, staje w chudéj trzodzie,
A poczciwi, ubodzy, dobroczynni ludzie,
Co od swych ust odjąwszy kęs chleba ostatni,
Ponieśli 'go żebrakom, jak zasiłek bratni:
Tu syci, napojeni".

Idziem dali... dali...
Między dwoma dębami w straszliwym się pali
Ogniu, jakowyś człowiek, a paląc się woła:
„Okryjcie mnie, bo zmarznę". Otóż, dziad wyrzecze:
Straszna zima, dmie wicher, mróz jak ogniem piecze,
Podróżny co już nogi ledwie dźwignąć zdoła,
Prosił się w jego chatę, zaklinał na Boga:
Nie puścił, i podróżny zmarzł u jego proga.
Za to sam dziś w płomieniach, a choć wiecznie gore,
Jednak umiera z zimna, jak ów w tamtą porę".

Idziemy—zdrój bieży.
Przy zdroju człowiek rozciągniony leży.
I bieży zdrój, zaledwie jego ust nie tyka;
Chce się napić, daremnie: zdrój od ust umyka.
„W imię Boga napójcie!!", ale próżno wzywa.
„Ten, rzecze dziad, we skwary, co największe żniwa,

Kropelki wody nie chciał dać dla spragnionego.
Raz żebrak skaleczały przywlókł się do niego
I rzekł: „dobry człowieku, umieram z pragnienia,
Ratuj wody kropelką!“—„Niech cię porwą kaci,
Wyleję, a nic nie dam takiéj jak ty braci.
Niecierpię darmojadów“.—Dziś fala strumienia
Przy jego ustach szumi, on pragnie jak owy
Przy jego niwie żebrak pragnął w skwar sier-
(pniowy“.
Idziemy... leży kładka nad przepaścią taką,
Że dna nie dojrzéć; weszłam, kładka się zachwiała,
I omałom, omałom w przepaść nie wleciała;
I byłabym wleciała, gdyby nie dłoń dziada:
„Ej! jeszcze ci nie pora tędy—dziad powiada—
Wróciwszy na świat, pomnij, byś rozpowiedziała,
Coś tylko tu słyszała, coś tylko zajrzała.
Jakie to są piekielne męki niech ludzie poznają,
Na straszny ostateczny sąd niech pamiętają,
Bo już Iwan w Peczerach *) wszedł w ziemię po szyję,
A jak się nie poprawią, to się cały skryje,
A wtedy koniec światu. Już tak przez swe złości,
Strasznie się odrodziła ludzka kość od kości.

(*) W pieczarach kijowskich.

Za dawnych wieków ludzie dłużéj żyli,
Większéj siły i wzrostem ogromniejsi byli;
Teraz coraz drobnieją, i przyjdzie do tego,
Że u piecyska jednego
Dwunastu młocków stanie do młócenia.
Niegdyś żyto z samego wiérzchu do korzenia
Nie było tylko kłosem; ale jak po świecie
Bóg chodził, to chcąc ludzką uczynność sprobo-
(wać,
Jak dziad pod jedną chatą jął chleba żebrować.
Diabeł doradził łukawéj kobiécie
Takiemu żebrakowi kęsa pożałować.
Bóg się rozgniewał, wziął kłos i chciał ziarna
Tak okruszyć, ażeby tylko słoma marna
Została z żyta; ale podbiegł pies domowy,
„A mnież, o Panie! wyrzekł płaczliwemi słowy,
Mnież za co ginąć z głodu?“ Nad psem się zlitował
Pan Bóg, i trochę ziarna na słomie zachował.
Otóż za nieużytość, coraz w cięższym trudzie
Żyją odtąd psią cząstką ukarani ludzie“.

Idziemy daléj... aż oto naszyniec,
Stoi do pasa w żarze, ten Semen Babiniec;
On zamierał, gdy jeszcze hulał z parobkami.
Poznałam go i rzekłam: „Semenie! Bóg z wami!

A za co takie straszne katusze cierpiecie".
A on na to: „Babusiu, jak ja zamierałem,
Będąc jeszcze parobkiem, to po drugim świecie
Wszędzie chodziłem, wszystkie męki oglądałem.
A potém wszedłem do miejsca takiego,
Kędy siedząc dziad jakiś, z łyka lipowego
Odzierał po dwa łyka i w pary zwięzował
I zawieszał osobno. I rzekłem do niego:
„Co dziadusiu robicie?"—„Co! parym parował".
„A mojaż jest tu para?"—„Jest, mówi, to ona".
I związał i powiesił pomiędzy drugiemi.
„A jakże ja ją poznam?"—„Gdy dniami świętemi
Pójdziesz na tańce, to ona
Skoro muzyka zagra, piérwsza w taniec ruszy,
Bo ochocza do tańca: to ona, twa para".
Dobrze, że wiem, tak sobie pomyślałem w duszy:
Jeżeli będzie brzydka albo stara,
To wezmę kamień i łeb jéj rozsadzę;
Będzie krasna, to zaraz swaty poprowadzę.
Tak się stało: w dzień święty zagrała muzyka,
Wychodzę wziąwszy kamień; właśnie się wymyka
Jakaś naprzód, lecz tak się szpetną być wydała,
Że odemnie kamieniem zaraz w łeb dostała.
A sam w nogi. Chodziłem może przez dwa lata,

Darmo z sioła do sioła posyłając swata;
Kiedy tak, niechaj chodzą od chaty do chaty,
A taki dla mnie żonę znajdą swaty.
Otóż i sioło; idę sam do piérwszéj chaty,
Patrzę, dziewczyna ładna, czy tak mi się zdaje:
Posłałem swaty, przecież dla mnie się dostaje,
Żyć z nią zacząłem. Raz na dniu świątecznym,
Ukrywszy się kobiéty przed skwarem słonecznym
W cieniu drzew, jedna drugiéj warkocz rozczesuje.
Jedna czesząc mą żonę: „zkąd masz, zapytuje,
Ten szram na głowie?“—A ona jéj prawi:
„Raz świętem, na muzykach, poszłam sobie w taniec,
Aż się wyrywa jakiś opętaniec,
Ugodzi mnie kamieniem i głowę rozkrwawi:
Mało nie ubił, ledwie mnie odratowano“.
Słyszę to i poznaję, że ona ta para,
Z którą, za wolą Boską było mnie związano.
Otóż dziś taka ciężka spotyka mnie kara
Za to, żem się opierał świętéj Bożéj woli“.

I długo, ile stara pamięć jéj pozwoli,
Dubinicha swéj pani o tym świecie gada,
I długo jeszcze gada; pani słucha rada,
A w końcu się zapyta: „Gołąbko babusio!

Widziałaś się ty z moją Hanusią, Jagusią?".
—„Pani serce, jak teraz z wami oko w oko:
W raju wysoko, wysoko,
Najświętsza Panna wiąże pończoszeczki,
One przed nią trzymają złote kłębuszeczki".

MARTYN.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

MARTYN.

Kruty ne werty
Treba umerty.

Żył sobie na wsi pono pod Litynem
Ubogi chłopek, zwano go Martynem.
Równie ubogich niemało na świecie,
Lecz nieszczęśliwych jak on, nie znajdziecie;
Bo to co roku, to nieurodzaje,
To jakieś szkody, straty Pan Bóg daje;
Ale nad wszystkie i szkody i straty
Straszniejszą była śmierć dla jego chaty.
Nasamprzód jego i żony rodzice,
Znowu za niemi bracia i siostrzyce,
To wuje, ciotki, to znowu za niemi
Ledwie coś z dzieci odrośnie od ziemi

Zaraz na cmentarz; i Martyna chata
Przed laty taka ludna i bogata,
Zostanie właśnie jakby pustka dzika,
Od któréj człowiek, ba! i pies unika.

Ostatnie dziecko tylko co pochował,
Ostatnim kęskiem ubóstwo częstował;
Wtém się na nocleg podróżny zaprasza.
Przyjął go Martyn; przyjąwszy przynasza
Chléb pożyczony, misę dobréj strawy,
I jeszcze prosi, aby był łaskawy,
Nie gardząc chlebem powszednim i solą,
Raczył wybaczyć, gdy mu nie dozwolą
Obecne ciężkie smutki i kłopoty,
Usłużyć według serca i ochoty.

Nazajutrz idąc w swą drogę podróżny,
Rzekł do Martyna: „Jestem tobie dłużny
„Dobry człowiecze, za twe ugoszczenie;
„Wiem, żeś na moję nie gonił kieszenię,
„Aleś mi służył z szczeréj gościnności:
„To przyjm odemnie, w zapłacie wdzięczności
„Mą dobrą radę; a wiédz, dobra rada
„Częstokroć lepiéj niżli grosz się nada.

„Niezawsze pustką będzie twoja chata,
„Syn ci się znajdzie jeszcze tego lata;
„Ale na kuma nie wybierz sąsiada,
„Lecz na rozdroże idź, tam znajdziesz dziada,
„Proś go na kuma, a z tym kumem dziadem
„Lepiéj ci będzie, niż z każdym sąsiadem.“

Poszedł podróżny... Ot lato, i w lecie
Rodzi się właśnie Martynowi dziecie;
Przypomniał sobie gościa, jego słowa,
I zaraz poszedł gdzie droga krzyżowa,
I znalazł dziada: kaleka ubogi
Siedział milczący u krzyżowéj drogi,
A sękowaty przy nim kij podróżny
I mały worek, zapewne że próżny.

Martyn do niego zbliża się i rzecze:
—„Bóg mi dał syna, wy dobry człowiecze
Chciejcie być kumem“—Chętnie, dziad odpowi,
I poszli do wsi, i ojcu popowi
Przynieśli dziécię i pięknie ochrzcili.
A gdy do domu dziécię odnosili,
Dziad rzekł: „Martynie, wiem żeś człek poczciwy
„Ale ubogi, bardzo nieszczęśliwy;

„Więc odtąd będziesz szczęśliwym, znachorem,
„Wielkim znachorem, cudownym doktorem.“
—„Ja! znachor, doktor”... „A tak nie inaczy,
„Odtąd śmierć z tobą we spółkę wejść raczy.
„Jeśli wezwany przyjdziesz do chorego
„A śmierć stojącą ujrzysz w nogach jego,
„To nie czekając daj krzyżyk na drogę;
„Lecz gdy stojącą w głowach śmierć zobaczysz,
„To za lekarstwo cokolwiek przeznaczysz
„Odrazu zleczysz z najcięższéj choroby.
„Bywaj zdrów kumie, od dzisiejszéj doby
„Za lat trzydzieści przyjdziesz na rozdroże,
„A ciekawego coś zobaczysz może.“

Zniknął dziad; Martyn stanął zadziwiony,
Ale go zbudził płacz sąsiada żony:
Umierał sąsiad w obłożnéj chorobie,
Dzieci jak maku... Martyn myśli sobie:
Gdyby to prawda, co dziad mi powiedział,
Gdybym poradzić co tym biédnym wiedział.
I do sąsiada wszedł, aż oto stoi
Śmierć w jego głowach... „O sąsiedzi moi!!”
Zawołał Martyn serdecznie wzruszony,
„Sąsiad spi długim niewczasem znużony

„A wy myślicie, że on już nie żywy.
„Dajcie mu do rąk trzy listki pokrzywy
„A zaraz wstanie... No wstawaj sąsiedzie."
I sąsiad ciężką głowę swą podwiedzie,
Podwiedzie nogi, i ręce odwinie:
„Mocnom spał (rzecze), sąsiedzie Martynie:
„Pójdziem na piwo, coś mi pachnie piwo."
I poszli... a lud patrząc na to dziwo
Nie wierzy sobie, i szepce do ucha.
I wnet po świecie obleci wieść głucha,
Że Martyn znachor, a jak do znachora,
Pół świata zbiegnie.

Przejdzie jakaś pora,
A już Martyna nietylko kmiotkowie,
Lecz nawet znają z pałaców panowie.
Ba! i sam Martyn w jakim mieszka dworze!
Jak pan już chodzi w niemieckim ubiorze;
Rozumnie mówi. Nietyle się zmieni
Wąż, co się z skóry zimowéj wyleni,
Ile się zmieni on w zwierzchniéj postaci:
Gdzieś zmarszczki z czoła, z rąk skorupę straci,
Nabierze ciała, rumieńca dostanie.
A jego żona... to pani nad panie;

A jego dzieci, te za rosą Bożą
Jak pszczółki w ulu dziwnie się rozmnożą.

W sławie, dostatkach i mnogiéj rodzinie
Ot Martynowi trzydzieści lat spłynie.
Był w najweselszym jak zawsze humorze,
Ni ztąd, ni zowąd wyszedł na rozdroże;
A na rozdrożu tak dawno widziany
Któż taki stoi? Ha! dziad kum kochany.
Martyn się rzuci na szyję kumowi,
Ściska, całuje, a całując mówi
O swojém szczęściu, o swoich dostatkach,
O wielkim dworze, i o ślicznych dziatkach,
I prosi, by on uczcił jego progi.
—„O mój doktorze! chcesz by dziad ubogi
Wszedł w takie państwo; wreszcie kiedyś może
Ja zawędruję na twoje podworze,
Ale mam prawo żądać, byś ty wprzódy
Zechciał do mojéj zawitać gospody.“
—„A z całéj duszy.“—

Zalegał rozdroże
Ogromny kamień, co grób zająć może.
Dziad nogą trącił, i kamień odskoczył,
*I loch ot*worzył. Dziad do lochu wkroczył,

Wkroczył i Martyn; i szli wśród ciemnicy,
Aż się znaleźli w niezmiernéj świetlicy
W któréj jak zajrzysz to świéca przy świécy:
Jedne z nich widać tylko zapalono,
Drugie w połowie jarkim ogniem płoną,
Trzecie się zdaje, że ot, ot zagasną,
A jednak świecą; czwarte świecąc jasno
Razem zgasały; piąte w jednéj chwili
Niewidni słudzy palili, gasili.

Zdziwiony Martyn zapytuje dziada:
—„Coby to było?“ Dziad mu odpowiada:
—„To życia ludzkie; popod całą ziemią,
„Wszędzie gdzie tylko ludzie się rozplemią
„Są takie lochy, takie światła płoną.
„Każdy człek ma tu świécę zapaloną:
„Póki téj świécy, póty życia jego.“
—„Gdzież proszę świéca żywota mojego?“
—„A zobacz... oto dopala się właśnie.“
I ujrzy Martyn choć płonący jaśnie,
Ale dogarek bardzo już nieznaczny;
Zlęknie się, a dziad:—„O jakżeś dziwaczny
„Mój kumie, czybyś zechciał żyć na wieki?
„Wszak żyłeś tyle, i jeszcze daleki

„Czas twojéj śmierci; bo stoi w twéj doli,
„Że twoja świéca pali się powoli,
„A choć powoli, jednak kiedyś spłonie.
„Bądź zdrów mój kumie, nie śmierć przy swym
(zgonie
„Lecz mnie zobaczysz.“...

Znów puste rozdroże...
W niemiłym Martyn powraca humorze;
Osiada w domu, ucieka od świata,
Czekając śmierci pędzi nudne lata;
W końcu zaniemógł. Choć chory nie chory,
Z wszystkich stron jemu zwieziono doktory:
Radzą a leczą, leczą a radzą.
Martyn już widzi, gdzie go zaprowadzą
Te mądre rady, a tu żyć mu chce się;
I zaczął myśleć, i myśl mu przyniesie
Fortel, co może śmierć oszukać zdarzy.
To przywoławszy tokarzy, stolarzy,
Każe dla siebie takie zrobić łoże,
Co w okamgnieniu okręcić się może.

Przynieśli łoże, on w niém się położył,
I doświadczenie sto razy powtórzył.

I myśli sobie: Niechże się dziad zjawi,
Oho! nielada ze mną się nabawi.
On mnie za nogi, a tu moja głowa;
Może się jaka zrobi z nim umowa,
Jaki dziesiątek lat się wytarguje.
I znowu łoża swojego sprobuje,
Kręci się, wierci, aż lubo, aż miło...
I nowe życie w Martyna wstąpiło:
Wesół, ochoczy. Ale cóż u kata?...
Jakażto w nogach bestya brodata?
To dziad kum stoi... Więc nietracąc głowy
Martyn z swém łożem zaczął kurs młynkowy:
Lecz choć się wierci, bieg dwoi i troi,
Dziad kum przy nogach i stoi i stoi.
Kiedy już Martyn na siłach upada,
Dziad kum do niego śmiejąc się powiada:
„Kumie Martynie, *kruty ne werty*,
„Nadeszła pora, *treba umerty.*“
Martyn ź przestrachu z wszystkich sił się rzucił
I z swém się łożem na ziemię wywrócił;
Śmiejąc się przyszedł do niego kum stary,
I spokojnego położył na mary.

GŁUCHE JEZIORO. (*)

Czy ksiądz z kropidłem po borze chodził,
Że bór tak grzyby, jagody zrodził?
I z karzinkami (**), z starców, z młodzieży
Ledwie dzień, każdy do boru bieży.
Lecz żaden chłopiec, baba, dziewczyna
Nie zbiera tyle, co zbiera Justyna,

(*). W gubernii witebskiéj w powiecie siebieżskim, w majątku Orzechowno jest jezioro przezwane Głuche, dlatego, że jakoby we dnie nigdy i niczém te wody się nie poruszą. W tém tylko jedném jeziorze mogą się znajdywać czarne karasie, (widziałem je, nie są rzeczywiście czarne, ale ciemnego koloru). Okoliczni wieśniacy utrzymują, że w dzień biały żadnéj ryby w tém jeziorze złowić nie można, i pospolicie na połów wychodzą w nocy, i to z taką ostrożnością, aby nietylko nikt nie widział, ale aby się nie domyślał, że do Głuchego idą jeziora. Miejscowe podania podały mi treść do téj powieści.

(**) *Karzinka* wyraz miejscowy, (koszyk).

Justyna córka ze wdowiéj chaty,
Hoża i kraśna, kwiatek nad kwiaty.
Ona, zaledwie jutrznia zaświta,
Zaraz z posłania swego się schwyta,
Bieży do boru, błądzi po borze,
Wraca do domu o póżnéj porze.

Zaczęły kumy szeptać do ucha,
A w końcu wieść się rozniesie głucha,
Że w bór Justynę nie grzyb, jagody,
A tylko rycerz przywabia młody.
Któżby ten rycerz?... a któż odgadnie!
Ale widziały kumy dokładnie,
Jak oni z sobą błądzą po lesie,
Ztąd zdobycz, któréj tyle przyniesie.
I jęły kumy w lesie czatować,
Jakby z rycerzem Justkę społować.
Skryły się w rowie, popod maliny,
Strzegły rycerza, strzegły Justyny.

Tup, tup po stecce (*), szast, szast jelniakiem (**)
I któżto taki przelata ptakiem;

(*) *Stecka* wyraz miejscowy, ścieżka.
(**) *Jelniak*, młody las śpilkowy, czy sosnowy, czy jodłowy.

Przelata ptakiem, i z-rannéj rosy
Otrzęsa jelniak, otrzęsa wrzosy.
—To ona—kuma kumie szeptała,
A Justka daléj biegła, szastała.
A kędy bór się rozdał wysoki,
A kurhan swoje zielone boki
Złocił w jutrzenki światło zaranie,
Justka stanęła i na kurhanie
Stojąc wołała: „O złoto-włosy!
O krasno-licy, rzuć twe niebiosy!
Pietuchy (*) pieją jak każda chata,
Na tokowisko cietrzew przylata,
Umilkła sowa, zacznie skowronek,
Mgła się podnosi, budzi się dzionek.
Bez ciebie miły zmrozi mnie rosa,
Rzuciłam chatkę, ty przez niebiosa
Pospieszaj miły, oh! jak drżę cała.“

I z niebios jasna gwiazda zleciała,
Spadła na kurhan, i opasała
Kurhan cudowną wstęgą tęczową.
Już słońce weszło nad lasu głową,

(*) *Pietuch* wyraz miejscowy, (kogut).

I coraz, coraz stąpało w górę;
Rosą ku ziemi spadły mgły bure,
Mgły spadły, ale siedmio-obręczy
Jak stanął, stoi cudny łuk tęczy.

Łuk tęczy stoi... Kumy ciekawe
Szły się zakradać przez bujną trawę,
Przez bujną trawę i gąszcze krzewu;
I chyłkiem, chyłkiem z drzewa ku drzewu,
Już pod kurhanem... Patrzą, aż stoi
Justka, a przy niéj rycerz we zbroi.

Chociaż błyszcząca straszy zbroica,
Lecz snać rycerza niestraszne lica,
Bo Justka z jego hożéj jagody,
Jak pszczółka z kwiatu wyssysa miody;
I ona jemu kwiat pełny miodu,
Kwiat cudny, krasa wiosny ogrodu.
Przy boku szabla rycerza błyska,
Lecz co mu szabla; on w ręku ściska
Nie stal wyziębłą, a Justki dłonie:
Ten śniég, gdzie młoda krew ogniem płonie.

—„Złoty rycerzu, rzekła Justyna—
Już słońce z niebios palić zaczyna,

A tyś nie rzucił twego posiewu;
Las się rozlega od śmiechu, śpiewu,
Jak wymiótł sioło: stary i młody
Przyszedł na pewno po grzyb jagody,
Tyś ich nauczył takiéj pewności,
Tę zdobycz mają z twéj opatrzności;
I teraz nie skąp im daru swego.
Ty miły nie znasz życia naszego!
Kiedy nam posiew skradną złe czasy,
A głuchą pustką staną twe lasy:
Wtedy zazdrościm lada stworzeniom!
Wtedy zazdrościm drzewom, kamieniom!
Stokroć śmierć milsza, niż żywot głodny:
O miły! rzuć im twój posiew płodny,
Rzuć, ja cię proszę.“

—„O moja miła!
„Prosisz, więc rzucę; wiédz, żeś prosiła
Za niewdzięczniki, za twemi wrogi.“
—„Cóż ja im winna? O nie mój drogi!”
Rycerz się zaśmiał, przywstał na nogi,
Wyciągnął ręce: ręce mu rosną,
Wyszły za kurhan aż gdzie pod sosną

Dwie kumy leżą ukryte w wrzosy,
I chwyta obie za długie kosy,
I ciągnie w górę...

—„Ach kumy moje
Coście zrobiły; ach kumy moje!
Przebacz im miły... przebacz im miły.“
I zawstydzone i wylęknione
Staną na ziemi kumy spuszczone,
A potém daléj w nogi po lesie:
Wstyd je poniesie, strach je poniesie.

—„O strzeż się miła, bo zgubią ciebie!
A teraz tęczo wytrząśnij z siebie
Twe płodne siewy.“ I przebudzona
Wstrząsła się tęcza, i z swego łona
Siedmio-kolorne rzuciła siewy:
I w różny owoc mchy, piaski, krzewy
Ubrane staną, a lud ochoczy
Między się lasy, błonia roztoczy,
Pełen radości, pełen swobody
Zbiera w karzinki grzyby, jagody.

Justka nie zbiera, bo nie ma czasu
Razem z innemi błądzić śród lasu;

To ona zbiera miłego słowa,
Zbiera i w młodém swěm sercu chowa:
O dziwne słowa.

„Gdzie Rubon (*) stary
Pustemi dzisiaj bieży obszary,
Były tam lasy nieprzechodzone,
Bogami razem z ziemią stworzone.
A z między lasów, z brzegów Rubona,
Jak na strażnicę tych stron wzniesiona
Góra skaliste podjęła czoło,
A z góry na świat patrzał wesoło
Dworzec modrzewi, narodu dzieło,
W którym sto królów dni swoje wzięło;
Gdziem i ja szczęsny był w méj młodości,
A klałem ciężki los mój w starości.

„W zielonym wieńcu dworzec stał wieki;
Ale wędrowiec przyszedł daleki,
Niezgodę posiał pomiędzy braci.
Rubon swe lasy i dworzec straci,
I smutny pyta bieżąc w pustkowie:
Ach! gdzież są moi leśni synowie!

(*) *Rubon* stare nazwisko Dźwiny.

„Gdy było zagrzmi mój róg bawoli,
Lenników moich *ćma* (*) mnie okoli;
Za lennikami narodu burza
Chmurą do mego ciągnie podwórza.
Ja mém skinieniem tę burzę zbrojną
Wiodę na łowy, posyłam z wojną:
A nim wywiodę, to dla ochoty
Turzemi rogi dzielę miód złoty,
Dziczyzną długie zastawiam stoły,
I król był szczęsny i lud wesoły.

„A dobre Bogi z swych pięknych lasów
Coraz pomyślnych mnożyły czasów;
Świat był wesoły, lud był wesoły,
Bo człowiek mieszkał z bogi we społy.

„Pędzi wędrowiec posępnéj twarzy,
Lasy wytrzebi, bogi znieważy;
Choć sam w zbroicy jak do rozboju,
Ogłasza jednak słowa pokoju.

„I grożąc mieczem, łudząc słów miodem,
Pokłóci króla z swoim narodem,

(*) Ćma, wyraz miejscowy, oznacza tłum.

I czego nigdy nie było wprzódy,
W rodzinne gniazdo rzuci niezgody.
Syn mój najpiérwszy ze mną się skłóci,
Najpiérwsza córka bogi me rzuci.

„Widząc jak coraz skradają wrogi
Z mych pięknych lasów me dobre bogi,
Jak lud mój ku mnie stygnie w miłości,
Nowy obyczaj w domu zagości;
To pełen żalu, sromu i trwogi,
Na cztery wiatry w bawole rogi
Kazałem zagrzmieć, lud mój zgromadzić,
I przeciw złemu radzić, zaradzić.

„Rogi bawole grzmiały i grzmiały,
A dworzec króla stał opuściały:
Stare się tylko przywlokły sługi,
I wajdelota jeden i drugi.

„I taż drużyna, to mój lud cały!
Krwawe z mych oczu łzy się polały:
Z czterech stron żagwi nakładszy stosy
Puściłem ojców zamek w niebiosy (*).

(*) Gdzie dziś szczątki murowanego zamku kokenhauzkiego, tam stał dworzec drewniany łotewskiego królika Wesceka (zapewne Wieszczka), który nie mogąc oprzeć się potędze Krzyżaków, opuścił swój kraj udając się w głąb lasów, spaliwszy wprzód zamek swych ojców.

A sam z drużyną, z bogami memi
Wyszedłem szukać szczęśliwszéj ziemi;
Gdzieby wróg jeszcze nie stawił nogi,
Nietknięte lasy znalazły bogi.
Aliści razem z mojego ciała,
Jak ptak spłoszony, starość zleciała,
A powróciła drużka moja młoda,
Myśli swoboda, serca swoboda.

„Uderzę w grzmiący mój róg bawoli;
I chmurą wierny lud mnie okoli,
Nie ten posępny, com go zostawił,
Lecz co z ojcami memi się bawił,
Co z pogrzebnego ku bogom stosa
Na skrzydłach ognia wzleciał w niebiosa.
Grają ogary—duszy ochota,
Krzyczą sokoły—dłoni pieszczota:
Ogary, com je bardziéj miłował,
Sokoły com je sobie wychował.
I biegnę w lasy nieprzechodzone,
I biję zwierzę nieprzepłoszone;
Turzemi rogi spijając miody,
Wieczne z swym ludem prowadzę gody.

Wesół, szczęśliwy, czasem dla zmiany
Zbiegnę na padoł gdzie wy ziemiany,
I z mojéj tęczy rzucę posiewy
Na wasze piaski, mchy, krzewy;
Bo mnie ojcowskie me serce boli,
Na tyle waszéj nędzy, niedoli.

„Czasem przy lubéj jak ty dziewczynie,
Jedna i druga chwila mi spłynie;
Zwłaszcza, gdy krasa jak ta u ciebie,
Swą niewinnością nęci do siebie,
A przynęciwszy do siebie, trzyma
Lica urokiem, jasnemi oczyma.“

Rzekłszy to... zniknął. Justka z kurhana
I zadziwiona, i pomieszana
Zeszedłszy, prosto spieszy do sioła.
Aż tu ją ciżba ściśnie dokoła:
„Ha czarownico! diablico! — woła —
To to upały takie przez ciebie,
To to ty zorzę zwodzisz do siebie,
Że jéj tak długo nie masz na niebie!
Przez ciebie zginął nasz deszcz i rosa,
Ha czarownico!“ — I wnet do stosa
Ciągną Justynę, wiążą do pala.

Wtém chmura zbiegnie, i deszczu fala
Zda się że morze na ziemię zwala,
Że świat zaleje. Świat został światem,
Ale gdzie było sioło, to na tém
Miejscu, zamknięte lasem wzgórzami
Stanie jezioro z głuchemi wodami,
Bo się w niém we dnie rybka nie rzuci,
Ani ptak jego toni zakłóci,
A nawet burza po jego wodzie
Tak się prześlizga jakby po lodzie.

Ale późniejszą, wieczorną porą,
Zaczyna zlekka szumieć jezioro,
Rybka na jego przezroczu pluśnie.
A gdy już cały, żywy świat uśnie,
Wtedy na fali cudnéj urody
Wchodzi dziewica i rycerz młody,
I ręka w ręku w miesięcznéj bieli
Idą, gdzie kurhan nad las wystrzeli.
A na kurhanie siedmio-obręczy
Z niebios ku ziemi rzucą łuk tęczy,
A z tęczy sieją swe płodne siewy
Na okoliczne piaski, mchy, krzewy.

Kiedy tam oni, to wtedy skoro
Niosą rybacy sięci w jezioro;
Niosą rybacy w jezioro więcierze,
I biorą ryby, których nikt nie strzeże.

Jezioro szumi każdego wieczora;
Ale nie jedna przeminie pora,
Nie jeden miesiąc i rok przeminie,
Nim cudna para z jeziora wypłynie.
Wtedy lud biédny, swe błędne oczy
O jakże wodzi po wód przezroczy,
Jakże się modli!... Aż umodlona
Cudowna para błyśnie z wód łona,
Wionie na kurhan, i swe posiewy
Rzuci na piaski, mchy, krzewy.

MARYNA.

POWIEŚĆ BIAŁORUSKA.

MARYNA.

I.

Poza borem, przy jeziorze,
Któż tam żyje w białym dworze?
Nie malina, nie kalina,
Lecz wiosenny kwiat—Maryna.
Nie rość róży na dyrwanach! (*)
Oj, nie pustki tam w tych ścianach,
Oj nie pustki w ich komorze:
Strojno, huczno w białym dworze.
Grzmią koniki kopytami,
A rycerze szabelkami;
Grzmią rycerze szabelkami,
Piją miody puharami.

(*) *Dyrwanami* na Białorusi nazywają pola zdziczałe.

A Maryna z łzą w źrenicy
Na posadzie w swéj świetlicy;
Bojarki ją rozplatają,
Rozplatając tak śpiewają:

„Znać z przyboru, znać z rozpłaty,
Że dwór wielki i bogaty;
Lecz w rozpłacie, lecz w przyborze,
Nie masz ładu na twym dworze.
Wstawaj, matko!—twoje dziecię
Rusą kosę już rozplecie;
Nie masz sprawy w twoim domu,
Błogosławić nie ma komu“.
„Oj radabym dom mój sprawić,
Moje dziécię błogosławić,
Ale mowę śmierć odjęła,
Sine usta wiecznie ścięła.
Chcę otworzyć moje oczy,
Lecz się żółty piasek toczy;
Chcę do góry podnieść głowę,
Cisną deski ją dębowe.
Dziécię moje! niechaj ciebie
Błogosławi Bóg na niebie,

I Przeczysta, Aniołowie,
I sąsiedzi i druhowie".

. . . .

„U zielonéj, u dąbrowy,
Taki stoi las dębowy,
Ale suchy, przepróchniały;
Gdybyż jeden dąb był cały,
Coby cienia jéj udzielił,
Coby szumem rozweselił!
Maryno! na twe wesele
Zebrało się baćków wiele:
Rodzonego ni jednego,
By na posad cię posadził,
Błogosławił i poradził.

. . . .

„Sad zielony pod wrotyma,
A w sadzie nikogo nie ma
Krom Maryny, co hulała,
Gibkie ławki obmywała,
I bojarki rozsadzała,
I zieloną rutę siała.
Sam dziewiąty Wasil jedzie,
Koniki do sadu wiedzie,

Gibkich ławek nawywraca,
Zieła ruty nawytłacza;
Nawytłacza ruty ziela,
Gołębi siwych nastrzela,
I bojarki precz rozgoni,
A Marynę dłonią w dłoni
Za sad wiedzie, za zielony,
W inne kraje, w inne strony"

. . . .

„A w tych krajach słonko świeci,
Szumią lasy, płyną wody;
Z wiosną pole, ług się kwieci,
Z zimą śniegi, z zimą lody.
I tak wszystko jak bywało,
Jak tam w domu pozostało,
Okrom szczęścia zarannego,
Krom wesela dziecinnego.
Gdy bojarki rozplatały,
Znać nieszczerze jéj śpiewały:
Błogosławić było komu,
Chć nie było matki w domu.
Nieszczerze błogosławili,
Gdy szczęściem nie nadzielili.

Dwór Wasila murowany,
Żelazami kratowany,
Rozlega się tylko jękiem,
I psów wyciem, kajdan brzękiem;
Za jaskółki, za słowiki
Wrzeszczą w dzień i w noc puszczyki,
A za pieśni, chorowody,
Tylko bluźni, klnie pan-młody.
Ledwie zorza zabieleje,
Już on z psami leci w knieje,
Dzikie zwierze w kniei bije,
I sam w kniei jak zwierz żyje;
Nocą wraca w swoje progi,
Groźny, straszny, jak zwierz srogi.

Matko! matko! twoje dziecię
Sierota w szerokim świecie,
Nie ma żalu z kim podzielić,
Czém swe serce rozweselić.
Są tu ludzie, lecz się zdaje,
Że im serca niedostaje;
Są niebiosy, lecz w niebiosy
Nie idą tutejsze głosy.

Gdyby ludzie serce mieli,
A tam jęki te słyszeli,
Wszystkoby się przemieniło,
I inaczéj tutaj było.

Włosna ziemi niesie kwiecie,
A Marynie śliczne dziecię,
Błękit wody i obłoku
Odmaluje w jasném oku,
A uśmiechy, wdzięki swoje
Zaszczepi w jagódek dwoje.
Lekki, krasny jak motylek
Rośnie maleńki Wasilek;
I Marynie się wydaje,
Że weselsze słońce wstaje.
Za puszczyki, jak dzień biały,
Jaskółeczki świergotały,
I wieczorem po olszynie
Wdzięczna pieśń słowika płynie.
I weseléj, raźniéj w domu...
Droga matko! było komu
Błogosławić twoje dziecię:
Jest dla niego szczęście w świecie.
Znać szczerze błogosławili,
Kiedy szczęściem nadzielili.

II.

Jak sen mija szczęście człeka!...
Raz Maryna długo czeka,
Nim do domu mąż powróci;
Nie powraca, więc się smuci,
Bo przywykła już do niego:
Widziała w nim męża swego,
Ojca syna kochanego.
Nie wraca dzień jeden, drugi,
Rozesłała wierne sługi,
Wierne sługi powrócili,
O panu nic nie mówili.
Maryna się w łzach zalewa,
Luli, synku, luli, śpiewa,
Luli, luli, moje złotko,
Luli, maleńka sierotko!...
Luli! A wtém od pogoni
Podworzec cały zadzwoni:
„Pan wziął drugą żonę sobie,
Maryno! umiérać tobie“.
„A jaż sama karmię dziécię,
Dokarmić mi pozwolicie.
Niepotrzebną gdybym była,
Bożaby mnie śmierć zabiła.



MARYNA.

POWIEŚĆ BIAŁORUSKA.

A te, jakby dla królowy
Znoszą dla niéj karm takowy.
Lecz Maryna chociaż syta,
I puchami choć okryta,
Czyto w wieczór, czyto z rana,
Jednostajnie zapłakana.
Raz ją gęsi zapytają:
„Czego łzy cię oblewają?
Czy ty może z nas nię rada,
Czy ci w sercu dawna biada?“
„O! gdzietam ja z was nie rada,
Lecz w mém sercu dawna biada.
Rodzice mnie zhodowali,
Ale cudzy męża dali;
Nie, nie męża, ale pana,
Dla wielkiego mego wiana.
Niechaj sobie byłby panem,
I cieszył się mojém wianem,
Lecz na cóż mi wydarł dziecko,
I chciał zadać śmierć zbójecką?
Nie cieszy mnie moje życie,
Kiedy nie wiem gdzie me dziécię.
Oddane mamkom nieboże,
Już w mogiłce gnije może!“

Na to biała gąska jedna
Rzekła: „Nie płacz, matko biédna!
Jeśli synek twój nie w grobie,
O nim wieść przyniosę tobie“.
I lekkiemi jak wiatr pióry,
Poleciała popod chmury.
Matka, wznosząc dłoń do Boga,
Woła za nią: putna droga!
Putna droga za nią woła. (*)
Gąska leci ponad sioła,
Ponad zamki, ponad dwory.

A był wieczór letniéj pory
Cichy, ciepły; w jednym dworze
Mamka z dzieckiem na podworze
I wychodzi, i usiada,
I do dziecka tak zagada:
„Igraj, igraj, moje złotko,
Igraj śliczna ma sierotko!

(*) Do odlatujących w jesieni dzikich gęsi, zwykł lud na Białéj Rusi wołać: putna doroha, v. putiom doroha (szczęśliwa droga), i tém życzeniem przeprowadza wędrownego ptaka z okolic do okolic. W jesieni roku 1841, przejeżdżałem powiat siebieżski. Razem naokoło ozwały się liczne wołania. Byłyto właśnie te pożegnalne głosy. Współtowarzysz podróży, M. W. pokazał mi przelatujący sznur gęsi i o zwyczaju opowiedział. W następstwie czasu, miejscowe tradycye podały mi treść do napisania téj powiastki.

Jak wyrośniesz, co daj Boże,
Nie zapomnisz o mnie może.
Za stołem u ciebie siędę,
O twéj matce mówić będę,
O twéj matce, jak płakała,
Kiedy ciebie porzucała“.
Gąska mamki podsłuchała,
Do dzieciny przyleciała,
Różne rzeczy świergotała.
I tak codzień, byle pora,
Mamka przychodzi ze dwora,
Czeka z dzieckiem, zanim biała
Do nich gąska przyleciała;
Przyleciała, i od matki
Przyniosła dziecinie kwiatki,
Mamce dobre pozdrowienie,
I paciorki, i pierścienie.

Wasil z rodu książęcego
Żonę wziął do domu swego.
Zmieniły się obyczaje:
Teraz nie on drugim łaje,
Lecz złajany, zbeszczeszczony,
Sam igrzyskiem stał się żony.

Jego zbrodnia—jéj przysłowiem.
Wasil żyje sercem wdowiem:
Trwoga zbrodni, kary trwoga,
I od ludzi i od Boga
Coraz gorzéj go odstrasza,
Ze snu budzi, z łoża spłasza.

Mamka z dzieckiem raz ze dwora
Dawno wyszła; wracać pora,
Chłodna rosa dziecku szkodzi.
Czemuż mamka nie przychodzi?
Nie ma, nie ma, czyż nie wróci?
Ojciec szczerze się zasmuci,
A macocha, jak macocha,
Własne dzieci tylko kocha.

III.

Zieleni się ziemia majem.
U Maryny świat ten rajem,
Bo ot przy niéj jéj Wasilek,
Lekki, krasny, jak motylek:
To swawoli między kwiecie,
To rozmowy swoje plecie,
To strudzony, umęczony,
U jéj szyi zawieszony,

Przy jéj łonie, pod jéj okiem,
Cicho zaśnie snem głębokim;
A ta nad nim się rozpływa,
Tak wesoła, tak szczęśliwa.

Na swobodzie, na weselu,
Nie trza było i lat wielu,
By Wasilek przerósł męża
Do rumaka, do oręża.
Już nudne mu swoje strony,
Już nudny mu brzeg zielony,
I zabawy nudne młode.
Rzekłbyś, księżyc w niepogodę
Taki smutny, zasępiony.

Biała gąska raz doń rzekła:
„Twegom smutku ja dociekła.
Nie żyć tobie między nami;
Piękniejszy świat za górami,
Za lasami, za wodami,
Byle nie tu między nami.
W téj mogile szabla leży,
A tam drogą konik bieży,
Konik siwy, jabłkowity,
Strzyże uchem, grzmi kopyty.

Dobądź szabli, dosiądź konia,
I sam ruszaj w krwawe błonia.
W krwawych błoniach ponad miedzą,
Dwie naprzeciw wiedmy siedzą,
Błoń czerwoną krwią malują,
I w kowadła raźno kują.
Ta swym młotem jak uderzy,
To wyskoczy sto rycerzy;
Ta swym młotem jak uderzy,
Da sto koni pod rycerzy.
I ta i ta młotem kuje,
Pułk za pułkiem występuje,
Na czerwoną błoń ucieka
I na swego wodza czeka.
Ty bądź wodzem, wiedź na boje,
I odwojuj ziemie twoje.
Twa macocha wyczytała,
Że cię wielka czeka chwała,
Że cię wielka chwała czeka,
Że twa szabla ją rozsieka;
Z czarownikiem robi zmowę
Na twe życie, na twą głowę.
Będą larwy grozić tobie,
Będą nęcić cię ku sobie;

Zwycięż wszystko, a w nagrodę
Weźmiesz takie dziéwczę młode,
Że i ucho nie słyszało,
Że i oko nie widziało".

Wasilek gąsce dziękuje,
Matkę w nogę pocałuje,
I konikiem, z szablą w dłoni,
Na czerwone błonia goni,
I z żelaza wykowane
Wita pułki swe kochane:
„O witajcież pułki moje!
Gdzie polecióć nam na boje?"
„Polecieć nam—pułki rzekną—
Gdzie siedm rzek w morze ciekną,
Gdzie siedm gór wznosi głowę,
Gdzie wojska czarodziejowe.
Rżą pod nami wierne konie,
Brzęczą wierną szablą dłonie,
Wierne serce w piersiach stuka,
Oko tylko wrogów szuka.
Wiedź nas!" każdy pułk wykrzyka,
Z zbroi, kopyt, gra muzyka.

I wiedzie ich, i napada
Nie na czarne kruków stada,
Nie na lasy, co po górach
W swych zielonych stoją piórach,
Lecz na długie wojsk szeregi,
Co jak morskie leżą brzegi.
Nie zaklaszcze w białe dłonie,
Lecz w stalowe zagrzmi bronie.
Czach, czach, czach, czach! sieką miecze,
A trup pada, a krew ciecze,
A krew ciecze, a trup pada,
Białym mostem się układa,
I przez wody, przez topiele,
Dla zwycięzcy drogę ściele.

Zaklekoce piorun w górze
I zapala w ciemnéj chmurze;
I wicher skrzydły ciemnemi
Szumi i wyje po ziemi.
Szumi, wyje, trąbi burze,
Na noc biały dzień zamienia,
Noc piorunem rozpłomienia.
A z piorunów, z łona burzy,
Straszliwy się żmij wynurzy;

Oczy jego żarem świecą,
Z paszczy kłębem iskry lecą,
We stu łapach trzyma miecze
I wokoło niemi siecze.
Na drodze mu lasy stały,
Lasy w wióry poleciały;
Na drodze mu skały stały,
W drzazgi skały poleciały.
Wysieczoną, wyłamaną,
Prosto na nich wali ścianą.
Błyśnie stal w Wasilka dłoni,
A żmij słoni się i słoni,
I żelazną swoją głową
Uderza w ziemię surową.

Z głowy tryśnie zdrój czerwony,
Szumi, pieni przez zagony,
Coraz pełniéj się rozlewa
I zatapia wzgórki, drzewa.
I zatopił, i jak morze,
Stoi z kręgiem nieba w sporze;
Lecz Wasilek z szablą w dłoni
Prosto na to morze goni....

Znikło morze, tylko wkoło
Las, zielone chyli czoło,
I jezioro wygładzone
Odbija cienie zielone.
Po jeziorze łabędź pływa,
Słowik w lesie piosnkę śpiewa.
Łabędź wznosi białą szyję,
Czystą falę skrzydłem bije;
Słowik piosnkę wiecznie nuci
I z echem się wdzięcznie kłóci.
W łuk się fala rozłamała,
Lilia błysnęła biała;
Nie lilia a dziewica,
Tak kibitna, białolica!
Po jéj szacie z śnieżnéj piany
Złoty warkocz wpół rozwiany
Promieniem się odmalował,
Krasił szatę, pierś całował;
Z oczu żywy ogień strzelił,
Wstyd jagody rozweselił,
Koral-usta przemówiły:

„Odrzuć szablę, chłopcze miły!
Niech ją sobie rdza przejada;

Odrzuć szyszak, chłopcze miły!
Niech w nim ptaszek jaja składa.
Wypuść konia, chłopcze miły!
Niechaj spasa ług zielony;
Odpraw wojsko, chłopcze miły!
Niech powraca w swoje strony.
A sam rzuć się w me ramiona,
Niech przycisnę cię do łona.
I te wody, i te lasy,
Darują nam wieczne wczasy.
Pod tą ścianą źwierciadlaną
Skarby świata przechowano.
Wszystkie skarby i rozkosze
W dąrze tobie poprzynoszę.
Twe żelazne złóż okowy,
Chodź w mój pałac kryształowy,
Odpędź konia, odpraw woje,
A w objęcia rzuć się moje.
Usta moje ogniem płoną,
Chodź tu, chłopcze, chodź na łono!
Słowik pieśń weselną śpiewa,
Do snu szumem nęcą drzewa".

Wasilek nie rozczulony,
W górę wznosząc miecz stalony,

Jak na wroga się rozbiega....
Wtém jezioro znikło z brzega,
Znikły wody; tylko wkoło
Chude piaski, łyse czoło
Powieńczyły jałowcami,
Wrzosami i brusznicami;
A daléj mchem wyścielone,
Niezmierzone, nieskończone
Śniade błota swą pierś śniadą
Przeciw ogniom słońca kładą.
Tu żórawi siwe stado,
Kurlukając zatańcuje,
A tutaj z sobą wojuje
Batalionów tłum zaciekły;
Bociany się stadem wlekły,
Z kałuż w kałuże brodziły,
Żaby, węże w nich łowiły.
Któż w te pójdzie topieliska?
Wasilek swą szablą błyska,
Skacze prosto.

Topiel zginie,
A taki się bór rozwinie,
Że i ptaszek nie przeleci,
Gdzietam! promień nie prześwieci.

Nigdy tędy człowiek żywy,
Ani nawet zwierz pierzchliwy
Nie postawił swojéj nogi....
Wiatr swe górą znaczył drogi;
Złamane gałęzie w górze
Nauczały, gdzie szły burze,
Ale żadna nie uczyła
Kędy ludzka droga była.
Z głębi boru głos wyleci:
„Po co wam w matecznik? dzieci!
Tutaj ryś wam wydrze oczy,
Smok serdeczną krew wytoczy,
Niedźwiedź złamie, dzik podkosi,
Orzeł kości poroznosi,
Że i kruk ich nie odszuka.
Niech nie idzie w las nauka.
Powracajcie w swoje strony".
I błysnęły rysie szpony,
Żądła smocze, kosy dzika,
Niedźwiedź mruczy i poryka,
Orzeł szumiąc skrzydłem toczy,
Zbójecko zagląda w oczy.
Lecz Wasilek, wolen trwogi,
Piérwszy przeszedł puszczy progi,

Piérwszy zaczął rąbać lasy.
Jęki, wycia i hałasy
Nadokoła się ozwały,
Drzewa żywą krwią buhały.
On nie zważał, rąbał daléj:
Za kłodą się kłoda wali,
Trzebież rośnie a krew płynie.
Razem wszystko z oczu zginie,
A czarownik, dziadek siwy,
U zasianéj trupem niwy
Klęczy, ręce w górę wznosi,
O litość zwycięzcy prosi.

Prosząc, takie prawi słowa:
„Na co tobie moja głowa?
Pozwól, niech ostatnie lata
Doliczam na kraju świata.
Ja z mojego zszedłem pola;
Twoja teraz kwitnie dola:
Panuj sobie. Twa macocha
Nie straszna ci ani trocha,
Sidła na cię zastawiła,
Sama głowę położyła;
Już jéj w polu białe ciało
Szablą ścięte, poczerniało.

Twój ojciec w pustyni żyje
I pokłony bogom bije;
I w wiecznéj mu żyć żałobie
Po twéj matce i po tobie.
Gdy go z sobą mieć zechcecie,
O sobie mu wieść poślecie.
Gdy zechcesz wziąć krasawicę
Na swą wierną lubownicę,
Białą gąskę skrop tą wodą:
A dziéwczę z taką urodą,
Że i ucho nie słyszało,
Że i oko nie widziało,
Miłe sercu, miłe oku,
Pojawi się przy twym boku.
Weź cudowną moję wodę,
A mnie wypuść na swobodę;
Pójdę sobie na kraj świata.
Ty żyj, panuj, mnogie lata".

IV.

I czarownik uwolniony,
Idzie smutny, zawstydzony,

A Wasilek przy jeziorze
Hula w swoim białym dworze.
I rodzice z nim hulają,
Przeszłe czasy wspominają.
Hula z nimi, jak jagoda,
Krasna, hoża, panna-młoda;
Nie jagoda, lecz kwiat-róża,
Panna-młoda krasna, hoża.
Zaklęcia od niéj odstały,
Puchy z wiatrem poleciały,
I co marnie w nich więdniało,
Rozkwitło się śliczne ciało.

Zewsząd gości sprosił młody,
Na weselne swoje gody,
A gdy byli i rycerze
Okowani w swe pancerze,
A gdy byli i panowie,
Strojni w pyszném złotogłowie,
Wszyscy starym obyczajem
Poszli na biesiadę z gajem;
Nie z gajem, lecz z praojcami,
Którzy śpią pod mogiłami.

Jaja po grobach taczali
I przyszłość odgadywali. (*)

Maryna na matki grobie,
Twarz zakrywszy w dłonie obie,
Tak płakała, wyrzekała:
—„Matko! czyżby mnie czekała
Czarna dola po-dawnemu?....
Powiédz ty mężowi memu,
Niech szanuje twoje dziécię,
Niech szanuje moje życie.
Tyś mi dała oczy jasne,
Tyś mi dała lica krasne.
Wieczny smutek i tęsknica
Wysuszyły moje lica;

(*) Piérwszego dnia Zielonych Świąt, lud białoruski, mianowicie kobiéty, zbierają się na cmentarzu. Każda rodzina naprzód zamiata groby swych pokrewnych, tacza wokoło nich jaja, z których prędszego lub wolniejszego obrotu, wróży o swém w następnym roku zdrowiu i wszelkiéj domowéj pomyślności. Po odbytych wróżbach, następują żale po umarłych, a potém przed niemi wynurzania się z własnych cierpień i nieszczęść. Tu sierocie wolno oskarżyć złego ojczyma, macochę; żonie niedobrego męża i t. d. Oskarżający i oskarżony, częstokroć stoją obok siebie, zachowując największą powściągliwość; co większa, w dalszym czasie, wszelka, choćby najmniejsza zemsta za to, co się publicznie usłyszało, uważaną jest ciężkim grzechem. Po skończonych żalach i skargach, jaja tłuką i jedzą, obficie zapijając wódką, po któréj zwykle następują śpiewy i tańce. Odchodząc, groby ubierają w gałązki jedliny i w kwiaty.

Za łzą, co się wiecznie toczy,
Pociemniały moje oczy.
Któż mi młodość oddaruje,
Krasę lica odczaruje;
A nad młodość, nad urodę,
Któż mi szczęście wróci młode?
Jemu syna jam powiła,
A on zbójców swych nasyła;
Jemu strzegłam wiernie łoże,
A on topi mnie w jeziorze!
Wolał ze mnie topielnicę,
A za żonę czarownicę,
Jak żyć ze mną w świętéj zgodzie,
I w miłości, i w swobodzie.
Z mego serca zdejmij kamień,
Pamięć mą w niepamięć zamień,
Albo daj mi lepsze życie,
Lub do siebie weź twe dziécię".

Wasil słuchał skarg swéj żony,
Ale milczał jak omszony
Głaz, na grobie postawiony.
A potém z nią z jasném czołem,
Z pieśnią w ustach idzie społem.

Na synowskié idzie gody,
Na dwór biały do gospody.
I sławne tam były gody:
Pieniły się rzeką miody,
Wino rzeką się pieniło,
W bród wszystkiego wszystkim było.
I ja na tych godach byłem,
I miód piłem, wino piłem,
Tylko úst nie pomoczyłem.

Do krasnéj Wasilka żony,
Ledwie z pola zejdą szrony,
Ledwie wody zaigrają,
Zaraz w gości przylatają
Szczebioczących gęsi stada.
A ona je wita rada,
Pszenicy złotéj przynosi,
Na pełne jezioro prosi.
Lecz gdy z lasu liście zlecą,
Golizną wźgórki zaświecą,
Gdy kalina przemrożona
Opuści swe hoże grona:
Wnet się gęsi z nią żegnają,
Na swe wody odlatają.

Ona, wznosząc dłoń do Boga,
Woła do nich: „putna droga”.
. . . .

I poddany jéj lud cały,
Gdzieby gęsi nie leciały,
Z niwy, z łąki, z lasu, z sioła,
Putna droga, do nich woła.
. . . .

Nim zawoła: husi! husi! (*)
Ileż biéd wycierpiéć musi!
Oblężony śniegiem, lodem,
Oblężony chłodem, głodem,
Obumiera z każdą dobą.
. . . .

Jare słonko! prowadź z sobą
Naszych gości, twoje dzieci....
Jare słonko! niech zaświeci
Twe żyjące oko z góry,
Rozweseli świat ponury.
. . . .

(*) Przylatujące wiosną dzikie gęsi, lud białoruski wita głośnym wykrzykiem: husi! husi!

Kiedyż, kiedy to nastanie?
Jeszcze w uszach brzmi wołanie
Putnéj drogi błędnéj rzeszy;
Biała ziemia się nie spieszy:
Stoją gołe pola, lasy.
Słonko! kiedyż wzięte krasy
Znów przyrodzie oddarujesz,
Nasze serca rozradujesz?

JASTRZĘBIEC.

POWIEŚĆ WIELKOPOLSKA.

JASTRZĘBIEC.

Gdzieś w szlacheckiéj okolicy,
Na praojców swych dzielnicy
Mieszkał szlachcic, choć bogaty
W swe przesławne antenaty,
Ale z siebie tak ubogi,
Że za cały miał dostatek
Zdrowe ręce, zdrowe nogi,
Wierną żonę, kopę dziatek.

Mówią ludzie: w dawnym wieku
Łatwiéj było wyżyć człeku,
Nikt się wtedy nie frasował
Jakby dziatwę swą wychował.

I nasz szlachcic, tego syna
Dał jurystom do Lubina,
Tego posłał do klasztoru,
Tego, do pańskiego dworu,
A mizynka wiódł do szkoły
Między paupry. Szedł wesoły
Ojciec z synem, mieli chleba
Ile w krótką drogę trzeba...
A pieniędzy? — ni groszyka...
O południu u strumyka,
Co z pod gaju się wykradał
I na łąkę z szumem spadał,
Wędrownicy oba siedli,
Pili wodę, chléb swój jedli.
Chléb był smaczny, czysta woda,
Z chlebem wodą nie masz głoda.

Nasyceni, napojeni,
Już na miękkiéj traw zieleni
Mieli usnąć, gdy przed niemi
Nieznany się człowiek stawi,
I te do nich słowa prawi:
—„Czy zapytać was nie mogę
W jaką stronę macie drogę?”

—„Czemuż? — szlachcic odpowiada—
Chłopcu marnie czas przepada,
Chce się uczyć, do szkół wiodę.
Dobrodzieju! biéda gniecie,
Oddam w paupry moje dziecię,
Pochoruje, pobieduje,
Biéda rozum da w nagrodę
A z rozumem nie zaginie."

—„Będzie trzepać po łacinie
Pater noster, panem dare...
Wielki rozum, nie żal czasu!
A gdy przyjdą lata stare,
Z tym rozumem choć do lasu,
Bo wśród ludzi umrze z głodu...
Szkoda bracie twego chodu,
Szkoda synka, szkoda tata:
Lepiéj daj mi na naukę
Na jakie niedługie lata.
Umiem ja nielada sztukę,
Nauczę jéj twego syna.
Widzę z oczu, że chłopczyna
Coś zrozumié, czemeś będzie
A może i mnie przesiędzie:
Spójrz za siebie, daj trzy kroki."

Spojrzał szlachcic i wysoki
Ujrzał zamek marmurowy:
Trzy złocone jego głowy,
Jakby słońca trzy zwierciadła
Żywym ogniem rozgorzały;
Wkoło zamku mury, wały,
A u nóg ich grzmiąca rzeka,
Bijąc w brzegi precz ucieka.
Przez rzekę most z szklanych nici,
Aż wzrok boli tak się świeci.

—„Za lat siedem w dniu, godzinie,
Przyjdziesz bracie jako ninie,
Spojrzysz za się, dasz trzy kroki,
Wnijdziesz w zamek mój wysoki,
Poznasz, weźmiesz swego syna.
Nie ten będzie to chłopczyna:
Piękny, mądry, lecz mądrością
Nie tutejszą, nie książkową
Co to tylko podrwi głową,
Lecz wszech rzeczy znajomością;
A cóż zgoda?"— „Zgoda! zgoda."
Ledwie rzekł, już syna nie ma
I nic nie ma, tylko woda .

Szumi w trawie po dawnemu,
Słońce złotemi oczyma
Na świat patrzy po dawnemu.
Zadziwiony, zalękniony,
Jakąś chwilę szlachcic czeka,
Do domu co tchu ucieka.

Przeszły lata jak godzina,
Idzie szlachcic szukać syna;
Na tém samém miejscu staje
I trzy kroki na tył daje:
Spojrzy za się, i wysoki
Ujrzy zamek marmurowy.
Trzy złocone jego głowy,
Jakby słońca trzy zwierciadła
Żywym ogniem rozgorzały;
Wkoło zamku mury, wały,
A u nóg ich grzmiąca rzeka,
Tłukąc brzegi precz ucieka;
Przez rzekę most z szklanych nici
Aż wzrok boli tak się świeci.

Szlachcic żwawo przez most goni,
Most te słowa pod nim dzwoni:

„Przy koniku brzęczy mucha,
Siwy gołąb' chodząc grucha,
Śliczna panna wieniec spina,
Pamiętaj to, chcąc mieć syna."
Z mostu szlachcic wbiegł na wały,
A te słowa wciąż mu brzmiały.

Jak zamkowe minął bramy,
Nieznajomy tenże samy
Staje przed nim, i tak rzecze:
„Słownyś widzę mój człowiecze:
Poznaj syna, weź go sobie.
Patrzaj oto, przy tym żłobie
Moje zbiorą się rumaki,
Między niemi będzie taki,
Który twoim synem będzie."
Świsnął i białe rumaki
Zleciały z nieba jak ptaki,
Każdy czysty wymuskany,
Rzekłbyś w mleku wykąpany.
Uchem strzyże, nóżką grzebie,
Okiem strzela wkoło siebie,
Okiem strzela, grzywą wstrząsa,
To swawoli, to się dąsa,

Hasa, hasa i przy żłobie
Staje, obrok chrupiąc sobie.
I tak każdy, aż stanęli
W jednym rzędzie, w jednéj bieli,
W jedném ciele, w jednym składzie
Całe stado; lecz w tém stadzie
Jeden, tylko razy wiele.
Szlachcic wkoło stada kroczy,
Wypatruje swoje oczy,
Oczy swoje wypatruje,
Ale syna nie zgaduje.
A wtém koło jego ucha
Zcicha drobna brzęknie mucha,
Potém do konia przypada
I już przy nim brzęczy rada.
Szlachcic przestrogę wspomina
W tym koniu zgaduje syna.

„Zgadłeś — czarownik wyrzeka—
Lecz cię inna proba czeka.”

Dwa gołębi duże stada
Na dziedziniec z szumem siada;
Wszystkie siwe, modrogrzywe,

Malowane złotem, stalą,
Migocą się dziwną falą.
Czarownik z hojnéj prawicy
Sypnie grochu i pszenicy;
Wrzawę robią, ziarna dziobią.
Wszystkie ziarna wydziobali,
Milcząc w kupkę się zebrali;
Jeden tylko gołąb siwy,
Gołąb siwy, modrogrzywy,
Jakby szukał z kimeś wojny,
Gruchał, biegał niespokojny.
Szlachcic przestrogę wspomina
Zgaduje w nim swego syna.

„Zgadłeś — czarownik wyrzeka—
Lecz cię inna proba czeka."

I przez ziemię, przez niebiosy,
Lube, wdzięczne wieją głosy;
Śpiewy, dźwięki naokoło,
Grzmią wesoło, brzmią wesoło.
Z brzękiem, dźwiękiem, z pieśnią miłą
Dwanaście dziewcząt przybyło;
Wszystkie młode krasnolice,
Rzekłbyś kwiaty nie dziewice.

Wzrost jednaki, ruch jednaki,
Nawet kolor włosa taki:
Tańczą, tańczą, kołem stają,
Spoczywają, rozmawiają;
Ta poprawia sobie włosy,
Ta ociera lica z rosy,
Ta na głowie wieniec spina,...
„Mój syn"—na nią szlach cicwoła...
Wszystko znikło na dokoła,
Pusto, głucho; ale syna
Z śmiechem w ustach, ze łzą w oku
Widzi szlachcic przy swym boku.

I szczęśliwi, z siebie radzi
Wrócili do swéj czeladzi,
Do swéj chaty, do swéj strzechy.
Przeszły piérwsze dni uciechy,
Potém smutki i niedola.
Zieleni się zbożem rola,
Warzywo buja w ogrodzie,
Lecz przy niém człęk umrze w głodzie.
Lepsza jesień chociaż goła,
Niżli wiosna ta wesoła;
Jesienią popuścisz pasa,
Wiosną tylko zwierze hasa.

„Hej! hej! — smutny szlachcic powie —
Nie znajdziesz w twéj mądréj głowie
Jakiéj rady miłe dziecię,
Byśmy głodu uszli przecie."

„Będzie rada, tylko proszę
Oszczędzać zebrane grosze,
Na zbytki je nie marnować,
Przychód z rozchodem rachować.
W sokoła się przeobrażę,
Dadzą złota co zaważę.
Do grodu mnie zaniesiecie,
Dużo złota mieć będziecie."

I srebrnemi oto pióry
Zaszumiał sokoł u góry,
I już na ojca ramieniu
Spuścił się, usiadł w milczeniu.
Cudny sokoł niewidziany,
Biały, złotem nakrapiany;
Ojciec berło mu wytoczy,
Kapturkiem przysłoni oczy,
Do blizkiego niesie grodu.
Ot już i gród, i u wchodu

Dwaj panicze go spotkają,
Sokołem się podziwiają.
„Idziemy — rzekną — polować,
Pozwól ptaka wyprobować."
„A czemuż nie." Wtém się zrywa
Z błota duża czapla siwa;
Sokoł zoczył, lot roztoczył,
W górę wzleciał jakby strzała:
Czapla smutnie zakrzyczała,
Dziob podniosła, młynka dała.
Sokoł na nią goni z boku,
Chwyta, niesie do obłoku,
A z obłoku poszarpana
Spada na dół krwią oblana.
Sokoł na berle nie siada,
Lecz na inne ptastwo pada:
Sztuka za sztuką przybędzie,
Giną żurawie, łabędzie.
Cudo nie ptak, i panicze
Biorą wozy pod zdobycze,
Sokoła na szali ważą,
A szlachcica złotem darzą.
Sokoł ciężko szedł na szali,
Wiele, wiele złota dali.

Powraca szlachcie do chaty
Wesół, szczęsny: bo bogaty.
Chatę na dwór przebudował,
Sługi, służki poprzyjmował;
Sprawił kontusz i pas lity,
Żonę przywdział w aksamity;
Córki jakby kasztelanki
W drogocenne ubrał tkanki;
Pozakładał wirydarze,
Srebrny świecznik zaniosł farze,
Do klasztoru posłał bryki,
W dom zaprosił dwie muzyki.
Grzmią cymbały, huczą basy,
Wykręca gość w drzwiach zawiasy;
Strojno, huczno jak u pana
Wojewody kasztelana.

Zwietrzywszy grosz i pierogi.
Ściska brat szlachcic za nogi;
Zwietrzywszy szczere dukaty,
Wielkie pany kolligaty,
Mnichy na festyny proszą,
Półmiski sami obnoszą.
Lecz źródło niepodsycane
Wyschło nad miarę czerpane;

Zjawiły się ciężkie długi.
Widząc pustki, w nogi sługi.
Wchodzi biéda, drzwi otwiera,
Obicia ze ścian odziera,
Tłucze okna, piece wali.
Ci, co pierwéj tu hulali,
Cicho drwią lub w głos się śmieją,
Wiatry przez dach, ściany wieją,
Wiejąc mówią w smutne głosy:
Jak są zmienne ludzkie losy.

Przy napół zwalonym płocie
Szlachcic stał w szaréj kapocie,
W kapocie, co mu z żupana
Drugi raz wynicowana.
Stał, i nie tego żałował,
Że tak z nięgo los żartował,
Lecz że przedał swoje dziecię,
Które Bóg wié w jakim świecie
I z kim i jak teraz żyje:
Może swe łzy i krew pije.

Łza mu z oczu się potoczy...
Łzę ociéra, a wtém zoczy

Tuż przy sobie swego syna,
I swych smutków zapomina.

Spojrzał syn, zgadł co się święci...
„Nie chcieliście mieć w pamięci
Moich przestróg — wyrzekł smutnie—
Biéda gniecie was powrotnie.
Ja w charta się przeobrażę,
Dadzą złota co zaważę;
Do grodu mnie zaniesiecie,
I znów złoto mieć będziecie.”

I stanął chart srebrno-siwy,
Lotny, piękny, dziw nad dziwy.
Idzie szlachcic z nim do grodu,
Oto już gród, i u wchodu
Dwaj panicze go spotkają,
Chartowi się podziwiają.
„Idziemy— rzekną —polować,
Pozwól charta wyprobować.”
„A czemuż nie”... A wtém właśnie
Między chrusty sarna szaśnie;
Chart ją zoczy, raz dwa skoczy,
I już we krwi się jéj broczy.

Zając niestoi królika,
Z lisem, lepszy od jamnika,
Z wilkiem, jeden walkę zwiedzie,
Piérwszy osadza niedźwiedzie,
Tropi rysia, szarpie zbika,
A nawet graczem na dzika.

Cudo nie chart! I panicze
Biorą wozy pod zdobycze,
Charta na szali odważą,
A szlachcica złotem darzą.
Ciężko idzie chart na szali,
Wiele, wiele złota dali.

Wesół, szczęsny bo bogaty,
Wrócił szlachcic do swéj chaty.
Złoto jak tylko postrzegli,
Przyjaciele znów się zbiegli;
Przy kielichu przysięgali,
Że nigdy nie przedrwiwali.
I znów radość i wesele,
Dzień i noc grają kapele,
Strojno huczno jak u pana
Wojewody, kasztelana.

Na podwórcu grzmią podkowy:
Jakiżto gość przybył nowy?
Mina tęga, wąs sitarski,
Jedném słowem chłopiec dziarski.
Stajennym daje konika,
Sam do dworca drzwi odmyka,
Na szlachcica jak przystało
W podwoje wstępuje śmiało.

„Któż to taki?” to kochany
Nasz mizynek zaprzedany.
„A witajże drogie dziecię,
Zkąd cię Bóg przywodzi przecie?”
„Zkąd? — ze służby; odsłużyłem,
Czém się dla was zadłużyłem?
Wracam wolny w swoje progi.”
„A witajże synku drogi!
Żyj już z nami; z twéj dobroci
Znów się nasza dola złoci.
Patrz dostatek jaki wkoło,
Jak żyjem sobie wesoło;
Piérwszą biédą nauczeni,
Pilnie strzeżemy kieszeni,
Wszystko idzie nam jak z płatka.
Jedna twa siostra mężatka,

Druga jak ulęgałkami
Przebiera sobie chłopcami.
Bracia twoi wielcy ludzie.
A wypocznijże po trudzie,
Możeś smutny, na wesele
Mamy kufel i kapele."
I mizynkowi z rodziną
Jak w raju dni słodko płyną.
Starce mile go witają,
Rozumem się podziwiają;
Młodzież wodzić rej pozwala,
Szlachetność jego wychwala.
I mizynek wkrótce wszędzie,
Co najmilszym gościem będzie.

Raz w gościnie był u pana
Sandeckiego kasztelana.
Kasztelan człowiek uczony,
Perygrynus w różne strony,
Tak z nim trzy dni dysputował,
Aż na gardło zachorował.
Dnia czwartego jak rachował,
Gościaby przedysputował,
Bo rzecz już ciekła do końca,
I dowody miał jak słońca;

A tu ani ust otworzyć,
Trzeba w łóżko się położyć.
Zły z wypadku, i nie dziwo,
Że na gościa patrzał krzywo.
I mizynek z tém zdarzeniem
Wielkiém zmartwił się zmartwieniem;
Nie o dysputę chodziło,
Coś mu w myśli milsze było.
Gdyby chciał, piérwszego rana
W rógby zagnał kasztelana;
Lecz umyślnie rzecz rozkładał,
By kasztelan szerzéj gadał.
On tymczasem od niechcenia
Łowił prześliczne wejrzenia
Kasztelanki, co ciekawie
Wsłuchiwała się rozprawie.
Kasztelanka kwiat nad kwiaty,
Nie żal do niéj posłać swaty
I jegomości królowi,
Coż dopiéro szlachcicowi?

I do kasztelańskiéj córy,
Nasz mizynek nuż w konkury.
Panna mile oczkiem błyska,
Ale ojciec ani zbliżka.

Wyprawił mizynek w swaty
Co zacniejsze kolligaty;
Swaty choć kręcili głową,
Przynieśli ni to, ni owo...
„Musisz bracie — rzekli swaty—
Naprzód bardzo być bogaty,
Bo niczyją tylko pana,
Będzie córka kasztelana;
A krom tego ugiąć głowy,
Mniéj mądremi strzelać słowy.
Mądrość dobra w rozhoworze
Gdzieś na sejmie, na soborze,
Lecz w zalotach nie popłaca.”

„Ojcze! nowa idzie praca:
Trza nam złota wiele, wiele,
A będziemy mieć wesele.
Ja w konia się przeobrażę,
Dadzą złota co zaważę.
Po Krakowie teraz dzwoni
Szczęk oręża, tętent koni,
Ze wszystkich ziem do stolicy
Pospieszają wojownicy.
Król gotując się na wojnę,
Zewsząd zbiera męże zbrojne:

Mnie tamtędy zawiedziecie,
Górę złota mieć będziecie.
Lecz przedając, pamiętajcie,
Uzdy kupcu nie dawajcie.
Dacie uzdę — jam zgubiony."

I ot w konia przemieniony
Nogą grzebie, nozdrzem pryska,
Z oczu iskry ognia tryska...
Cudowny koń jak śnieg biały,
Do wojennéj zrodzon chwały,
Lekki, zwrotny, myśl zgaduje,
Duszę jezdzca w sobie czuje.
To syn wojny, to król koni!
Ojciec w tyftyk go przysłoni,
Złoto-lity rzęd nań sadzi
I sam w ręku poprowadzi.
Dzień dwa idą; już w Krakowie
Wnet oskoczą ich panowie,
Ślicznym koniem się lubują
I nie żartem go targują;
Lecz nad wszystkich w targu stoi
Jakiś rycerz w czarnéj zbroi.
Kto on, próżny domysł wszelki,
Lecz to musi być pan wielki,

Przybił ręką, we dwa słowa
Góra złota już gotowa.

Zbiegł się wszystek ze stolicy
Ciekawy lud do ważnicy;
Na blask złota co aż mroczy
Zdumiałe wytrzeszcza oczy.
I szlachcic w miłym kłopocie
Wodzi długi wzrok po złocie.
Koń zważony, teraz oto
Zaczynają ważyć złoto;
Ważą, szalę nastawują,
Coś miarkują, poprawują:
Już ostatnie kładą brzemię
A wtém waga trzask o ziemię.
Trzaż i wagę naprawować,
Trza i złota dopilnować.
Szlachcic na przestrogi syna
W swym kłopocie zapomina,
Zdaje konia rycerzowi,
A o uzdzie nic nie mówi...
Rycerz na koń wpadł z pośpiechem,
I zaśmiał się strasznym śmiechem,

Konia palnął w bok ostrogą
I z kopyta kopnął drogą.
   Co takiego tam się dzieje,
Że zebrany lud się śmieje?
Dziw nad dziwy! z góry złota
Zrobiła się kupa błota...
Szlachcic stoi przy téj kupie,
Przewraca swe oczy głupie,
A lud woła w dłonie stuka:
„Co walna, to walna sztuka!
Dobrze, dobrze ci chciwoszu,
Zbieraj jak my grosz po groszu;
Naraz chciałeś górę złota
A dostałeś za to błota."
   I jak zmyty, oparzony,
Wyszydzony, zawstydzony,
W ciężkim smutku pokryjomu,
Szlachcic powraca do domu.
A z mizynkiem cóż się dzieje?
Krwawy pot pod jezdzcem leje,
Przez skaliste pędzi drogi,
Znosi harap i ostrogi.

„Aha! znowuś pod mą łapą—
Jezdziec woła — podła szkapo!

Swego mistrza zapomniałeś,
Z panami się pobratałeś,
Goniłeś na krasawice,
A dostaniesz szubienicę.
A nuż szkapo, hej harapie
I chlaszcz i siecz po téj szkapie."
I harapem chlaszcze, siecze,
Krwawy pot z mizynka ciecze:
Ot i zamek z trzy wieżami,
Z szklanym mostem i wałami.
Wpadli w zamek, do pół słowa
Szubienica już gotowa,
O trzech belkach szubienica.
Za uzdę konia-szlachcica
Ciągną w górę: próżne spory,
Trzeba było iść do góry.—
Poszedł, zawisł, i rży: hy! hy!
Lecz na jego smutne rżenie
Odpowiedzią lub milczenie,
Lub szydercze mowy, śmiechy.
A tu słońce piecze w oczy,
Kruk czarnemi skrzydły toczy,
Na łbie siada: jęk i rżenie
Złowrogiego ptaka zżenie,

Lecz nie zżenie roju tego,
Złośliwego owadziego,
Co tam krew wyssysa z niego:
A najsrożéj mucha mała
Pod sercem się mu wpijała.
„Ej ty mucho nic dobrego,
Com ja tobie zrobił złego?"

„Toś zapomniał już Motrony?
A przez kogoś wyzwolony?
Toś zapomniał drobnéj muszki,
Zapomniałeś Motrony duszki?
I któż ojcu cię odsłonił,
Na swobodę muszką dzwonił??
Przyjść mnie zabrać przysięgałeś,
Przysiąg i mnie zapomniałeś;
Niechże teraz z swojéj dłoni
Kasztelanka cię obroni.
Ojciec oddał cię w me ręce,
To nie zasnę w twojéj męce:
Żyj konając jak jam żyła."

„Winien! przebacz moja miła,
Śliczna przebacz mi Motrono,
Od dziś będziesz moją żoną,

Duszą duszy; póki tchnienia
Niewolnik na twe skinienia.
Czy moja Motrona czuła,
Gniewami się już tak struła,
Że w niéj nawet nie zagości
Skra czułości i miłości?
Może i te lic jéj kwiaty
Zginęły ze złemi laty;
Może i jéj cudne oczy
Zgasiły swój blask uroczy:
Pozwól niech raz spojrzę na nie,
I znów idę na konanie."—

I jak zaczął się przymilać
Na pochlebstwa się wysilać,
Słów jedwabiem głaskać uszy,
Aż z Motrony zeszły duszy
Wszystkie złości, zawziętości.
I znów szatan jéj miłości
Wlazł w jéj serce, i Motrona
Rozmarzona, rozczulona,
Daje wolność mizynkowi,
Pochlebnemu zwodnikowi.
Choć przy duszy swojéj duszy
I odetchnął już z katuszy,

Lecz coś mina w nim skwaszona,
Bo ten anioł, ta Motrona,
Ach to szatan w ludzkiém ciele!..
Mizynek choć cierpiał wiele
I nie widział cierpień granic,
Lecz nie mieniałby dziś za nic
Swoich cierpień na to szczęście.
Cóż jak wspomniał na zamęzcie,
Tak mu w sercu zastukało,
Tak mu w oczach pożółciało,
Że nie wybierając drogi
Prosto z muru daléj w nogi,
I co w piersiach tchu, tak żenie.
Razem słyszy ziemi drżenie,
Razem słyszy huk pogoni:
To czarownik ojciec goni.
Więc w zająca się przerzuca,
O staj dziesięć pogoń rzuca,
I krytemi sadzi szlaki
Przez komysze, zboża, krzaki.
Lecz za sobą tuż posłyszy
Szelest krzaków, zboż, komyszy.
Obejrzy się: chart pod bokiem...
Poprawił się, jednym skokiem

Przesadził przez trzy parowy,
Drugim rzucił trzy dąbrowy,
Trzecim był na Wisły brzegu.
Nie odetchnął w skokach, biegu,
Ażci chart ku niemu szuśnie,
Więc okoniem w Wisłę pluśnie.
Płynie, kolce swe najeża;
Lecz z drugiego ot wybrzeża
Straszny szczupak rozwarł szczęki.
Krwawa otchłań, białe sęki,
Okonia już zgniotą, zduszą.
Okoń-szlachcic z dzielną duszą
Dalćj naprzód; szczupak ztchórzył,
Okoniowi szlak otworzył.

Płynie kędy zwierciadlana
Rzeka w zatokę rozlana,
Ukryta w zielone cienie.
Zlekka pluszcze o kamienie;
A na jednym z nich, dziéweczka
Krasnolica, kraszaneczka,
Pierze białe rąbki, siatki,
I tak mówi: — „Źle bez matki
Czy bogatéj kasztelance,
Czy ubogiéj jéj włościance;

Kasztelanka czy włościanka
Na sierocéj zwiędnie grzędzie,
Bo świat dla niéj pusty wszędzie,
Bo chléb czarny, jéj los łzawy.
Boże! racz już być łaskawy
I dla biednéj mojéj panny;
Płacz jéj nocny, smutek ranny
Rozwesel twojém weselem,
Złącz z serdecznym przyjacielem.
Zginął miły gdzieś bez wieści,
Swatów dworzec nie pomieści;
Zanim wróci ten co w sercu,
Drugi stanie na kobiercu.
Kiedyż miły nam powrócisz,
Łzy osuszysz, smutki skrócisz?”

Okoń zrozumié te żale,
I wnet wyrzucają fale
Dziewczynie prosto pod nogi
Pierścień cudny, pierścień drogi.
I dziewczyna z zachwyceniem
Cudnym bawiąc się pierścieniem
Mówi sobie: — „Ten dar drogi
Nie dla włościanki ubogiéj;

Nie na rękę jéj zczerniałą,
Lecz na pańską rączkę białą:
To zaniosę pannie moi,
Niech się ona weń ustrói."

Rąbki, siatki już nie pierze,
Lecz na rękę je zabierze;
Zabrawszy szybkiemi kroki
Bieży, gdzie zamek wysoki,
Stare gniazdo z panów pana
Sandeckiego kasztelana.
Kryte obiegłszy krużganki
Przypada do kasztelanki
I tak prawi: — „Panno miła!
Wisła pierścień wyrzuciła;
Przy dostatkach, przy twéj krasie,
Drogocenność taka zda się:
Mnie włościance, słudze twoi,
Wcale ona nieprzystoi."

I cudnéj pierścień roboty
Złoto-lity, szczerozłoty,
Co od blasku swych kamieni
Cały iskrzy się, promieni,

Kasztelanka zadziwiona
Nie wié czy wziąć; a wtém ona
Schyliła swą rączkę białą,
I coś w palec załechtało,
I jakiémś dziwném zdarzeniem
Jéj serdeczny już z pierścieniem,
Co jak umyślnie robiony,
Ani mały, ni przestrony.
Na serdecznym szczerozłoty,
Zaraz w duszy mniéj tęsknoty;
Zaraz bole w sercu lżejsze,
Oko, lice spokojniejsze:
W końcu zapromieni z czoła
Dawna żywa myśl wesoła
I uśmiech usta umili.
I kasztelan w tejże chwili
Weselszy niżeli bywa:
Bo do niego ot przybywa
Gość, co się rzadko zdarzy,
Z którym od godziny gwarzy,
I razu się nie poswarzy.
Kasztelan z jakowéj beczki
Nie zacząłby choć troszeczki,

To gość jak na pytel bierze;
Lecz co większa, tak się strzeże
Absolutnym być z swém zdaniem,
A tak z pańskiem przekonaniem
Umié zgadzać swoje zdanie,
Że kasztelan jak wosk stanie.

Przy zapleśniałéj butelce,
Cedząc krople po kropelce,
Prowadzą miłe rozmowy.
Węgrzyn począł iść do głowy,
Płyną strumienie wymowy;
Płyną, lecz i czas nie czeka,
Uciekł dzień i noc ucieka.
Noc uciekła, znów dzień biały,
Koguty się wyśpiewały,
Kasztelanki dziewki wstały,
I sama z pościeli wstała:
Twarz jéj płomieniem gorzała,
Pierś jéj jak młotem stukała,
Bo całą noc sny jéj śniły,
Że ot przy niéj, któż?—jéj miły.

Ranne odmówi pacierze
I polewkę piwną bierze,

I choć taka jak codziennie,
Lecz coś w myślach jéj odmiennie.
I w jéj sercu coś inaczéj,
Coraz pierścień swój zobaczy.
Cudny pierścień! Opal mgławy
Zajmuje środek oprawy,
Wkoło jak jeden dobrane
Solitery rozsypane.
Opal odcień swój tęczowy
Rzuca w ogień brylantowy;
A tak z jednego ogniska
Strumień świateł, tęcz wytryska.

Kasztelanka rozmarzona,
Swym pierścieniem zachwycona;
Aż oto u jéj podwoi,
Ojciec ze swym gościem stoi.
Gość niziutki pokłon składa,
Do córki ojciec powiada:
—„Nasz gość zacny, moje dziecie,
Wczora się kąpając w rzece
Stracił pierścień drogocenny;
A dzisiaj jest tego pewny,
Że ten pierścień ty posiadasz:
Coż mi na to odpowiadasz?”

—„Hanka moje rąbki myła,
Wisła pierścień wyrzuciła,
Przyniosła mi go w ofierze;
Lecz nim pierścień gość odbierze,
Zdaje mi się, że nie zgrzeszę,
Gdy powiem niech go opisze."

—„O najchętniéj!.. Opal mgławy
Zajmuje środek oprawy,
Wkoło jak jeden wybrane
Solitery rozsypane.
Opal odcień swój tęczowy
Rzuca w ogień brylantowy,
A tak z jednego ogniska
Strumień świateł, tęcz wytryska."

Kasztelanka zchmurzy czoła:
—„Święta prawda—ojciec woła—
Weź mój gościu pierścień sobie."
Gość wyciągnął ręce obie,
Wlepił w pierścień wzrok łakomy;
Ale pierścień nieruchomy
Jakby wpił się, wrósł do ciała.
Kazał ojciec, więc musiała

Kasztelanka z wielką męką
Ściągać pierścień. Razem ręką
Silniéj szarpnie, pierścień pryśnie,
Na sto cząstek się rozbryznie.
Biegły cząstki rozpryśnione
To w tę stronę, to w tę stronę,
Ażci pan gość, ot kogutem,
Z kraśnym czubem, z żółtym butem;
Z żółtym butem, przy ostrodze,
Śmiga skrzydły po podłodze;
Śmiga skrzydły, gdacze sobie,
Rozpryśniony pierścień dziobie,
Do opala już już kroczy.
Wtém z opala jastrząb skoczy
I w kogucie szpony broczy;
Szpony broczy, coraz srożéj,
Wreszcie trupem go położy;
Potém w górę, i już znika.
W gębie zapomni języka
Pan kasztelan na dziw taki:
Gdzie był tylko mędrzec jaki,
Wnet do siebie przywołuje,
Tłumaczy, argumentuje.

Argumenta, tłumaczenia,
Nic mu tego wydarzenia
Objaśnić nie dopomogą;
Przyrzeka nagrodę drogą.
Do nagrody ochotnika
Wprawdzie znajdzie się bez lika,
Ale tajemnica cała
Jeszcze się ciemniejszą stała.

Głosi kasztelan po świecie,
Że jedyne swoje dziecię,
Swą dziéwkę z cudną urodą,
Z jéj wianem, odda nagrodą
Temu, co na to zdarzenie
Da mu jasne tłumaczenie.
Kasztelanka i jéj wiano!...
Takich nagród nie słyszano!

Rozlecą się wieści chyże,
Gdzie Oxfordy, gdzie Paryże,
Gdzie Rzym, Padwa i tam daléj;
I do piora się porwali
Wszyscy, co to żyją z pióra.
Mądrych ksiąg powstanie góra.

Kasztelan dniami, nocami,
Siedząc nad temi książkami,
Wszystkiego się z nich dowiedział,
Krom tego, czego nie wiedział.
Z niespokoju, alteracyi,
Był w ostatniéj desperacyi,
Schudł, zmizerniał.

Niespodzianie
Przed nim nasz mizynek stanie.
Kasztelan z tego celował,
Że uraz długo nie chował:
Mizynka wita serdecznie,
Przyjmuje go bardzo grzecznie,
A rozpytawszy o zdrowie,
Swe zdarzenie mu wypowie.
Opowiedziawszy zdarzenie,
Wynurzy swe umartwienie,
Że z takiego mędrców tłumu,
Nie masz jednego rozumu,
By coś więcéj widział, wiedział,
I nowego mu powiedział.
I mizynek ubolewa,
A tymczasem się zdobywa

Na argument coraz nowy,
Argument swéj własnéj głowy;
A gdy całkiem głos zabierze,
To wypowié jasno, szczerze,
Czarodziejskie swe nauki,
I pokaże wszystkie sztuki.

Szczerą prawdą przekonany,
Stał kasztelan zadumany;
Znowu przed nim sęk nielada:
Słowa dotrzymać wypada,
Bo szlacheckie słowo święte!!
Lecz czarodziejstwo wyklęte,
Czarodziej na zięcia idzie;
Kasztelan w téj nowéj biedzie
Sobie radzić sam nie może...
Lecz był sobor, na soborze
Teologów pyta zdania.
Długie były tam gadania,
Aż stanęło: słowo dane
Już nie może być złamane;
Lecz pan-młody nim osiągnie
Rękę panny, wprzód przysięgnie,

Że się zrzeka spraw z czartami.
Krom tego siedmio latami
Wojaczki u Palestyny,
Okupi swe przeszłe winy.

Jak chciał sobor, tak się stało:
Przysiągł pan-młody, i z chwałą
Siedm lat u Palestyny
Przeszłe okupywał winy.
Potém wrócił do ojczyzny
Z czołem strojném w święte blizny,
Z tarczą na któréj rozpięty
Ów jastrząb za godło wzięty:
Z kasztelanką się ożenił,
Ale żeniąc się odmienił
Szlacheckie nazwisko dawne,
Na Jastrzębców miano sławne.

DUMY.

SOROKA.

DUMA UKRAIŃSKA.

W gubernii kijowskiéj, powiecie lipowieckim, przy drodze idącéj z Ilinieс do Daszowa, leży mogiła zwana *Soroka*; a lubo do połowy rozkopana, jest jednak jedną z najwyższych mogił na Ukrainie. Poniżéj nad Sobem jest mogiła, zwana mogiłą *Praxedy*. Kilka podań miejscowych podały mi treść do napisania téj dumy.

SOROKA.

Duma z podań Ukraińskich.

I.

—„Czego twój, bracie, chwieje się wrony?
Czego on, bracie, taki spieniony?”
—„Trzy dni, trzy nocy on mnie tu niesie;
Stałem na czatach przy czarnym lesie”.
—„Trzy dni, trzy nocy ku nam leciałeś,
Cóż tam po czarnym lesie widziałeś?”
—„Widziałem wilki trzodą błądzące,
Widziałem kruki stadem lecące;
Widziałem stare we łzach rodzice,
Z rozsianym włosem krasne dziewice;
Mołodce konno mogił pilnują,
A dym kłębami po jarach bieży,

A jak noc Boża, łuny koczują,
Zda się na zgliszczu cały świat leży".
—„Dość, bracie Marku! Więc płaskonosy
Znów przyszli nasze wydeptać kłosy;
Znów przyszli naszę krwawicę grabić,
I dziatek nabrać, i starców nabić.
O czarne diabły! pókiż będziecie
I żyć i broić na Bożym świecie?
Weź, bracie Marku, trąby złocone,
I uderz w prawą i w lewą stronę,
I uderz w górę: ziemia, niebiosy,
Niech sahajdacznych dadzą jak rosy".

We środku zamku, w białéj świetlicy,
Jest cudotworny Boga-Rodzicy
Odwieczny obraz; po Ukrainie
Szeroko swemi cudami słynie.
Pod tym obrazem, co rok święcone
Wiszą na ścianie trąby złocone.
Idzie do białéj Marko świetlicy
I bije pokłon Boga-Rodzicy;
I z ściany trąby złocone bierze,
I na zamkową wybiega wieżę.

I bierze Marko trąby złocone,
I bije naprzód na prawą stronę.
Na prawéj stronie stał las; po lesie
Trąby się rozgłos daleko niesie.
Zbudzone kruki kraczą w jaworach,
A psy zbudzone wyją w futorach;
Z lewad w kurzenie rżąc konie bieżą,
Kipią bajraki, kipią czahary,
Konie i ludzie błądzą jak mary.
Lasem spis, lasy się jeżą.
Bierze brat Marko trąby złocone,
Bije powtóre na lewą stronę.
Na lewéj stronie step się rozlega,
Po stepie rozgłos trąby obiega,
Budzą się jary i budzą sioła,
Wyją psy, konie ze stepu bieżą,
Lasem spis stepy się jeżą.
Bierze brat Marko trąby złocone
I bije w górę: ziemia, niebiosy,
Niech sahajdacznych dadzą jak rosy.

Zielona trawo! na swéj mogile
Długich, swobodnych kwitłaś lat tyle,

I twa wysoka tyle lat panna,
Przekołysała z wiatrem dziewanna,
I twa powiewna, lekka siestrzyca,
W zimowe puchy strojna mietlica;
A dziś was zorzą, zniosą kopyta,
Zimna dłoń śmierci trupem zasieje,
A posiew rosą czerwoną zleje.

Już naniesione buchnęły stosy:
Płomień się schwycił, strzelił w niebiosy,
A za nim dymu wysoka jodła,
Powiewny, długi warkocz rozwiodła.
Jak rzucisz okiem, z wszelkiéj mogiły
Takież ku niebu jodły strzeliły;
I ze stu mogił, sto słupów dymu
Stanie za przednie straże od Krymu.

Zbierał han Giraj chałat skrzydlaty,
Lud stotysięczny, i tak doń prawił:
„Ja będę środkiem w miecze się bawił,
Puszczę pożary na białe chaty:
Giaur się na strony rozleci ptakiem.
Ty, prawa poło, leć prawym szlakiem,

Ty lewa, lewym. Wiążcie tabory,
Aż spustoszeją wszystkie obory,
Aż na Kalnickich staniecie błoniach,
Wiodąc po dziesięć giaurów przy koniach;
Ja na Kalnickiém zgliszczu zasiędę,
Spoczywać będę, dzielić was będę".

Hanie, gdzieś żona cię nie kochała,
Że w tym pochodzie nie zatrzymała.
Czy w waszéj ziemi kukułek nie ma,
Ani z jasnemi wróżek oczyma?
Wróżkaby rzekła: Patrzaj, na niebie
Niedobra gwiazda świeci dla ciebie;
Kukułka jęki rozgłasza wdowie,
Po twoich braci i twojéj głowie;
Siwe jastrzębie, orły się smucą
Po synach stepu, co nie powrócą.
Żonaby rzekła: „Mój mężu, hanie!
Zły sen mi przyszedł w samo świtanie;
Puszczałam nasze wianki na wodę,
Puszczałam nasze włosy na wodę:
Pod wodę poszły wianki i włosy;
Jakieś niedobre wróżą ci losy.

Mężu mój, hanie! czy się chce tobie,
Abyśmy w jednym nie legli grobie?
Abym sierota w mojéj starości,
Pytała wiatrów o twoje kości?"

Nim słońce wstało, Kálnickim szlakiem
Ledwoś się spotkał z wiatrem a ptakiem:
Zaranną ciszę, niebieski dzwonek
Tylko niekiedy budził skowronek,
Albo przepiórka wabiąca dzieci,
Lub bocian, który klekocąc leci.
Gdy słońce wstało, to już bez końca
Skowronek spadał, wzlatał do słońca;
Strumieniem czystéj obmyta rosy
Trawa, zielone suszyła kosy,
Lilia drżała. Dziewiczy kwiecie!
Tyś czuł, że burza ciebie zamiecie.
Czego te orły, kruki się snują?
O! one trupi już zapach czują;
Żurawie sznurem ciągną po niebie,
Ciągnąc wołają: Nie drzémcie ptaki!
Nim wojna przetnie wszystkie wam szlaki,
Rzucajcie gniazda, ratujcie siebie.

Skowronek więcéj nie spadł na niwę,
Przepiórka pierzcha, leci do góry,
Z rud uciekają czajki krzykliwe,
Z rud bocian wieje długiemi pióry.

II.

Jedno sto kopyt tętni po stepie,
A drugie tyle w suchy szlak klepie:
Łamie się trawa, rośnie kurzawa.
Z złamanéj trawy, wzrosłéj kurzawy,
Coraz barania czapka wystawa,
I koń łabędzią podnosi szyję,
Aż nad kurzawę, trawę się wzbije,
I wpół zakryty, wpół widny oku,
W zielonym, mglistym buja obłoku.
Czegóż tak pilno, dokąd ugania
Jeździec za jeźdzcem?—Tam, pod namiotem
Czystego nieba, na traw kobiercu,
Zasiadła rada, serce przy sercu,
I grot kozaczy związuje z grotem:

Aż nawiązawszy i serc i grotów,
Na głowę Tatar nasypie grzmotów.

Tam radzi rada, tam radzi rada,
Kto atamański buńczuk owłada,
Kto będzie orłem, i pod swe pierze
Lotną, kozacką dziatwę zabierze?
Któż nad Sorokę!... W zarannéj porze
Wodził on czajki na sine morze;
Teraz utopił czajki do wody,
By z Tatarami chodzić w zawody;
Chodzić w zawody, i póki siły
Dobić się w czystém polu mogiły.

Hura i hura! brzmią w niebo głosy.
Cały dzień Boży do nocnéj rosy
Każdy prawicę Soroki ściska,
I krzyż całuje, i szablą błyska.
Jak wieczór cisza; tylko w świetlicy,
Kędy Przeczystéj obraz Dziewicy,
Sama dobrańsza idzie starszyna,
Pokorne czoło do ziemi zgina,

I cichą z sobą radę wytoczy,
Jak pohańcowi ma zajrzéć w oczy?

Różni prawili; ataman prawi:
„Dopóki buńczuk będzie w méj dłoni,
Dopóki szabla przy boku dzwoni,
Póty wróg stopy tu nie postawi.
Będziemyż czekać, będziemyż zwlekać,
Aż nas jak myszy w garnku podławi?
Ojcowie zbiegłszy jak ten świat biały,
Dlategoż w domu złożyli głowy,
By je Tatarzyn wziął pod podkowy,
Aby je dzieci krwią obryzgały?
O! nie, druhowie! Na wilczym jarze
Jest co główniejsze siadło Tatarze:
Bogaty jasyr, krzywda, krew nasza.
Nim ranne słońce mgły porozprasza,
I nim noc zejdzie, gwiazdy przeświecą,
Nasz jasyr, a łby czarnym psom zlecą.
Tak, zgoda.... zgoda".—I przed ikonem
Uderzą wszyscy nizkim pokłonem,
I daléj hura!...

Ale w świetlicy
Któż taki, do stóp Bogarodzicy

Upada na twarz i tak wyrzeka:
„Znowu mój siwy sokół ucieka,
Znowu na wojnę. Niech Twa opieka
Przeczysta, skrzydłem swém go zasłoni.
Wszak nie za marną sławą on goni.
Matko! Twe dzieci w ciężkiéj potrzebie!
Dobył on szabli, Matko, za Ciebie,
Za Twego Syna: krzep jego ramie,
Niech bisurmanin go nie przełamie;
Krzep jego ducha, niech świat daleki
Pozna cud Twojéj świętéj opieki!"
Tak się modliła jak zorza jasna,
Żona Soroki młoda a krasna.

Po błoniach Sobu toczą się wody, (*)
I błonia w świeży kwiat ubierają.
Nad Sobem czyjeż hasają trzody?
Nad Sobem czyjeż stada hasają?
Jako te trzody, takich nie mają
Drudzy królowie, a takie konie
Na wagę złota tu w naszéj stronie

(*) *Sob*, rzeka w gubernii kijowskiéj, w powiecie lipowieckim, płynąca blizko mogiły zwanéj *Soroka*.

Nie kupisz nigdzie. Te trzody, stada,
Ataman z ciężkim zebrał nakładem;
Lecz nie tak pyszny trzodą i stadem,
Ni złotem, które w swych skrzyniach składa,
Ani czterdziestą bitew wygraną,
Zkąd mu *Soroki* nadane miano:
Jako on pyszny z swéj krasawicy,
Duszy swéj duszy, młodéj Praksedy.
Od kiedy ziemia i Ruś od kiedy,
Jeszcze nie było takiéj dziewicy.
Jak delikatny kwiatek jabłoni,
Takim się wstydem jéj lice płoni;
Jako z dameszki wiernéj szablicy,
Taki z jéj ogień bije źrenicy.
Jéj stopa lekka, jak cień miesiąca,
Co idzie stepem a traw nie trąca;
Krasne jéj usta, co jak kwiat świécą,
Zkąd modły prosto do niebios lécą.
Kraśniejsze serce, które przed Bogiem
Prochem upada, ale przed wrogiem,
Przed Tatarzynem, gołąbek biały
Przerasta w męża, i sieje strzały,
I sieje mieczem, i krwawém błoniem,
Jak sam ataman, tak toczy koniem.

Błysnęły piérwsze na niebie gwiazdy,
Miesiąc z za lasu wychylił rogi;
Zagrała siostra-trąbka do jazdy,
I każdy milcząc stanął do drogi.
Ataman, piérwszy żóraw', wódz stada,
Rusza po przedzie: to między jary,
To między lasy. Czasem okłada
Wysokie garby, nizkie czahary;
Czasami cugle koniom przykróci,
Wytchnie i znowu ptakiem się rzuci.
Przepłynął Rośkę, w któréj spokojny
Kąpał się księżyc daleki wojny;
Przepłynął Rośkę, na któréj brzegu
Stanął wieczorny wiatr do noclegu.
Ale po olchach i po osoce
Wabiąc się ptastwo, w skrzydła trzepioce
I budzi wiater, aby nie drzémał,
A z echem wartę nad światem trzymał.

Jeszcze goń jeden, step jeden jeszcze,
A hoża sława w dłonie zapleszcze;
Jeszcze goń jeden. Wietrzyk zbudzony
Smutnie zadzwonił w północy strony,
Powiał po stepie, i tak się zdało,
Że sto okolnych mogił jęczało.

Schylił się miesiąc, chmurą osłonił,
I cichą kroplę rosy uronił.
Może to z krain, kędy on świeci,
Tak ojców duchy płaczą swych dzieci.
Ach! płaczą, płaczą, a nie odwrócą
Nieszczęść, co wiek nasz zarania krócą.
I smutnie wiater na stepie śpiewał,
I smutne myśli w duszę nawiewał;
A choć mołodcy wyrośli w wojnie,
Jednak szli smutnie i bezspokojnie.

Inaczéj było na wilczym jarze:
Syta rozbojem, w śmiechu i gwarze
Trzymając swoich brańców na smyczy,
Zasiadła tłuszcza tatarskiéj dziczy,
Rozhowor wiodąc o swéj zdobyczy;
Rozhowor wiodąc o swym powrocie,
O krasie branek, o czystém złocie.

„Żaden rok nie był szczęśliwy taki:
Giaur się rozpierzchnął jak z gniazda ptaki,
Lub poszedł w łyka, lub upadł trupem,
Dom swój z dobytkiem oddawszy łupem.

Jak w niepamiętnym nie było czasie,
W konie i bydło Krym się zapasie;
Haremy w świeże przestroim kwiecie.
Padysza, chociaż piérwszy na świecie,
Przyśle witalne listy z powrotem,
Z prośbą o branki—i z czystém złotem
Darujem gwiazdę dla jego słońca,
Niech sobie świecą. Gdyśmy ruszali,
Któż się takiego spodziewał końca,
Po krukach, co nam w oczy krakali,
I po wróżbitach, co wywróżyli,
Żeśmy do czarnéj gwiazdy dożyli?
Krucy, wróżbici, w zmowie z giaurami;
Snać nie wojować im więcéj z nami:
Zguba ich przyszła".

Tak rozprawiała
Bezecna horda. Jutrznia świtała
Pode dnia drzwiami; księżyc z za góry
To się wykradał, to kładł się w chmury,
I blade światło rzucał po jarze,
To na kurnóse Tatarów twarze,
To na bolesne branek oblicze,
Gdzie kwitły wszystkie nieszczęść gorycze,

To na te kości, których tu tyle,
A co próchnieją w trawie i pyle.
Ostatni migał płomień ogniska,
Zaspana warta rzadziéj wołała.
„Czegóżto ziemia tak zahuczała?
Nie... to zagrzmiało; zda się nie błyska,
Nie piorunowe naległy chmury,
Coraz to huczy... Pewnie z pastwiska
Biegną tabuny, a może który
Wilcy spłoszyli, że tak przeleci.
Jeszcze zbyt rano, jutrznia się świeci,
Rosa upada: tabun spłoszony
Pewnie być musi; znać to po biegu
Krótkim, urwanym". Tak przebudzony
Strażnik przebąknął, i do noclegu
Znowu się zabrał, zasnął spokojny.
Jeden jarami szedł zastęp zbrojny,
A drugi prosto przez stepy gonił,
Trzeci się z lasów cienia odsłonił,
I z gromkiém hura! ostrém żelazem
Na kosz tatarski napadli razem.
Napadli... rzekłbyś wilki na stado,
Grady na niwę: głowy się kładą,
Lecą turbany, walą tułowy,

Po jarze idzie huk piorunowy.
To tak miecz kuje w kowadło śmierci!
I kuł godzinę, ćwierć i półćwierci,
Aż wszystkich Krymców śmierć ogarnęła,
Aż każda głowa w trawie zasnęła.

Dzień się przebudził i wstał wesoło,
Jakby nie bryzła krew mu na czoło;
Dzień się przebudził i wstał spokojny,
Jakby nie słyszał rozboju, wojny.
Witał wesoło dzień przebudzony
Braniec, z tatarskich łyk uwolniony;
Witał i Kozak wygraną pijany,
Co zbierał szable, zdzierał turbany.
Lecz najserdeczniéj witał płacz dziatek,
Skaczących z wozów do swoich matek,
I krzyk radosny dziewcząt niewinnych,
Co się do płaczów łączył dziecinnych.
Rozbito wozy, stada zegnano,
Na cztery wiatry wieści wysłano,
Aby lud wierny zewsząd się zbierał,
I swoje mienie, dzieci zabierał.
Z dobremi wieśćmi wiatry leciały,
Z czterech stron wierny lud zwoływały.

A czy to wiatr z poselstwa wraca,
Że się kurzawą kłębem przewraca,
Czy czart za duszą tatarską bieży,
Co się dziedzictwem jemu należy?
Patrzy ataman, oczom nie wierzy,
Nie wierzy biciu serca własnego:
To od Praksedy tak goniec leci
Po chrobrą drużbę, po orle dzieci,
By szli wojować diabła czarnego,
Który tu zbity, lecz straszny, zbrojny,
Stanął pod wałem miasta do wojny.
Świsnął Soroka na konia swego,
Porwał za szablę, wskoczył na niego,
Wybiegł na górę, w trąbkę zadzwonił,
I z mołodcami nazad pogonił.
A wolnych brańców serca i dłonie
Błogosławiły męże i konie,
A wiatr ojczysty swych skrzydeł dwoje
Oddał ochoczo pod chrobre woje.

III.

Gdzież się te białe podziały sioła,
Gdzie tamta młodzież hardego czoła?
Nie dostać było niwie przed gradem,
Ni im przed hordy dostać napadem.
O złota niwo! na cóż cię zżyna
Kto cię nie zasiał?.... Trwoga rozpina
Jastrzębie skrzydła i wrzeszczy: biada!
I z sioła w sioło, z grodu w gród wpada.

I do Kalnika wleciała trwoga,
Wiodąc za sobą nawałę wroga;
Wiodąc nawałę przez stepy, lasy,
Jako szarańczę w żniwowe czasy.
Któż zagrzmi w trąby, uderzy w dzwony,
I od téj plagi ocali plony?

Bóg chyba tylko... a tu dokoła
Tatarzyn w zamek tłucze i woła:
„Otwórzcie zamek, wy psy zhardziałe,
Jeżeli chcecie unieść łby całe!
Otwórzcie zamek, bo za godzinę
Precz wasze gniazdo puszczę w perzynę!"
O! nie tak skoro, brodaty hanie!
Bo jest ktoś z nimi, co za nich stanie,
Co waści strzały rzuci na ciebie:
Matka-Dziewica, Królowa w niebie.
I wypuszczone tatarskie strzały
Prosto swym strzelcom w serce strzelały,
I podniesione tatarskie miecze
Czarna tatarska jucha ociecze.

I jęknie Tatar, nazad odskoczy,
A niebo jasne, gwiazdziste oczy
Do snu przymruża. Krótko zbudzone
Znów spoczną stepy, lasy zielone;
Czarną opończą nocy okryte,
Zasną głębokim snem jak zabite.
Ponocnym chłodem studząc swe rany,
Zaśnie i Tatar ciężko zziajany;
Ale nie zasną Kalnickie dzieci,
Bo je trzeźwiąca trwoga obleci.

Błądzą po wałach okuci stalą,
I jasne, rzęsne ogniska palą,
I pieśnią Bogarodzicę chwalą,
Nabożną pieśnią, co jak świat stara,
Którą złożyła miłość i wiara.

Tuman swe ciemne, wilgotne skrzydło
Wznosił do góry, schylał ku ziemi,
Aż złoto-lite nieb malowidło
Ciemny, ciemniejszy obłok zaciemi,
Aż cała ziemia, jak kadzielnica
W dymach się skryje. Błysnął księżyca
Jeden róg złoty i zagrzązł w chmurze,
Błędny ślepowron zadzwonił w górze,
I cisza; tylko ze rżeniem koni,
Coraz to słyszysz głuchy chrzęst broni..
To tak znudziwszy swój wiek spokojny,
Budzą się duchy ojców do wojny,
I przebudzone po stepach gonią,
I w stare zbroje, w kopyta dzwonią,
I dzwonią strasznie, jak na sąd Boży.
Ockniony Tatar w sobie się strwoży,
Nie wierzy sobie, oczom nie wierzy,
A wojsko dziwnych, strasznych rycerzy

Pędzi mu w oczy, pędzi i znika,
Zawyje z wiatrem muzyka dzika,
Muzyka wilków u kościeliska,
Gdy im głód kości wpycha do pyska.

Dzień przebudzony wstał jak z bezsenia.
Mgła ciemna oczy jemu zacienia,
Zacienia czoło; otworzył oczy
I patrzał smutnie, aż się wytoczy
Łza, co wisiała tam pod powieką.
Jéj czyste rosy gdy na dół ścieką,
I gdy obmyją świeże dnia lice,
Pięknie zaświecą dwie krasawice,
Hoże i młode: ziemia, niebiosy.
Wczoraj je miłe witały głosy
Powietrznych gości stepów i lasów;
Dziś muszą słuchać jęków, hałasów
Bezbożnéj wojny. Wczoraj spokojnie
Dudka tu grała, nie śniąc o wojnie,
A teraz, teraz!... Jeszcze dziś zrana
Zakryło słońce skrzydło tumana,
Tuman się rozlał rosy kroplami;
Lecz tuman wzbity ich kopytami

Gdy na dół zleci, to ziemia cała
W czerwonéj rosie będzie pływała.

Na białym koniu, miasto szablicy
Trzymając obraz Bogarodzicy,
Prakseda miejskie objeżdża wały,
Na których mężne wojaki stały.
Dziécię, kobiéta, starzec zsiwiały,
U ich stóp smoła, oléj się pali,
U ich stóp leżą kłody, kamienie,
A w rękach ostrze połyska stali,
A w duszy gore jedno pragnienie:—
Zemsty i zemsty... Allahu! hura!
I pociągnęła tatarska chmura
Straszną obławą prosto na wały.
Buchnęły ognie, kłody zagrzmiały,
Jak śniegi z dachów, na dół zleciały
Czarne robaki, co tam pełzały;
Zbite, spalone, uwięzły w rowach,
A drugie po ich darły się głowach
Wyżéj i wyżéj;... drugie i trzecie,
Jak z wymiatanéj izby to śmiecie,
Precz poleciały.... darły się znowu,
I znowu na łeb spadły do rowu;

Jeszcze raz poszły, jeszcze raz spadły.
Czy wróg na siłach ustał zajadły,
Że nie na wały, lecz goni w pole,
Ale się wszystek zebrał w półkole,
Zawył, wzniósł szable i diabłem skoczył?
„O! to zapewne już naszych zoczył:
To i nam dłużéj nie siedzieć w jamie,
Z szablą i nożem daléj ku bramie!"
Woła Prakseda, i już po przedzie
Na swoim białym koniku jedzie.
W jéj ręku zamiast noża, szablicy,
Świeci Przeczystéj obraz Dziewicy,
A nad nią z cerkwi powynoszone
Wieją chorągwie żółte, czerwone.
Przed nią pop idzie, nabożnie śpiéwa,
Brat Marko w trąby złote przygrywa;
Za nią oręźny, brzmiący rój leci,
Z wojaków-starców, kobiét i dzieci·
Straszny rój! Biada! kto go zakłóci,
Bo go żelazném żądłem obrzuci.

To już nie cerkiew świętą budują,
Ani las rąbią, w kowadła kują,

Że łoskot taki, że gomon taki;
To tak z Tatary nasze Kozaki
Poszli na piki, poszli na szable
Tu hura! a tu Allahu diable!
Wciąż i wciąż wrzeszczy, wciąż i wciąż wyje,
Słupem kurzawa w niebo się wzbije,
Tych i tych czarną burką nakryje;
Nakryje czarną burką, by w cieniu
Wolniéj krwawemu płynąć strumieniu,
By oko Boże, słonko na niebie,
Już nie tak wojno, klęło na ciebie.
Dwie życia rzeki z sobą się zwarły,
Aby wzajemnie siebie pożarły;
Dwie śmierci poszły na siebie w miecze.
Cała się powódź tatarska sciecze
W jedno koryto; i młódź kozacza
W jednę się groblę, w mur przeistacza.
Ni dostać grobli, ni zmódz powodzi;
Ale Prakseda z swém wojskiem wchodzi,
Gdzie tam! z cudownym wchodzi obrazem
I moc tatarska upadnie razem.
Jedni z nich zaraz wlecą do Sobu,
O! nie do Sobu, ale do grobu.

Drudzy się puszczą w nogi po lesie,
W ich ślady zemsta nóż, topór niesie;
A trzeci na te wybiegną pola.
Daléj im z miejsca ruszyć nie wola:
Na wieczne czasy legli jak stali.

Prakseda zbrojna świętym obrazem,
Niwą zasianą trupem, żelazem,
Stąpa powoli i tak się żali:
„Ach! gdzież mój sokół, czemuż go nie ma?
Mili druhowie! mówcie oczyma,
Gdy nie możecie mówić ustami:
Czemuż go nie ma pomiędzy wami?
Czyście wy jego tam zagubili,
Czy on tu przepadł? Druhowie mili!
Powiedzcie, proszę, gdzie on, gdzie drogi?"
. . . .

Na tłumie trupów w kupę zwalonych,
Na tłumie trupów zbitych, zsieczonych,
Leży oparty martwy Soroka.
Pierś jego—jedna rana głęboka;
Skroń jego—jeden potok czerwony.
Przy jego nogach stoi koń wrony,

I jakby nie rad z pańskiego spania,
Kopytem grzebie, tręzlą podzwania.
Darmo koń grzebie, płaczą druhowie,
Już się nie podnieść więcéj téj głowie,
Już się nie podnieść więcéj téj dłoni
Ani do czarki, ani do broni!

O! ciężko, strasznie w tym boju było!
Ale tak bić się, tak ginąć miło,
Jako przystało na atamana.
Pod nogi sobie posłał trup hana:
Zginął Tatarzyn, ataman zginął.
Luby zgon taki, bo będzie słynął
Póki te lasy, mogiły, rzeki,
Bóg wié przez jakie dalekie wieki.
Lecz nie zapomni wiek Ukraina,
Że utraciła takiego syna.
Przebił jéj serce miecz poganina:
Któż zgoi sercu zadaną ranę,
Kiedyż te przejdą dni opłakane?

A jeśli przejdą, to nie dla ciebie:
Ty już na swego szczęścia pogrzebie
Jesteś, Praksedo! Nic tu już tobie,
Tylko się żywcem zakopać w grobie!

Zgasło twe słońce, cóż ci bez słońca?
Noc twa nastała, kiedyż jéj końca
Doczekać przyjdzie, kiedyż, ach! kiedy?
Biała gołąbka szczęścia Praksedy
Już uleciała; szczęścia kwiat biały
Zmięły, zwarzyły wczesne upały.
A onaż była nabożna taka!
Jéj strzecha była strzechą żebraka,
Jéj strzecha była strzechą chorego!
Najpiérwsza sługa ludu Bożego,
Zabywszy o swém zdrowiu, o sobie,
Służyła jemu w złéj, w dobréj dobie;
I dzisiaj tylko za jéj modłami
Bóg to zwycięztwo dał z Tatarami.
Smutne zwycięztwo! drogo kupione!
Do liców męża usta spalone
Tuląc Prakseda, tak głósi biedna:
„To już ja zostać mam sama jedna,
Bez ciebie, moje słonko, na świecie,
Sierota w mojéj wiosny rozkwiecie!
Któż mnie nauczać, któż radzić będzie,
Któż ze mną razem za stołem siędzie?
Dom twój bez ciebie marnie upadnie,
Twe stado piérwszy złodziéj rozkradnie;

Coś ty nazbierał jeżdżąc przez morze,
Coś ty naskładał w twojéj komorze,
Wszystko przepadnie, wszystko to zginie!
Lecz niechaj ginie, niechaj przepada:
Co mi bez ciebie cały świat nada,
Na co mi teraz choćby świat cały,
Gdy już nie będą na mnie patrzały
Twe jasne oczy? Gdy twoje lica
Taka zmroziła straszna zimnica?
Gdy mnie w objęciach swych nie uściśniesz,
Na ustach moich już nie zawiśniesz?
Na cóż ci tylko wojna się śniła,
W dzień i w noc tylko na myślach sława?
Toć milsza tobie odemnie była
Zielona w czystém polu mogiła,
Zielona w czystém polu murawa?"

Nie sama tylko Prakseda płacze:
Płaczą i inne żony kozacze,
Płaczą i inne matki kozacze.
Dwieście mołodców padło na polu!
Ileż serc jęczy z żalu i bolu!
Lecz jakieżby się jęki rozległy,
Gdyby się wszystkie Tatarki zbiegły

Opłakać swoich, a których tyle
Leży w wojennym znoju i pyle!
Za wierne żony, matki i dzieci,
Jeden chorowod kruków przyleci,
A drugi orłów, a wilków trzeci,
I wszystkie razem wyjdą na pole,
Zabiesiadują przy krwawym stole!
Niech biesiadują, niech marnie ginie,
Kto chciał na drugich zasiąść ruinie!
Kto niósł na drugich i miecz i łyka,
Temu niech zagra taka muzyka,
Temu za pieśni, temu za płacze,
Niechaj wilk wyje, niechaj kruk kracze!

* * *

IV.

O pieśni moja! czy cię ubierze
Sława w sokole bezśmiertne pierze,
Czy ty upadniesz mchem na mogile
I zaśniesz ze mną na wieki w pyle?
Upadnij, zaśnij na wieczne czasy,
Tylko dziś moje serce pocieszaj,
W piołuny kroplę miodu przymieszaj,
A potém.... potém....

Czy to tak lasy,
Czy to tak ptaki szumią i huczą?
Gdybyto lasy ciągle szumiały,
Gdyby to ptaki, jużby przestały.
Ani to lasy, ani to ptaki,
To ludu w pole wyszedł rój taki,

A znosząc darnie do jednéj kuczy,
Tak sobie szumi, tak sobie huczy.
Wielki rój w pracy — ani przysiędzie:
Bo téż mogiła nad inne będzie,
A starce chodzą z chlebem i flaszą,
Gorliwych chwalą, leniwych straszą,
Nie skąpią czarki, nie skąpią słowa.
I wyżéj, wyżéj rośnie budowa,
I rośnie jeden dzień bez ustanku,
I rośnie drugi; w trzecim poranku
Mogiła wyżéj głowę podniesie,
Niż cerkiew w mieście, niżli dąb w lesie.

„Dość" — rzekną starce.
Pop z krzyżem w dłoni
I z szatą, co go do stóp osłoni
Srebrem i złotem, stał nad mogiłą
I z dziaki swemi pobożnie śpiewał,
Święconą wodą kropił, polewał.
Skończył... sto płaczek z miejsc swych ruszyło,
I zajęczało w bolesne głosy
Wielką pieśń żalu popod niebiosy;
A za płaczkami każda rodzina
Niosła swojego męża lub syna,

I mary jego ubrała w kwiaty,
A zwłoki jego w przybór bogaty:
I niosła jasną, wierną broń jego,
I wiodła konia i psa wiernego.
A pod mogiłą chorowod stawał,
Wojennym druhom druha oddawał;
Druhowie druha do siebie brali,
I na mogile w grobie składali,
I pogrzebalną tak pieśń śpiewali:

„Składamy cię, bracie w grobie,
Niech ziemia nie cięży tobie;
Ale lekka jako liście,
Podnosi się na twe przyjście.

Przychodź do nas, przychodź bracie!
Wierna żona czeka na cię,
Czeka siostra, czeka matka,
I brat czeka, i czeladka.

Koń twój będzie dopatrzony,
Ptak karmiony, chart karmiony;
Po miesiącu, jeśli wola,
Pohulasz sobie przez pola.

Po dniu białym jaskółeczką,
Po dniu białym kukułeczką,
Wieść weselszą między nami
Wyszczebioczesz pod oknami.

Jako jare słonko w wiośnie,
Powitamy cię radośnie,
Przypomnimy stare boje,
Przypomnimy imię twoje.

Wiater z lasu liście zmiata,
I nas zmiecie śmierć ze świata.
Oby bracie z nas każdemu
Przyszło ginąć po twojemu!

Leci orzeł pod niebiosa,
A na darni błyszczy rosa:
To modlitwa, Boże, Tobie!
To łza żalu bratu w grobie!"

Gdy tak druhowie druhom śpiewają
I na mogile w grobie składają,
Zwolna chorowod ciągnie ostatni.
O! to chorowod nad chorowody:
Sorokę wszystek wierny lud bratni
Do jego cichéj wiedzie gospody.

Brat Marko idzie po samym przedzie,
Gra w złotę trąby, chorowod wiedzie;
A za nim płaczek dobrane głosy
Pieśń żalu głoszą popod niebiosy,
A daléj, jakby straża dla marów,
Idzie w kajdanach dwieście Tatarów;
Daléj wóz pełny zdobytéj broni
Ciągną mołodcy na miejscu koni,
A na tym wozie w zbrojnéj odzieży
Jak gdyby spiący ataman leży.
W głowach Prakseda napoły żywa
Siedzi, w gorących łzach się rozpływa;
U nóg dwa piękne charty skowyczą
I dwa sokoły żałośnie krzyczą.
Za wozem idzie wierny koń wrony,
I rży i wietrzy na wszystkie strony;
Daléj się ciągnie chmurze podobny
Naród wszelaki: dorodny, drobny.

Chorowod stanął popod mogiłą,
Dwieście mołodców raźno skoczyło,
Dwieście Tatarów głowy pozbyło.
Padły bełkocąc tatarskie głowy,
Krwią żachlupały czarne tułowy,

Krwią zachlupały, krwią zadymiły,
Długim się mostem precz pościeliły;
I po tym moście, przy trąb rozgłosach,
I po tym moście, przy ludu głosach,
I po tym moście, przy pieśniach, jęku,
Druhowie druha nieśli na ręku
Na wierzch mogiły, i w grób złożyli,
I łzą polali, darnią zakryli.

Nie ziele ruta, ani murawa,
Rośnij posiana kozacka sława,
I rośnij, rośnij w niebo wysoko,
Na całą ziemię rośnij szeroko,
Wiecznie zielona i wiecznie młoda!
Brat orzeł orłom o tobie poda,
Żóraw' żórawiom o tobie poda;
Bracia żórawie, orły druhowie
Rozniosą ciebie po całym świecie...
Kiedyś się zbudzi kozackie dziecię,
I co zabyły orły, żórawie,
O twojéj staréj rozgłosi sławie.

Jak gołąb' siwy, śpiewak wiekowy
Z swą lirą w ręku siadł na mogile,

Patrzał przez chwilę, dumał przez chwilę,
I zagrał temi rymując słowy:

„Odarta z liści, odarta z kory,
Ta sucha wierzba do jakiéj pory
Stać jeszcze będzie? Trzebaż jéj na to,
By szaszel toczył w zimę i lato,
By wiatr nią skrzypiąc, przechodnie trwożył,
A dąb rozkoszny, dąb urodziwy,
Co przeciw wichrom zasłaniał niwy,
Aby swą marnie głowę położył?
Trzebaż ci synu już spać w tym grobie,
Mnie żyć na świecie, śpiewać o tobie?

„Kiedy twój ojciec ginął na polu,
Nietyle rany niosły mu bolu,
Ile te myśli bolały w głowie:
Czy syn ojcowskiéj sławie odpowie?
Wysoka była ojca mogiła,
Synowska cieniem swym ją nakryła.
Siwa kukułko raju świętego,
Pokojna Marto! biesiaduj z nami,
Pociesz twe serce temi pieśniami,
Potém do raju zabierz je z sobą,

I pociesz niemi syna twojego.
Pociesz go, pociesz naszą żałobą,
Naszą boleścią; a czarna dola
Niech nasze orze, zasiewa pola.

„Ej Rusi! Rusi! gdzie twe śpiewaki?
Padł w boju wielki ataman taki,
A nie masz pieśni zaśpiewać komu...
Młodości moja! czemuś nie w domu?
Młodości! jak ja ciebie dogonię,
Jak pieśń zaśpiewam, w lirę zadzwonię?

„Zaśpiewam.... o nie, moi druhowie:
Głos serca w wolnéj przyjmijcie mowie,
A jeśli jesteś, śpiewaku duszy
Tu między nami, weź miejsce moje,
Rozwesel nasze serce i uszy....
Śpiewaj... Daremnie błądzę oczyma,
Przeszedł wiek pieśni—piewców już nie ma!"

* * *

Pracuję, synu, w piątek, w niedzielę,
Z tobą się kęsem ostatnim dzielę,
Dzielę się z tobą ostatnią szmatą;
Synu mój, synu! co mi dasz za to?

Milczy Archory, lecz z pod powieki
Dwie łez gorące trysną mu rzeki.
Matka się łzami syna rozczuli,
Do swego serca z płaczem przytuli.

I wzrastał pięknie Archory młody
W owoc rozumu i kwiat urody,
I wyrosł taki hoży, dostojny!
Szła wszystka nasza młodzież do wojny,
Archory nie szedł: bo on swą matkę
Chciał wprzódy w własną wprowadzić chatkę,
I dniem i nocą ciężko charował,
Aż białą czystę chatkę zbudował.
Sprowadził matkę, sam poszedł w pole,
I krajał pługiem na żyto rolę.
Ciężko mu, nudno za pługiem było,
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,
Jednak pracował cicho, skwapliwie.
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą; zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła: „Synu! pług nie dla ciebie:
Do pługa znajdę sługę dla siebie,
A ty w mołodców hożym doborze

Pojedź, pohulaj przez sine morze.
Tam Bizantynę znajdziesz gród dawny,
A w Bizantynie jest obraz sławny
Boga-Rodzicy. W carskiéj komorze,
Ten święty obraz w pysznym przyborze
Sam jeden wisi; zostaw przybory,
Mnie obraz dostań z carskiéj komory.
Za to żem nocy mych nie dospała,
Żem głód cierpiała, żem chłód cierpiała,
Żem cię takiego wyhodowała,
Pamiętaj synu, bym obraz miała."

Archory matki całował nogi,
Hożych mołodców wybrał do drogi,
Wybrał mołodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka, leciał przez morze.
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapieniał siny;
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim car swoje sługi
Słał do mołodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystko zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.

„Nie chcemy złota—rzecze Archory—
Lecz dajcie obraz z carskiéj komory,
Co to tam wisi w drogim przyborze;
Przybor zostanie przy was w komorze,
Obraz weźmiemy; a bez obrazu
Nie masz pokoju ogniom, żelazu."
Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował;
I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
Tylko świętego nie brał obrazu.
Ale Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę,
I rozbił ściany na carskim dworze,
I zabrał święty obraz w komorze.

I przywiozł obraz Archory matce,
I znowu cicho zasiadł w swéj chatce,
I znowu z pługiem wyszedł na pole,
I po dawnemu orał swą rolę.
Ale mu nudno za pługiem było;
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,

Jednak pracował cicho, skwapliwie.
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą; zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła: „Synu! pług nie dla ciebie:
Do pługa znajdę sługę dla siebie;
Ty znowu pojedź za sine morze.
Jest tam pop święty na carskim dworze;
Car go jak ojca czci rodzonego,
Cały się naród modli do niego,
A on nad księgą siedzi rozparty,
I milcząc święte przewraca karty.
Wié on to wszystko, co w ziemi, w niebie:
Sprowadźmy tego popa dla siebie,
Niech nas nauczy jak służbę prawić,
Jak żyć na świecie a duszę zbawić.

Archory matki całował nogi,
Hożych mołodców wybrał do drogi.
Wybrał mołodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka leciał przez morze,
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapięniał siny;
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim car swoje sługi

Słał do mołodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystko zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.
„Nie będziem palić Bizanty grodu,
Ani waszego gubić narodu,
Zaraz pojedziem nazad przez morze;
Lecz jest pop święty na carskim dworze,
Car go jak ojca czci rodzonego,
Cały się naród modli do niego,
A on nad księgą siedzi rozparty,
I milcząc święte przewraca karty;
Wié on to wszystko. co w ziemi, w niebie:
Musim mieć tego popa dla siebie,
Niech on nas uczy jak służbę prawić,
Jak żyć na świecie, a duszę zbawić."—
„Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował;
I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
A nie brał tylko świętego popa.

Ale Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę,
W powietrze carski dworzec wysadził,
Na swoję czajkę popa sprowadził.

I przywiózł popa Archory matce,
I znowu cicho zasiadł w swéj chatce;
I znowu z pługiem wyszedł na pole,
I po dawnemu orał swą rolę.
Ale mu nudno za pługiem było;
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,
Jednak pracował cicho, skwapliwie.
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą: zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła: „Synu! pług nie dla ciebie,
Do pługa znajdę sługę dla siebie:
Ty znowu pojedź za sine morze.
Jest tam budownik na carskim dworze,
Człowiek w anielskiém dziele uczony,
Budować cerkwie, wylewać dzwony,
Pisać obrazy.... Na naszéj Rusi
Już téż koniecznie cerkiew być musi;
Każdéj się chatce obrazy spiszą,
Ludzie przed śmiercią dzwonów posłyszą."

Archory matki całował nogi,
Hożych mołodców wybrał do drogi;
Wybrał mołodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka leciał przez morze.
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapieniał siny;
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim już car swe sługi
Słał do mołodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystkie zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.
„Nie będziem palić Bizanty grodu,
Ani waszego gubić narodu,
Zaraz pojedziem sobie przez morze;
Lecz jest budownik na carskim dworze,
Człowiek w anielskiém dziele uczony,
Budować cerkwie, wylewać dzwony,
Pisać obrazy.... Na naszéj Rusi
Już téż koniecznie cierkiew być musi;
Każdéj się chacie obrazy spiszą,
Ludzie przed śmiercią dzwonów posłyszą."
Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował;

I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
A nie chciał tylko brać budownika.
Ale Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę,
Aż carski dworzec z ziemią zagładził,
I budownika matce sprowadził.

Już więcéj pługa w pole nie żenie,
Ale na cerkiew zwozi kamienie,
I od rozświtu do nocnéj pory,
Dzień w dzień wesoły w pracy Archory.
I mury cerkwi z każdym dniem rosły,
I trzy się złote kopuły wzniosły;
Z trzech kopuł złote trzy krzyże wstały,
Z dzwonnicy trzy się dzwony ozwały,
I głos ich święty po Ukrainie
Długo, daleko, wesoło płynie.
Naród zdziwiony, co to jest? pyta,
I łzami święte dzwony powita;
I łzami święte powita dzwony,
I nizkie czołem bije pokłony.

Cóż gdy wystąpi pop nauczony,
W ryzach wystąpi, światła zapali,
Nabożną pieśnią Boga pochwali!

* * *

Płynie po ługu woda, i niesie
Zielone liście, narwane w lesie;
Liściom do drzewa więcéj nie wrócić,
Na wieki wodzie swój brzeg porzucić,
Na wieki Marcie rozstać się z nami!
Syn oblewając jéj nogi łzami,
Prawi: „Czém, matko, ciebie nadzielić,
Czémby dziś serce twe rozweselić?
Dostanę tobie paproci kwiata,
Żywiącéj wody z drugiego świata.”
A matka: „Synu! nic mi nietrzeba,
Tylko się duszą dostać do nieba:
Podaj mi do rąk Boga-Rodzicę,
Podaj mi do rąk świętą gromnicę;
Dzwon niechaj moje pocieszy uszy,
Pop dopomoże z ciała wyjść duszy.
Pod cerkwi progiem dół wykopajcie,
I mnie grzesznicę tam pochowajcie;
Niech depce po mnie wszelki człek żywy,
A tylko będzie Bóg miłościwy!

Za to, żeś synu tak mnie miłował,
Za to, żeś synu tak mnie szanował,
Twe imię będzie po świecie słynąć,
Póki stać lasom, Sobowi płynąć.
Jeszcze raz jeden z hożym doborem
Staniesz, mój synu, przed carskim dworem,
I mir uderzysz na wieków wieki:
Niech jak brat żyją Rusini, Greki!
Car niechaj ciebie nadzieli żoną,
Tylko nie córką swoją pieszczoną.
Jest tam u niego cicha sierota,
Co milcząc jego pilnuje wrota;
U niéj nie znajdziesz srébra ni złota,
Ale jest serce, rozum i cnota.
Jéj całym rodem brat Marko śmiały,
Co ma trzy złote trąby, trzy strzały:
Trąby każdego zbudzą do broni,
A każda strzała wroga dogoni.
Uproście Marka, niech jedzie z wami,
Wory napełni czarnemi perłami;
W piérwszych dniach lata je rozsiejecie,
Chléb mieć będziecie, miód mieć będziecie,
A dla pamięci *greczką* nazwiecie."

Jak matka chciała, tak ją pochował,
I znów Archory morzem żeglował,
Praksedę sobie przywiózł za żonę,
I brata Marka, a z nim złocone
Trzy trąby, i trzy zabójcze strzały.
Z posianych pereł błysnął kwiat biały,
A na nim roje pszczół zabrzęczały;
Kwiat biały w czarne perły się zleje,
A na nich głodu ząb przytępieje.

* *
*

Raz się zapyta Dunaju morze:
„Kto taki ziemię u was tam orze,
I kto ją radli, i czém ją sieje,
I co na waszym brzegu się dzieje?”—
„U nas Archory jest z mołodcami,
Co orze ziemię nam kopytami,
A pooraną zradla szablami,
Zradloną sieje precz Tatarami.
Swój pług czerwony on jeden wiedzie;
Jego brat Marko idzie po przedzie,
W złocone trąby gra na świat cały,
I trzy zabójcze wyrzuca strzały,
Które na naszych brzegach porosły.
Już te się hordy dawno wyniosły,

Bo dla wiecznego boju, rozboju,
Nie było tutaj dla nich pokoju.
Już i te stada, już i te trzody,
Które od wieków piły te wody,
Dziś piją z Sobu, i z Bohu piją,
I pod drugiemi panami żyją;
A tylko wilki powytuczane,
A tylko orły powykarmiane,
Jak do obiadu, tak do noclegu,
Wrzeszcząc siadają na naszym brzegu."

* * *

Raz się zapyta ziemia u chmury:
„Jeśli wiész, proszę, powiédz ptak który
Co najsilniejszy, co najmężniejszy?"—
A ziemia na to: „Zagadka próżna,
Bo kogoż z orłem porównać można?"
Szli jednym szlakiem nasze kozaki,
Czarne Tatary szli w cztéry szlaki,
Kopyty wszelki step zaorali,
Wszelką z rzek wodę powypijali,
W pustynię wszelki las obrócili,
Ludzkiemi kośćmi świat zawalili.
Przeciw Tatarom Archory jedzie,
I krwawych bitew czterdzieści zwiedzie;

Z bitwy czterdziestéj, ostatniéj końcem,
Ostatni Tatar rozstał się z słońcem:
A nasz ataman za tę wygraną,
Przybrał dla siebie *Soroki* miano.
A cóż? nie prawda? mój ptak nad ptaki!
Jestże na świecie gdzie drugi taki?"



* * *

Zielona w czystém polu mogiła,
Do swego brata wiatru mówiła:
„Ty się dziwujesz, zkąd i dlaczego
Tak wielka mądrość u Archorego.
Jak nie być mądrym, gdy go, jak dziecię,
Uczyło wszystko, co jest na świecie:
Wilk go nauczał po zdobycz chodzić,
Lis, jak swojego wroga uwodzić,
Mrówka, najdroższy jak czas szanować,
A sokoł z orłem, jak ma wojować.
Gdy dla wytchnienia broń z siebie składał,
Wierny mu gołąb' na sercu siadał,
A czego uczył, niech serce powie:
Nauka serca nie trudna głowie.—
Wyszedł na pola, kraśne kwietnice
Szeptały jemu swe tajemnice;

Spojrzał na niebo, to niebios gwiazdy
Szeptały jemu cel swojéj jazdy.
Co mu szeptały gwiazdy i kwiaty,
Tn on odnosił pomiędzy braty,
Zawsze ich serce czémś rozweselił,
Zdrowiem nadzielił, szczęściem nadzielił.

* * *

Człek śpiewa, echo jego pieśń kradnie.
Któż kiedy z echa całą pieśń zgadnie?
I ja od pieśni dawniejszych czasów
Przybrzmiałe echa do stepów, lasów,
Zebrałem wiernie, powtórzył wiernie.
Krzew najpiękniejszy ma kwiat i ciernie.
Kwiat z wiatrem leci, a cierń zostaje.
Może wam ciernie za kwiat podaję?
Jeśli to ciernie, to dla méj skroni
Będzie z nich wieniec, co ją przysłoni;
Niech ją przysłoni, niech ją zakrwawi,
Lecz już z pamięci méj nie pozbawi
Rozkosznych dumań, których mi tyle
W ranne, wieczorne przeciekło chwile.

. . . .

JANKO ŚLEPY.

DUMA SERBSKA.

JANKO ŚLEPY.

Dunaj był tak jasny, spokojny,
Jak gdyby nigdy nie widział wojny.
A jednak jeszcze dziś przed wieczorem
Szła tędy pani z krwawym toporem,
I narąbawszy drew w białym lesie
Rzekła: niech Dunaj drwa moje niesie.
I niósł stękając Dunaj spieniony,
Ciężar, na jego barki wrzucony,
I zaniósł. Teraz na jego brzegu
Zmęczona wojna oddycha w noclegu.

Oto tę górę, oto tę skałę
Nasiadły, skryły namioty białe:
Tutaj krzyż świeci,—to chrześciany;
Tam księżyc świeci—tamto pogany;
Tutaj swobody syny—Serbowie,
Tam niewolniki baszów—Turkowie.

Gdzie droga brzegiem Dunaju prowadzi,
Czterech się Serbów na straży posadzi;
Cztery źrenice Jerzego Czarnego,
Bratanki jego, siestrzany jego,
Na złomku skały ogień zapalili,
Do ziemi cztery długie dzidy wbili;
Do dzid wiązane pasą się rumaki,
Co najlotniejsze cztery wojny ptaki.

Karmiąc ognisko, rzekł Łuka Swoboda:
„O mili bracia! nocy naszéj szkoda.
Na cóż ją mamy przepędzać ziewając,
Lepiéj przepędzim dum Janka słuchając.
Jeżeli chcecie, przywiodę ślepego"
„Idź — rzekli — ciebie czekamy i jego."

I poszedł Łuka znanemi ścieżkami,
I szedł na górę, gdzie pod namiotami,
Gdzie bez namiotów, jak bezduszne brzemię,
W ciężkim śnie wojsko upadło na ziemię,
I spało trwardy swój sen obozowy,
Sen mało różny jak ten sen grobowy.

Ziemia zasypia, to księżyc z gwiazdami
Stróżują nad nią złotemi oczami;

Wojsko zasypia, wódz i jego rzesza
Strażnicze nad niém źrenice zawiesza.
Jerzego oczu żądny sen nie bierze.
Snują się w nocném cieniu niedoperze,
I on ze swemi snuje się w obozie.
„Kto!” krzyknął Łukę spotkawszy w obozie?
„Swój!—Łuka powié—idę po ślepego,
By sen płoszyła chcemy pieśni jego.”

I odszedł Jerzy. Łuka ruszył daléj,
Kędy szerokie ognisko się pali,
A przy ognisku wojownicy stali,
A wśród nich śpiewak starzec siwowłosy,
Ze dźwiękiem gęśli swoje żeni głosy.

Nim Łuka doszedł, starca pieśń przebrzmiała,
A tylko jeszcze po niéj pozostała
Milcząca cisza. O! w takiéjto ciszy,
Słuchacz pieśń dalszą, wieszcz pochwały słyszy.

„Ojcze—rzekł Łuka—jutro w Bożéj dłoni!
Niech wasza gęśla jeszcze nam zadzwoni.
Nie wié sam człowiek jak mogiły blizko,
Prosim was ojcze na nasze ognisko:

Niech wasza duma serca nam rozgrzewa
I uczy młodych, jak się duma śpiewa."
„Dobrze — rzekł starzec — pójdę synu z wami,
Ale dziś trudno będzie mi z pieśniami:
W zrojonym ulu robactwo się chowa,
A ul zrojony, to dziś moja głowa."

I starzec powstał, jak ten buk wysoki,
I szedł, swe zwolna stare wlokąc kroki;
A w jego ręku gęśla, tęskno brzmiąca,
W którą włos z brody spadający trąca;
A przed nim piesek kręci się po przedzie,
I coraz szczeka. Onto starca wiedzie,
Wierny przewodnik to panu służy,
W jego niedługiéj po świecie podróży.

Przyszli;.... i starzec staje, czegoś słucha.
Miły Dunaju szum dla jego ucha;
Jakby się jego szumem rozlubował,
Słuchał go długo. Nareszcie sprobował
Strun swojéj gęśli, do gęśli przymierzył
Swój głos, i taką pół pieśnią uderzył:

„Gdzie te Dunaju moje młode lata?
Czyś ty je zaniósł na kończyny świata,

Czyś je zagrzebał w twoich wód topieli,
Że już mnie dzisiaj nic, nic, nie weseli.

A jednak dzisiaj takiéj czas pogody!
Długo czekany wieje wiatr swobody,
Bisurmaninem trzęsie febra trwogi,
Dwurożny księżyc chyli się pod nogi.

Nie tak bywało za młodszéj pamięci:
Spaliśmy wówczas w łańcuchy zamknięci,
A dla czyjego niezdrowy był ucha
Groźny głos pana, lub szelest łańcucha,
Uciekał w góry, i w gór Bożym grodzie
Żył w chłodzie, głodzie, ale żył w swobodzie.
I z gór dwie trąby—zwycięztwa, swobody,
Grzmiały na nasze i wioski i grody.

I ja nosiłem serce nie ze skały,
I zrozumiałem w co te trąby grzmiały;
W domu skradzione trzy lata spokojne,
Zaniosłem w góry, oddałem na wojnę.

A śmierć tymczasem, stara gospodyni,
Nowy ład w mojém domostwie uczyni:
Pozaprowadza dawnych gospodarzy,
Kędy omszone kamienie smętarzy!

A pozostawi jedną pustkę głuchą,
Od któréj boli i serce i ucho.

Ale nie wszystko razem śmierć zabiła,
Gdy méj młodości jeszcze drużka żyła:
Córka władyki Marta krasnolica,
Blizka pokrewna mojego rodzica.

Rośliśmy z sobą razem od pisklęcia;
Władyka miano nadawał mi zięcia,
Mój rodzic Martę nazywał mą żoną,
I tak nas z sobą bez czasu żeniono.

Stary Władyka był człowiek spokojny,
Różaniec liczył; jednak synów wojny
Lubił posłuchać, bo i sam za młodu
Przeżył niejeden dzień pośród skał grodu;
I jego chandżar nie rdzewiał pod ławą,
Lecz się obmywał Turków juchą krwawą.
Dzisiaj go starość ciężkim gnietła wiekiem
I on już dzisiaj nie tym był człowiekiem;
Wodził się z córką za którą przepadał,
Różaniec z ręki do ręki przekładał.

I posadziwszy mnie przy swoim boku,
A Martę pilnie trzymając na oku,

Pytał władyka o tém życiu w górach,
Gdzie żyją orły niesione na piórach,
I młodzież co się zbratała z orłami,
Aby połować z tych gór nad Turkami.
A w końcu tak się do Marty odzywa:
„O miłe dziécię! na synie mi zbywa,
Daj ty mi syna moja dziewko miła:
Idź ty za Janka." A ona spuściła
Oczy ku ziemi i rzekła nieśmiało:
„Niech Janko do nas przyjdzie z taką chwałą,
Z jaką się można puchlubić na świecie,
Wtenczas mnie ojcze posłuszną znajdziecie:
Bo dziś on mało większy od hajduka,
Co bieży w góry i rozboju szuka."

Jam hajduk tylko!... Kamień rozpalony
Spadł mi na serce, jéj usty rzucony.
Gdy inni gnili na domowych ławach
Lub się turczyli z Turkami w zabawach,
Jam gubił życie, jam kupował rany,
I od niéj tylko hajdukiem nazwany!

Hożych mołodców kołem otoczony,
Ruszyłem daléj w rozboje w przegony.

I mym chandżarem, i z mojéj janczarki,
Jąłem dla śmierci posyłać podarki,
A która wdzięczna mnie i méj czeladzi,
Z zwycięztw do zwycięztw za rękę prowadzi.
Dwom baszom głowy spadły w naszych górach,
Trzeci się krwawo pocił na torturach;
Czwarty ogłosił sto kies za mą głowę,
I miał pod ręką dwa wojska gotowe.
Kies nie doliczył, wojska nie rozwinął,
Jak szerszeń w ogniu podsmalony zginął.

Z skrwawioną ręką, zakurzoném czołem,
Znowu przed ojcem władyką stanąłem;
Władyka skoczył, padł w moje objęcia,
Starzec, a płaczem zaszlochał dziecięcia.
Przywołał Martę.... i długo czekana
Nadeszła Marta, lecz smutna, zmieszana;
Śliczna jak nigdy, bo jeszcze trzy lata
Rosła w swéj krasie, i tak w nią bogata.

„O Janku — rzekła — chcesz dotrzymam słowa,
I dzisiaj z tobą do ślubum gotowa;
Lecz żal mi będzie, jeśli Janko siebie
Dla méj miłości w téj pustce zagrzebie.
Sławną jest ręka chandżar chwytająca,

Ale sławniejsza co o struny trąca.
Janku! chciéj jeszczę gęślę wziąć dó ręku."

Szedłem w świat Boży probując strun dźwięku;
Piérwsza pieśń przyszła w polu na rozdrożu.
Sto ludzi stało przy dośpiałém zbożu,
Zgięci nad niwą ze swemi sierpami:
Zdało się tylko, że żyją rękami,
Że za rękami nie ma u nich duszy.
A wtém pieśń moja zadzwoni im w uszy:
Podnieśli sierpy, stanęli dokoła,
Spuściwszy oczy, nasępiwszy czoła.

A ja im śpiewam o tych czasach dawnych,
Choć zapomnianych, jednak niemniéj sławnych,
Kiedy innego nie mieliśmy wroga,
Jak białą zimę, a za pana,—Boga!
Kiedy swobodnie rosły nasze stada,
Prawnuk starego prowadził pradziada;
By nie szkodziły słoneczne upały,
Dziewice braciom białe szaty tkały,
I nie brukane słońca promieniami,
Rosły w świetlicach jak kwiaty za szklami.
Lecz przyszedł Turek i wszystko przemienił:
On pola nasze ze stad nam wyplenił,

Na dziada podniósł rękę mężobójca,
Małego syna oddzielił od ojca,
Czystą dziewicę porwał z głębi domu,
Sobie igraszkę uczynił z jéj sromu.

Jeszczem nie skończył, a wtém z za mogiły,
Ku niebu kłęby kurzawy się wzbiły;
To jechał aga we trzydzieści koni,
Cały błyszczący od złota od broni.
I jechał daléj taki dumny, śmiały;
Wtém wkoło niego sierpy zabłyszczały,
I upadł aga jak ten kłos dośpiały;
I upadł aga, a z nim służba jego:
Piérwszy snop żniwa z pieśnią zaczętego.

Poszedłem daléj, gdzie ludzkie mrowisko,
Szeroko stare osiadło grodzisko.
Zamknięte w sobie i oddane sobie
Snuje się, kręci, jak robactwo w grobie.
Zdaje się nie mieć ni oka, ni ucha,
Za dźwiękiem złota gubi czucie ducha....
Stanąłem sobie zdala na ustroni
Zwolna probując i głosu i dłoni,
Co coraz, coraz po strunach zadzwoni.

A lud się do mnie przywlekа i ściska:
Ja królem tego błędnego mrowiska.
Gdybym chciał, gródby ten perzyną spłonął,
Gdybym chciał, gródby ten we krwi utonął;
Alem tą razą zostawił gród grodem,
A tylko minę wyrył jego spodem.
Przyjdzie czas, mina wyleci w niebiosy,
Z wielkiego grodu będą gruzów stosy.
Jakże uważnie słuchał lud ciekawy,
Gdym nasze w górach śpiewał mu zabawy;
Jakże oklaskał wojowniki nasze,
Co z polowaniem chodzili na baszę.

Odtąd mnie nogi Bóg wié gdzie nie niosły,
Odtąd w mych ustach pieśni coraz rosły;
Rosły tak samo jak na polu trawy,
Co je tam Pan Bóg zasiewa łaskawy.
Odtąd nie miałem za pieśnią pokoju,
Co mi płynęła wiecznie w myśli zdroju;
W zdroju, w którego niebieskiéj przezroczy
Migał cień Marty, gorzały jéj oczy.
O! te jéj oczy—dwa światła słoneczne,
O! te jéj lica—te dwie róże mleczne,
O! te jéj usta—dwa listki korali,
I te jéj piersi—łabędzie na fali,

I te jéj rączki—wytoczone z śniegu,
I te jéj nóżki jak wiatrom dla biegu.
I cała ona dotąd przed oczyma
Mojemi stoi, choć dawno ócz niéma.
Żem sobie wydarł me oczy—nie szkoda,
Gdy ona dla mnie wiecznie piękna, młoda.

Znowu przyszedłem... Za długiém czekaniem
Wychodzi ku mnie Marta z powitaniem;
Lecz powitaniem takiém obojętném,
Jak gdybym dla niéj był gościem natrętnym.
Czekałem, rychło wyjdzie ojciec stary;
Nie wyszedł, śmierć go zabrała na mary.

Po pustych słowach, Marta do mnie prawi:
„Szeroko Janku twa pieśń ciebie sławi,
Lecz czy na słońcu pieśni swéj szukałeś,
Że tak na twarzy zmarniałeś, zczerniałeś,
A ręce twoje jakbyś grabił siano.
A potém gęślę na żart tobie dano:
Cała twa postać jakby od topora,
Jakbyś na mnicha już szedł do klasztora.
Czemuś ty Janku nie takiéj urody,
Jaką ma właśnie nasz sąsiad—Grek młody.

Gdyby do twojéj duszy, ta uroda,
Wtedyby ciebie pokochać nie szkoda.
Czy i przy pieśni straszne oczy twoje
Jak teraz, że się na nie spojrzéć boję."

—„Dość tego Marto, dość na ten raz—rzekłem,
Skoczyłem za próg i w góry uciekłem.
Choć w górach zimny wiatr pierś mi ochłodził,
I tam jéj urok doszedł, sercu szkodził;
Choć ręka chętnie na chandżar spadała,
Lecz starość chętniéj za gęślę chwytała.
Niby wilczycy wyciem wywołani,
Bracia po mieczu przyszli zapomniani,
I znowu nasze janczarki, chandżary
Zakrólowały przez góry, przez jary.

Lecz me królestwo nie było spokojne,
Bom wieczną toczył z własném sercem wojnę;
Bo zazdrość ciągle szeptała mi w uszy,
Skoczyć i zagrać Grekowi na duszy;
Bo zemsta nieraz budziłą mnie w nocy,
By wpaść, ją porwać i mieć w swojéj mocy.
Czy się męczarnią moją lubowała
Śmierć, że mnie zawsze wszędzie omijała?

Zwyczajem kota darłem się jéj w oczy,
Mój chandżar cały we krwi się ubroczy,
Moje hajduki skłute jak przetaki:
Jam zawsze wyszedł zdrowy, cały taki.

Basza belgradzki by nas upokorzyć,
Nad okolicznym jął się ludem srożyć;
Już Serbów wszystkich miał upiec w popiele,
Ale na siebie naraz brał zawiele.
Biegł na zwycięztwo, a dobiegł swéj śmierci
I upadł w polu, zrąbany na ćwierci,
Niosąc pogłówne swego wodza głowie.
Z nim razem wszyscy zginęli spahowie,
Jako ta ryba przyduszona lodem,
Albo na tarle przejęta niewodem.

Z wiszącéj zguby naród wybawiony,
Po wszystkich cerkwiach gra we wszystkie dzwony,
Ze wszystkich cerkwi chorągwie wynosi,
Przed całym światem radość swoję głosi.
Radość tak wielką, jak wprzód była trwoga,
Co się zda z ziemi wznosić aż do Boga;
Do Boga, który trzymał jak w dni święte
Niebo pogodne, jasne, odemknięte.

I lud całował moje nogi, ręce,
Niósł błogosławić główki niemowlęce.
Widać Bóg moją błogosławił dłonią,
Bo ztąd ci wszyscy, co dziś matki bronią.

Ale w tym tłumie szukam czy zobaczę
Tę, co mi każe wieść życie tułacze;
Bo we dniu takim nie byłoby grzechem,
Gdyby zmieszała swą radość z tém echem.
Szukam napróżno; a wszak tam u boru,
Ten dym wiszący, o! to dym z jéj dworu:
Dym od niéj lepszy, przeciąga tą drogą.
Bez myśli konia trąciłem ostrogą,
Niekierowany koń krążąc po lesie,
Prosto w jéj progi, poniesie, zaniesie.
I wbiegłem do niéj, oh... i po co wbiegłem;
Czemuż pod progiem trupem nie poległem?
Na toż mnie Pan Bóg dotąd chować raczył,
Abym bez śmierci, moję śmierć zobaczył,
Abym ją znalazł w objęciach Ormiana,
W objęciach z piekła czarnego szatana....
I w ręku chandżar obracając wierny,
Stanąłem sobie w progu jak odźwierny.
A dziwna para anioła i czarta
Czekała ciosu, co go była warta.

I stałem stałem.... nielepszy wściekłego,
Aż, aż mój chandżar nie w nią, ani w niego,
Ale uderzył w mój świat, w dni me własne,
I zabił, wydarł oczy moje jasne.
Za bolem serca nie czułem ocz bolu,
Zgubiłem wszystko w jedném czarném polu:
I ją, i jego, i zmęczony, piany,
Wyszedłem za drzwi chwytając się ściany.

Marta zabiegła w połowie mi drogi,
Choć taka dumna upadła pod nogi;
Padłszy wołała: — „Oto piersi moje,
Zabij mnie Janku, o życie niestoję.
Zabij mnie Janku, bo jak Pan Bóg w niebie
Tak ja nie będę odtąd żyć bez ciebie."
„Głosże to Marty uszy me słyszycie,
Jążto me oczy, nie widząc — widzicie!
O nocy moja! sto razy jaśniejsza
Dnia słonecznego! O Marto, twój żal zmniejsza
Ból mego serca. Nie żal moich oczu,
Jeśli z twych dla mnie jaka łza się toczy.
Ale nam Marto nie żyć z sobą razem:
Gdybyś zamknęła drzwi świętym obrazem
I zawiesiła krzyż Pański nad drzwiami,
I takbym myślał że Ormianin z nami.

Słysząc w kolebce płacz mego dziecięcia
Nie śmiałbym jego wziąć w moje objęcia;
Mógłby coś szatan szepnąć w ucho ojca,
I on własnego dziecka byłby zbójca."

„O Janku! Janku! jeśli się tak stanie,
Będzie to za me grzechy pokaranie.
Ja od nóg twoich póty się nie ruszę,
Aż albo z moją krwią wytoczysz duszę,
Albo się żaląc nad biédną grzesznicą,
Być jéj pozwolisz twoją niewolnicą."

„Daremnie Marto, ja tobie nie wierzę!
Odstąp, bo w pierś mą chandżarem uderzę,
Twą krwią żelazo moje się nie zbroczy:
Małoż dla ciebie, żem wydarł me oczy.
Nie będą one więcéj cię szpiegować,
Nie masz potrzeby swych kochanków chować.
Żyj sobie z nimi, ja mam Martę inną,
Tak jak ty piękną, tylko że niewinną.
O! nie zapomnę Marty méj konając,
Wspomnę ją, świętych Pańskich wspominając.
Puść mnie!" I ona odemnie odstała,
Od moich kości cząstka mego ciała;

Wiatr zimny powiał po méj nagiéj kości,
I drżałem nie wiém z bolu, czy z żałości.

Rżał mój szpak... Wpadłem na mojego szpaka,
I on do moich zaniósł skrzydłem ptaka.
Jeszcze mi z oczu ciekła krew gorąca,
Już byłem pośród druhów mych tysiąca,
Co jest ujrzeli, i na wszystkie strony,
Z wielkiego żalu, bili w wielkie dźwony.

By szalejącą ich zemstę powstrzymać,
Musiałem ciągle chandżar dłonią imać.
I ciągle grozić méj piersi rozbojem,
Jeśli w szaleństwie nie ucichną swojém.
Ucichli... chmura co z gromem wisiała,
W westchnieniach zeszła, we łzach się rozlała.

Pono był wieczór, w gęślę mą brząkałem,
Udając spokój, dumy im śpiewałem.
Umilkła wrzawa: w szerokiem milczeniu
Przestrono było memu sercu, pieniu;
Com śpiewał nie wiem.... a gdym gęślę składał,
Przyszedł człek jakiś i do mnie zagadał:
„Ojcze! Bóg dał mi jedynaka syna,
Wyrosło dziécię świeże jak kalina,

Zdrowe jak woda; ale dopust boży
Mowę mu zamknie, a serce otworzy:
I odtąd mową jego łza błyszcząca,
Żywiołem jedna pieśń i gęśla brzmiąca.
Pozwólcie chłopcu niechaj chodzi z wami,
I żyje waszą gęślą i pieśniami.
On i was ojcze potrafi pilnować,
I waszę gęślę i nosić i chować.
Ucałuj Marku swemu panu nogi."

Codziennie w nowe puszczałem się drogi,
Bo chciałem roznieść me smutki po świecie;
Ale me biédne, me chore dziécię,
Me serce, nigdzie nie mogłem zostawić,
Ani czémkolwiek, jakkolwiek zabawić.

Szedłem a szedłem, milczący, posępny,
A ze mną Marko, mój cień nieodstępny;
Mojego ciała wierny mój cień drugi,
Dobry cień, co go czułem przez przysługi,
Że blizko przy mnie; gdzie tam! razem ze mną.
Niemota jego była mi przyjemną,
Bo nie mąciła myśli mych strumienia,
Co się wylewał z duszy méj przez pienia.

Zamki i dwory i chaty wieśniacze,
Z chęcią słuchały me pieśni tułacze;
I miło było śpiewać pieśń dla ludzi,
W których pieśń twoja lepsze czucia budzi,
Co ci wtorują długim z piersi jękiem,
Albo przekleństwy, lub chandżarów szczękiem.
Lecz miléj, kiedy nikt nie słyszy ciebie
Prócz matki ziemi i Boga na niebie;
Gdy dusza twoja w słowa przetopiona,
Z ust twych zlatuje, a w niebiosach kona.
Dość miałem pochwał, zbrzydły mi pochwały,
Nieraz usiadłszy gdzieś na cyplu skały,
Lub na mogile okrytéj trawami,
Śpiewałem razem z ptakami, kwiatami:
Drugi ptak polny, drugie polne kwiecie,
Czuciem i myślą tonący w wszech-świecie.

Marko był ze mną. Długie przeszły lata,
Wreszcie obiegłszy pół Bożego świata,
Jakąś tęsknotą czy żalem pędzony,
Znowu wróciłem na rodzinne strony.

Poznałem wiatr nasz, co tu na mnie wiewał,
Poznałem pieśni, com w dzieciństwie śpiewał,

Poznałem dym nasz, naszéj rzeki fala,
Czułem że szumi odemnie nie zdala;
I psów szczekanie, i swawola dzieci
Wyraźnie ucha mojego doleci.
Ztąd nasze sioło widne jak na dłoni;
Tam droga, którą przebiegałem do niéj....
Ach Marku! Marku! powiédz, czy tą drogą
Nie widzisz do niéj jadącego kogo.
Lecz na cóż biédny znów zabijam siebie;
Mój biédny Marku czegoż chcę od ciebie?
Chodźmy ztąd Marku, bo kusiciel duszy
Jeszcze raz na mnie mą rękę poruszy.
Chodźmy.

—„O Janku miéj litość nademną!
Ach nie idź Janku, i żyj odtąd ze mną.
Miéj litość Janku, ja to twa grzesznica.
Marko! twa Marta sługa.... pokutnica."

Pod mianem Marka Marta się ukryła,
Jakto pod ziemi bryłą, wody żyła,
Choć niema bryła na jéj piersiach leży,
A jednak woda jasna, żywa, bieży.

Jakże swe grzechy okupiła drogo,
Jakże mi potém przy niéj było błogo.

Kraśny kwiat, motyl zmieni się w anioła,
I nie wyśnione szczęście mi wywoła.
Ćwierć wieku przeszła jakby jedna chwila....
Dziś z tego kwiatu, dziś z tego motyla
Garsteczka ziemi, schowana do ziemi.

Ja jak krzak ostu z myślami mojemi,
Zsuszony wiatrem, co z zachodu miecie,
Stoję sam jeden na szerokim świecie.
Chciałbym i moję już nachylić głowę,
I skończyć smutki, i dni me jałowe,
I skończyć pieśni, co stara pierś jąka,
I brzmienia gęśli, co fałszywie brząka."

. . . .

Umilkł—

Poranne ozwały się hasła,
Ostatnia głownia na ognisku zgasła.
Wstał, do Dunaju lica swe obrócił,
Znim mgłą się zakrył, zadumał, zasmucił.

By nie przerywać dwom starcom dumania,
Młodzież przesiedzi milczkiem czas zarania,
A gdy po niebie słońce się roztoczy,
Dopiéro ku swym rumakom poskoczy;
I bieżąc w pole niesie w pełnéj duszy
Pieśń, nim ją wojna swą pieśnią zagłuszy.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM.

PISMA

ALEXANDRA GROZY.

POWIEŚCI LUDU

I DUMY

ALEXANDRA GROZY.

Tom II.

WARSZAWA.
W DRUKARNI GAZETY CODZIENNÉJ.
—
1855.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

W Warszawie, d. 22 Kwietnia (4 Maja) 1855 roku.

Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

STAROSTA KANIOWSKI.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

(Z podań ludu.)

Mikołaj Potocki, banit, starosta Kaniowski i Bohusławski, jest jedną z osób żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, późniéj pokutę, opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o jego miłostkach i okrucieństwach. Leży w Poczajowie. Onto w skutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki, ten pyszny klasztor wydźwignął i nadał.

(Przypisek do części drugiéj powieści pod tytułem: **Zamek Kaniowski**, p. *Seweryna Goszczyńskiego)*.

STAROSTA KANIOWSKI.

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

I.

Tatarskiemi zagony wkoło opalony,
Kozackiemi szablami wkoło poszczerbiony,
Posiwiał stary zamek, jak ta stara głowa,
Co wygląda: zkąd przyjdzie śmierć, co ją pochowa?
Z trzech stron wał go otaczał, a z czwartéj staw długi
Podlewał, olchowemi uciekając ługi;
Wkoło wału i stawu zielone wypasy
Ogrodziły odwieczne futory i lasy.
Na wypasach kozackie tuczyły się konie
Jak ich pany, co ciężkie porzuciwszy bronie,
I zasiadłszy z starostą do misy, do dzbana,
Jedli, pili, hulali od mroku do rana.

1*

Niekiedy ze swych śmieci chętka ich poniesie
Na szajki hajdamackie, kryjące się w lesie,
Lecz to rzadko.

Dziś w zamku niezmierna ochota:
Dwieście koni w tryumfie wchodziło we wrota,
Wiodło działa zdobyte i brańców na smyczy.
Pewnie tak Bóg poszczęścił na tatarskiéj dziczy?
Gdzie tam! — oto powracał zajazd z Żywotowa.
Pan starosta Wyżycką i Krasickich wspierał,
Złamali Komargrodzkich, więc hołdy odbierał.
Przebóg! domowa wojna... jednak bez niesławy,
Bo tą razą starosta bronił słusznéj sprawy.

Choć prawem odsądzony od wszelkiéj własności,
Nie chciał kniaź Czetwertyński ze swéj posiadłości
Wypuścić Żywotowa, a z nim imion siła; (*)
Zamek, którego Rośka oblewem broniła,
Otoczył sporym wałem, palami osadził,
Różnéj strzelby i ludu wielką moc zgromadził.
Nad tym ludem i strzelbą dał za pułkownika
Na Łużnach Łużyńskiego, w wielu bitwach ćwika.

(*) Żywotów, miasteczko w gubernii kijowskiéj, powiecie taraszczańskim. O tym szturmie Żywotowa i jego obronie opowiadał mi starzec, naoczny świadek.

Wyżycka z Krasickimi wiedzie pięćset koni;
Ci dzielnie nacierają, a tamten się broni
Niejedna ze stron obu precz poleci głowa.
A wtém i piérwsza roku upłynie połowa,
Możeby upłynęła napróżno i druga,
Gdyby nie ta starosty sąsiedzka przysługa.

Z mnogiemi poplecznikí, w odświętném odzieniu,
Ochoczy pan Starosta stał na podniesieniu
I spozierał wesoło; snaćby tryumfował
Tak, jak jego przodkowie, tylko że nie chował
W piersiach takiego serca, jakie u nich biło.
Ci z sułtanem rej wiedli, i swoim Mohiłą
Mołdawski tron okryli, a orężem wsparli;
Ten się cieszył, że jego kozacy wydarli
Zameczek u szlachcica, i przed całym światem
Rozgłaszał swoję radość dzwonów, dział wiwatem.

Za harmatkami, co tam z zamku wyłamali,
Za niewolnikiem, co tam na sznur nawiązali,
Na wozie czworokonnym, wśród dziatek kąkolu,
Łużyński, mąż waleczny, leżał; a choć bolu
Nie zdradził żadnym jękiem, lecz z ran krwią kipiących,
Ze spojrzeń obłąkanych, odetchnień gorących,

Znać tam wielkie cierpienie. W Augustowskich cza-
(sach
Nie na takich tryumfy odnosił zapasach,
Nie takie on forteczki zdobywał i bronił!
Pułk jego z Szmigielskim o lepszą się gonił,
Brzuchowiecki publicznie poklask mu uderzył,
A żołnierz, takie cuda widząc nieraz, wierzył,
Że szatan miał z nim spółkę, bo ludzkiém żelazem
Tego zdziałać nie można. Dzisiaj jednym razem
Tyle męztwa, odwagi, czyż pójdzie na nice?
Po wojnach, gdyby jaką miał w spadku dzielnicę,
Spocząłby, jako inni, na swéj miléj grzędzie;
Nie miał jéj, więc na dworskim musiał siąść urzę-
(dzie,
I pana z Komargrodu trzymać lud w komendzie.
Czarne oczy w małżeńskie zawiodły go stadło;
Lecz i tu przeszło szczęście, jak ślepe widziadło!
Zmarła żona, oddawszy drobiazg mu na łono;
Nie rozstał się z nim nigdy, i teraz więziono
Razem ojca i dziatwę: tak na swojém łonie
Pająk niesie swą dziatwę: Bohaterskie skronie,
Które niegdyś hełm zdobił, stroił wieniec chwały,
A teraz krwią pluszczące z płaczem otulały

Dwie maleńkie córeczki drobnemi rączkami.
Krew ojca z jego córek zlewała się łzami,
I spadała na synków, co u piersi wiszą.
„Wstawaj, tatu!” wołają; tata piersi dyszą
I ciężko i powolnie; jako ołów oczy....
A wóz, gdzie tam!—katafalk, powolnie się toczy
Poprzed panem starostą. Ten spojrzał z uśmiechem,
Jak na wertep zapustny, Wielkanocną kozę.
Dzielny mąż doumierał, i śmierć swoję zgrozę
Płaczem dziatek, jak dzwonu rozgłaszała echem.

Była w zamku wysoka, przestronna komnata,
Jakby jego prababka. Pożary i wojny
Nieraz zamek na długie zabierały lata,
A ona zostawała jak ziarnko w popiele:
Z wchodzącą wiosną z ziarnka odrastało ziele,
Z tych szczątków znowu zamek wstawał w czas spo-
(kojny.
Wieki wiekom, plemionom podając plemiona
Tę relikwią, razem w posagu dawały
Porosłe w sławę drogie dziedziców imiona.
Ciche wieko dębowe, cicha darń zielona,
Zamknęły żywot pełny i cnoty, i chwały.
Blask życia zagasiła śmierć grobowym cieniem,
Jednakże oni pod téj komnaty sklepieniem

Żyli pędzlem malarza w czerstwym, młodym wieku.
I pięknie było spojrzeć od ściany do ściany,
Na ich warowne zbroje, malowne żupany.
Na oblicza naszemu niezwyczajne człeku.
A kiedy bracia szlachta, pokrewni, sąsiady,
W jakiéj ciężkiéj potrzebie szukali porady:
Jak do owéj świątyni, kędy bóstwo mieszka,
Prosta ich w tę komnatę prowadziła ścieszka;
I w obec sławnych przodków orężem i głową,
I ducha pokrzepiali, i radzili zdrowo.
Pan starosta przybytek tak drogi, tak święty,
Zamienił na piwnicę; z pułek piękne sprzęty,
Złożone z ksiąg i zbroi, wyniósł na poddasze,
A stawił roztruhany, gęsiory i flasze.
Ogromny stół dębowy o dwunastu nogach,
Ze czterema Bachusami w czterech jego rogach,
Osadził w samym środku. Myśliwskie zdobycze
Ze łbów, rogów i skóry zwierza rozlicznego
Rozwiesił na obrazach, jakby chciał oblicze
Zakryć każdego z przodków, by na sprawy jego
Nie ciskali swym wzrokiem; a niemy szyderca,
Wstyd, by czasem nie zachciał przemówić do serca.
Raz przemówił,—starosta powstał jak mąż prawy,
Lecz wiek winy nie zgasił jeden dzionek sławy.

Z swą tłumną służbą, drużbą, wszedł do téj komnaty
Pan starosta; natychmiast zagrzmiały wiwaty.
Bachusy z srébrnych beczek trysnęły krynicą,
Kufel z kuflem, szklanica zadzwoni z szklanicą,
Pójdą śmiechy i żarty, rozwiązane usta
Prawią co niesie ślina, co rodzi myśl pusta.
W górze starosta z swemi bliższemi kompany
Uracza się i bawi; szary koniec stołu
Bawi się z sobą. Piją, gwarzą pany,
Pije i gwarzy szlachta; czasami pospołu
Hukną: wiwat! i znowu każdy po swojemu.
„Tak, wielmożny starosto! jużby mnie samemu —
Rzekł pułkownik Świderski—głowy niestawało!
Łużyński—czart wcielony! Co się nie strzelało
Do tego piekielnika, zawsze wyszedł cało.
Jaż nie kiep, dobrodzieju: umiem, Bogu dzięki,
I dobrze okiem zmierzyć, i przyłożyć ręki,
I mam takich kozaków, co dla swéj igraszki
Kulami w lot strzelają najdrobniejsze ptaszki;
A zaś do tego diabła cośmy nie strzelili,
Zawsze pudło i pudło. Kuleśmy święcili:
Mówią, że poświęcona kula diabła bierze;
W niego zmierzysz i palniesz — kula, jakby w pie-
(rze,

Utonie w nim, on przecie stoi czerstwy, zdrowy,
Biada temu, do czyjéj przyceli się głowy!
Rozgłos szedł, że Zabokrycz, sławny sotnik (w siczy,
Dobrze takich ichmościów, jak Łużyński, ćwiczy;
Że znachor z niego wielki, w Turczech wyuczony.
Nuż ja do niego z memi nizkiemi pokłony,
Nuż złotkiem pobrzękiwać! Zabokrycz się stawi
I o swojém strzelaniu cudne rzeczy prawi.
Wtém patrzymy, Łużyński ot na wale stoi;
Zabokrycz do rusznicy przymierzył się swojéj,
Palnął, lecz po naszemu z pudłem leci kula.
Łużyński się naodwrót do strzelby przytula:
Huknął wystrzał — nasz sotnik już nieżywy leży.
Wszystkie się me kozactwo po polu rozbieży,
I sam dałem drapaka, bo z piekłem nięlada!
Kłopocę się co robić? wtém do mnie dopada
Jakiś Wołoszyn w dziele puszkarskiém uczony,
O swém z puszki strzelaniu rozprawia androny;
Daję mu jednę; prawda, że gracko z niéj strzela!
Już nam trochę de serca przybyło wesèla,
Ale i ten, po udzie wziąwszy basarunek,
Musiał się udać z pola do bab po ratunek.

Gdyby nie pański Szulak, nie pańskie kozaki,
Dotychczasbyśmy tylko pełzali jak raki,
Albo nic nie zdziaławszy, wrócili do domu
Wśród śmiechu przeciwników i własnego sromu.
Niechaj mnie diabli porwą, jeżeli rzec mogę,
Którędy oni w zamek znaleźli sy drogę:
Tutaj Rośka, tam kanał, palisada, wały.
Łużyński, to nie człowiek, ale diabeł cały!
Chytry jak lis; u niego tylko w myślach zdrada."
Na szarym końcu Szulak szlachcic rozpowiada
Swe z Łużyńskim sukcessa: jako z jednéj strony
Fałszywy szturm do zamku został przypuszczony,
A z drugiéj, jak on kosze po grobli prowadził,
I własną ręką bramę petardą wysadził;
Jak w starą woskobojnię Łużyński się schronił
I do ostatka z kilku swojemi się bronił,
A kiedy już budynek cały w ogniu płonął,
A Łużyński, rzec można, wszystek we krwi tonął,
Dopiéro go zabrali.

Powstał rum za drzwiami,
Z stukiem i hukiem ciągnion czterma kozakami,
Wpadł jakiś szlachcic blady, drzący, oszarpany.
Porwała się z miejsc swoich i szlachta i pany;

Starosta zobaczywszy szlachcica, zawoła:
„Panowie bracia! szukam u waszego koła
I porady i zdania, aby nie mówiono,
Żem impetus despota. Ichmościa złowiono
Na gorącym uczynku: pozew wojewody
O to, żem mu żydowskie dwie utopił brody,
Podrzucił mi do zamku i sam czmychnął w nogi;
Zgoniono jenerała. Cóż? Bracia!" — „Batogi!"
Jedni krzyczeli, drudzy nietyle sierdzici,
Co innego radzili, wrzeszczeli ci i ci.
Po długich wrzaskach, sporach, postawiono na tém,
Że jegomość jenerał lub dostanie batem,
Lub zjé pozew. Nieborak na drugie się zgłosił.
Starosta na swe miejsca gości swych zaprosił,
Zaszumiał złoty węgrzyn, zapieniły miody,
A biédnemu woźnemu dano kufel wody;
Jadł więc swój szorstki pozew, gęsie wino chlipał,
A każdy kto chciał tylko żartami go szczypał.

Wieczór się zciemnił, rzęsne światło zapalono,
Wszelakiém jadłem długie stoły zastawiono,
Służba się uwijała, woźny pozew kończył
I ostatnią kropelkę wody z kufla sączył:
„Szulaku!—rzekł starosta—nie lubię być w długu:
Po czasie weźmiesz cztéry konie z mego cugu,

Dobrze wóz napakujesz naszemi żydami,
Odwieziesz wojewodzie; niech więcéj pozwami
Nas nie obrzuca. Kto wié, czy za drugim razem,
Jak dziś panu woźnemu, ta rzecz ujdzie płazem?
Mogą być kryminały. Myż nibyto swoi.
A teraz, jenerale, marsz z moich podwoi!
Nie wtykaj więcéj nosa!" I jasnego pana
Woźny trzykroć pokornie ścisnąwszy kolana,
Poszedł za drzwi, ścigany szyderstwy i śmiechy.

Wino, miód biesiadnikom dodają uciechy;
Coraz huczniejsza wrzawa. Poczuwszy dym w gło-
(wie,
Swe różne dykteryjki sławni gadułowie
Prawią jeden za drugim; starosta ochoczy
I za boki się chwyta, i ociera oczy:
Radość nieopisana! — A wtém dwa brytany,
Co dotąd sobie milczkiem leżały u ściany,
Zawyją przeraźliwie i pod stół się wtłoczą.
Biesiadnicy zdziwioném okiem wkoło toczą,
Umilkną gwary, śmiechy. Brytany pod nogi
Cisną się, warczą, skomlą z wzrastającéj trwogi.
Co to jest? — każdy pyta — co to? Przy kominie
Stoi blady Łużyński, krew mu z czoła płynie,

Ręce złożył na piersiach a oczy wyźwierzył,
Raz jeden niemi w pana starostę uderzył,
Drugi raz w Świderskiego, a w Szulaka trzeci.
„Dzieci moje! — zawołał — biédne moje dzieci!"
I zniknął; a wtém kozak od warty się stawił,
O zgonie Łużyńskiego staroście objawił.
„Co ty — fuknie starosta—wydziwiasz przed nami!
On tutaj był i jeszcze musi być za drzwiami."
„Łużyński — przerwał kozak — własnemi rękami
Oczy jemu zamknąłem, za duszę pacierze
Zmówiła kurdygarda, i dzwonnik na wierze
Poszedł w dzwony uderzyć." Właśnie w téjże chwili
Ozwał się dzwon na wieży. Smutnie popatrzyli
Biesiadnicy po sobie, strach podniósł im włosy,
A dzwon coraz i coraz brzmiał smutnemi głosy.

II.

Pan starosta Kaniowski dwa brytany chował,
Które spuszczał ze smyczy, gdy ludzi polował:
Piérwszy był żyd, Arona było mu nazwanie,
Krępy, nizki, barczysty, niby pień dębowy,
Takowéj farby włosów u brody i głowy,
Jaką tylko możemy widzieć na szafranie.
Brwi zmarszczone, pod brwiami, jak węgle w po-
(piele,
Jak ślépie u jaszczurki, dwie oczu błyszczało,
I tak jak żywe srébro, w miejscu nie postało;
Usta ścięte, a w ustach obłudy tak wiele,
Ile w sercu trucizny, co w tych piersiach bije,
Gdzie się, jak w piekle, siedm głównych grzechów
(kryje.

Aron był uchem pańskiém; co Aron podsłucha,
To zaraz do pańskiego dolatuje ucha.
Tak, za wolą Arona, śmierć, więzienie, chłosty,
Spadały na lud biédny od pana starosty.

Drugi był Ukrainiec, chłop nad inne chłopy;
W baraniéj czapce kiedy wchodził na krużganek,
Zdało się, że prześcignie połacowe stropy:
Czupryna podgolona, niby czarny wianek,
Z kruczych piór upleciony, po głowie pływała:
Twarz na stepowym wietrze, słońcu ogorzała;
Brew łukiem napisana, a rzęs dwa półcienie
Przygaszały ognistych dwojga ócz wejrzenie;
Serce dzikie a wierne, na pańskie rozkazy
Pójdzie w piekło, a jeśli zwycięzko nie wróci,
Nie odstąpi chorągwi i szabli nie rzuci.
Szulak był ręką pańską, i po wiele razy
Pan swoję rękę posłał czy na hajdamaki,
Co tam szajkami w jego wdzierali się szlaki,
Czy na zajazdy w dobra panka sąsiedniego,
Czy na szlachtę, co chce się buńczuczno postawić,
Zawsze się umiał Szulak należycie sprawić.
Pan starosta, na takie bacząc służby jego,
Darował sześć futorów i złota dwa trzosy,
I jeszcze Bóg wié jakie gotuje mu losy.

Hojność pańska obudza zazdrość u Arona:
Przysiągł zgubić Szulaka, ale czy dokona?

* * *

Wybrał się pan na łowy do sąsiednich lasów
Z małém myślistwem, z małym przyborem zapasów;
Nie tak jak to zwykł sprawiać gdy gościa sprowadzi,
I na przepych wystąpi z taborem czeladzi.
Kilka koni, strzelb kilka; za całą kapelę,
Grało jesiennym echem gończych sfór niewiele.
Z początku strzał szedł gęsto, lecz wiatr zaczął szu-
(mieć,
Deszcz bryznął i kapela musiała się stłumić;
Ucichł strzał, trąbka tylko niesfornym hałasem
Kłóciła się to z wiatrem, to z szumiącym lasem.

Pan był zły, pies od jego wejrzenia uciekał,
Służba szła zdala; jeden Aron się podwlekał
Najbliżéj oczu pańskich. Aron łowy lubił,
Bo téż złotego ptaka nieraz na nich ubił;
Na miejscu pospolitych myśliwskich rynsztunków,
Wolał nosić ładunek doskonałych trunków,
Gdańskich wódek, i niemi strzelał do myśliwych,
I trafnie, bo padało w kniei pół nieżywych.

Czas był zimny; pan milczkiem na Arona skinął.
Rozpękło się puzderko i trunek wypłynął,
Odwilżył usta pańskie, a chłody jesieni
Zginęły w cieple złotych i wonnych płomieni.

Jeszcze chwilkę deszcz rosił, potém łono chmury
Wiatr coraz bardziéj zaczął wydymać do góry,
Szarpać w lewo i w prawo, i włóczyć po świecie,
Aż zbudził śpiące słońce, blade, bez promieni,
Bez ciepła, i nieśmiałe, jak chowane dziécię:
Blask jego, jakby całun na naturę padał,
Z któréj resztki żywota wyssysał, wyjadał
Upior zimy, i paszczę nienaistną, krwawą,
Ocierał suchym liściem i wychudłą trawą.
I wszystek las był nakształt wojska kościotrupa,
Nad którym się mogiły rozpękła skorupa,
Ten sam, który wszedł do niéj, tylko jego ciało
Słońcem się wypaliło, wiatrem rozleciało;
A ptak, a zwierz, a człowiek pomiędzy tym lasem,
Jak ów robak, co białe poobjada kości,
Lub powinien umierać z ostatnim popasem,
Albo rodzonych braci przetaczać wnętrzności.
Jak te myśli wesołe, gdy czas przeprowadzi
Wiele bolów przez serce, a w głowie osadzi

Kolące doświadczenie; tak z pod tych gałązek,
Cacko młodéj przyrody, nadziei zawiązek,
Pierzchnęło drobne ptastwo, co śpiewało w wio-
(śnie.
A jako w siwéj głowie tylko troska rośnie,
Jedna myśl smutna drugą smutniejszą pogania:
I w tym lesie nie słyszysz, jak głuche krakania
Starego pustelnika kruka, ryk jałowy
Trzody idącéj z pola; albo biednéj wdowy
Gołębicy jęczenie, lub myśliwych wrzawę,
Biorących drugim życie na własną zabawę.

Niewiele się tą razą pan starosta bawił,
I gdyby mu humoru Aron nie poprawił,
Co taki czarny, straszny, jak to chmury brzemię:
Pótyby ciężył, ażby wylał się na ziemię
W płaczu ludzkim. Wiatr słońce z obłoków odsłoni,
Arona kielich z czoła starosty przegoni
Nawisłe gniewy; pociągnęła koléj,
Słyszysz tylko: „w twe ręce! wiwat! pełno doléj!"
Zrazu ciche szeptanie, potém żarty głośne,
Huczne śmiechy, oklaski, i piosenki sprośne,
A potém grzmiące wiwat i hura, i hura!

Nie tak było. gdzie stała przydrożna figura:
Trzy młode, jako młoda wiosna, siostrzenice,
Żegnały starą ciotkę; a łzą kropiąc lice,
Mówiły do niéj: „Ciotko! czego tak spieszycie?
Wy zawsze jak po ogień; czy wam płacze dziécię,
Czy nie macie czeladki? Trza sobie folgować,
U was ani dnia, ni nocy: dosyć już harować.
Archip skarży się na was, że go nie słuchacie;
On chce, byście siedziały jak w chacie,
Używały wszystkiego; wszakto u was doma
Jako w Bożéj komorze. Przebawcie ten dzionek,
Pojutrze u nas praźnik, przyjdzie nasz skowronek,
Hanka nasza; wié Pan Bóg, co sądzono komu.
Onegdaj z niąśmy sobie poszły na jarmarek,
Archip jéj najął taniec i kupił podarek,
Przez nią i nas poczęsnym uczęstował miodem.
Gosposia taka dla was nie byłaby wrzodem,
Przylipka choć do rany." Na to stara powie:
„Moje dzieci! niejeden kłopot mam na głowie.
Gdyby Archip nie codzień na posyłkach u pana,
Szerzejby do was ścieszka była wydeptana;
I teraz gdzieś daleko, a ja w każdy kątek
Muszę zajrzeć; Bóg łaskaw, idzie jakby z płatka.
Pełna kłunia, obora, i toczki, i chatka.

Oby taki był dobry koniec jak początek!
Trza się spieszyć do domu, czas pasiekę chować,
A tu jest co podczyścić, przejrzéć, przebrakować,
Złożyć w czas Boży, bo uchodzi pora.
Ostatnie maże (*) z solą przywlekły się wczora,
Kupca nie czekamy, miał być, może czeka?
Bądźcie zdrowe. Patrzajcie, słonko już ucieka,
A tu dobra przemaszka. Na tamtą niedzielę
Do naszego Tytora (**) przyjdźcie na wesele,
Przywiedźcie z sobą Hannę. Ciotko, lasem po co,
I jeszcze saméj jednej i przed blizką nocą?
Zaprzężemy do wozu, damy przewodnika."
„Nie trza, nie trza, me dzieci: jeszcze w saméj porze
Gęściejszy las przebiegnę i stanę w futorze.

* * *

Gwiazdy, co na ognisku wieczora się tliły,
Jedne zaraz pogasły, drugie się paliły
Słabym, bladym płomieniem, jak drzémiące oczy,
Aż je sen przykołysze i ciemność zamroczy.
Wiater po lasach liście jak plewę rozwiewa,
I po głowach wsi chodzi, i słomiane włosy

(*) *Maża*, wóz czumacki, łubem obszyty; w takich wozach sól z Krymu przywożą.
(**) *Tytor*, starosta cerkiewny, dozorca cerkwi wybrany z ludu.

Stoburczy, jakby znowu chciał im przydać kłosy,
I głośno jak do żniwa między niwy śpiewa.
Zbierają się żniwiarze z nizkich swoich chatek:
Chudy wilk, wytuczony śród jesiennych jatek,
Upior z przębitą piersią osinowym kołem
I diabeł Niemiec.
„Au! au!” wilk wyje.
„Ej! moi szarzy bracia! społem tylko, społem!
Już zabił pan starosta naszę starę żmiję,
Nie ma komu z ożogiem gonić się za nami,
I kapkany rozstawiać, i szczuć brytanami;
Dla nas te tłuste kumpie wieprze i baranie,
I pieczenie cielęce, i kobyle schaby,
Na grzeczny podwieczorek, wesołe śniadanie.
Ej! moi szarzy bracia! na futor do baby!”

„Zaglądałem do chaty, którąm sam zbudował,
Do żony, którąm kochał, dzieci, którem zrodził,
Za to kół osinowy w piersi me ugodził!
Odtąd tylkom cmentarza i chaty pilnował,
Zdala na chatę, żonę i dzieci patrzałem,
A i zato w me piersi znowu kół ugodził!
Bądźcie zdrowi! Dwa razy przez was krew przelałem,
Pójdę sobie na futor, w świetlicy zasiędę
I panem wielkich obór, długich stajen będę.

Jaszczurkę i gadzinę na jajach posadzę,
Kwoczkę żabę z blizkiego stawu przyprowadzę,
Żółw' będzie mi piosenkę świstać pod poduszką,
Siostra kuna przyniesie pościeli na łóżko,
Wiatr gospodarz przez ścianę o pogodzie gadać,
Słońce z księżycem przyjdą do stołu zasiadać,
Gwiazdy staną na straży i w dachu i w ścieli,
Deszcz pół wymyje, rosa skatyrkę wybieli." (*)

Diabeł się w grochowinach po drodze rozrzuci,
I jeździ po wsi z wiatrem, i czujne psy kłóci,
Stuka w okno, ze skobli zrywa okienice,
I wrzeszczy przebiegając wzdłuż i wszerz ulice.
„Wykopałem wilkownią napośrodku drogi;
Uważne, nieuważne ugrzęzną w niéj nogi.
Mój ojcze Belzebubie! zapłacz od radości!
Czekanych, nieczekanych nawiodę ci gości!"

* * *

W każdém oknie dwie świeczki; na zasłanym stole
Aż siedem ich gorzało. Wśród izby, na kole

(*) *Skatyrka*, długi obrus; u majętniejszych ukraińskich wieśniaków skatyrką ciągle stół zaslany.

Żelazném, wisiał pająk mosiężny, pękaty,
Jakby chciał razem objąć wszystkie kąty chaty,
Wyciągnął krzywe łapy, świeczek w nie natykał,
Najdrobniejszy cień w siebie chwytał i połykał,
Drażniony wkoło deszcze rozpryskał łojowe
Na mycki, łapserdaki, suknie szabasowe.
Za stołem zaścielonym, na którym wzdłuż stały
I cymesy, i farsze, kugle i farfały,
Aron się z żoną, dziatwą i gośćmi posadził,
I uśmiechał się do nich, i nócił wesoło,
I bułkę w sosy maczał, i swą brodę gładził.
Po nuceniu, po śmiechu, znać, że w jego duszy
Szczęście struny wesela złotą dłonią wzruszy,
I gra mu sny urocze; lecz w te pełne dźwięki
Gdyby się lepiéj wsłuchał, śmiech zmieniłby w jęki,
W płacze, jakiemi teraz Szulak zlewa oczy.

Sześć czarnych wołów długi pogrzebny wóz toczy,
Sześć w czarnych ryzach popów żałobną pieśń (śpiewa,
Co krok staje i z świętych książek wyczytywa
Błogosławieństwo zmarłéj; a nad trumną czarną
Wieją długie chorągwie i modlitwy garną

Na głowę zmarłéj, a świece woskowe
Tak się jasno, tak rzęsno palą, jakby głowę
Nie do grobu wieziono; a ładany wonne
Tak się dymią, jak gdyby pod tym czarnym wiekiem
Nie gnił trup, co się wczora nazywał człowiekiem.
Grają dzwony i całe podniebie przestronne
Muzyką swoją kłócą, rozbijając chmury.
Za trumną idzie Szulak posępny, ponury,
Łzy rękawem ociera i szepce pacierze;
Daléj tłum dziadów kołacz w torbę bierze,
Grosz chowa po kieszeniach i wzdychając gwarzy:
„Niech Pan Bóg wszelkiém szczęściem Szulaka na-
(darzy!
Czci on swą starą ciotkę, jak matkę rodzoną;
Oby po długim wieku i jego tak czczono!
Daj Boże, by był taki jak wiosna wesoły,
I zdrów jak woda, jak ziemia bogaty!"
Za to im miód i wino coraz noszą z chaty,
Szerokiemi misami ostawiają stoły.

Aron prawił do swoich: „Gojma naszego
Ależ gładko podwiodłem! Dziś w głowę się skrabie,
Lecz tém ze łba ołowiu nie wyciągnie babie.

Spotkałem ją jak ona szła z futoru swego
Prosto do Suprunówki; i długo myślałem:
Jakiegoby jéj figla spłatać?—aż spłatałem!
Kiedy gojm już dobrze podpił, ja pół-głosem
Do sąsiada bąknąłem: „Jak mają pójść łowy,
Kiedy się czarownice włóczą nam pod nosem?
To dobrze, że kto jeszcze nie ukręcił głowy!"
„Czarownice!"—goj krzyknął: „A tak, czarownice!
Stałem sobie za dębem u tamtéj dąbrowy;
Coś w chrustach zaszeleści—pilnie wlepiam oczy,
Aż jakieś czarne babsko z gęstwy się wytoczy,
Zrywa chustkę z swych kudłów, obdziera spódnice,
Klaśnie w dłonie, kukułką rzuci się na drzewa,
I kuku! kuku! dziesięć kuku jéj odśpiewa.
Widzę, niema co robić, więc drapnąłem w nogi,
Myślałem pana spotkam; lecz wpośrodku drogi
Zaczął rzęsny deszcz padać, pan był w złym humo-
(rze,
I tak to jakoś przeszło."—„Po stepie, po borze,
Rzecze goj, ja się włóczę jak w zimie tak w lecie,
A nigdy żaden diabeł nie spotkał mię przecie:
To się już nie chce wierzyć, że są diabli w świecie."
„Jasnego pana—rzekłem—i diabeł się boi,
Lecz z nami co innego." Dziesięciu opoi

Zaczęło się od śmiechu aż na ziemię walić.
Nikt nigdy nie mógł lepiéj starosty pochwalić;
Ten żart był mu do smaku; więc łyknął za zdrowie
Wszystkich diabłów, czarownic, a z tym łykiem (w głowie
Resztę swojéj pamięci udusił, utopił.
Zaczęło mglić na wieczór, drobniutki deszcz kropił,
Wyzieram mojéj baby, aż w olszynie właśnie
Coś drepce; trochę bliżéj podchodzę — „To ona!
Ach! czarownica!" krzyknę: „Gdzie? gdzie?" gojm (wrzaśnie.
„Ondzie." — I zaraz skoczy czereda szalona,
Wywleka z gęstwy babę, na drzewo leźć każe.
Gramoli się starucha, a goj gęste straże
Naokoło rozstawia, aby nie uciekła.
Skoro się z wielką biédą na drzewo wywlekła,
Kazał jéj kukać — kuka; on rusznicę ruszy
Chcący czyli niechcący, i baba bez duszy
Upadła; a ja krzyczę: „Szczęśliwy pan jaki!
Wszak ubił czarownicę!" i wszystkie pijaki
„Szczęśliwy!" całym głosem wykrzykują ze mną,
A tu coraz i coraz i wietrzno i ciemno.
„Niechże ją sobie Szulak z popami dziś chowa,
A my, nim się to przetrze, marsz do Berdyczowa."

I zaledwie z za lasu księżyc podniósł rogi,
Nie zwłócząc Aron z dziećmi wybrał się do drogi;
Przeczucie mu szeptało, by miał się na względzie,
Zanim Szulak ostygnie w swym piérwszym zapędzie.

* * *

Popi długim szeregiem do cerkwi wrócili,
Zdjęli ryzy, i ładan i świece zgasili,
I chorągwiom kazali znowu w kącie drzémać,
Nim zaczną z piérwszą śmiercią swe łono rozdymać.
Lud się rozszedł, i Szulak wrócił w swoje progi;
Żal go ściskał za serce, a leniwe nogi
Ledwo od grobu ciotki do domu zaniosły,
Do domu, w którym wszędzie łzy i troski rosły,
Cierń żywota, puścizna po Kaimie bracie.
Dżuma ojca i matkę napadła w téj chacie,
Wzięła ich, a dziecinę jęła głodem morzyć;
Nie lękała się ciotka dżumie drzwi otworzyć,
Dwie piersi między dwoje dzieci podzieliła,
Swoje i siostry. Dżuma jéj męża zabiła,
Zabiła dziécię, a tak w posagu sierota
I drugą pierś i miłość macierzyńską bierze.

Po czarném polu Szulak z myślami się miota,
Aż zmarnieją, zdziczeją; więc we krwi je pierze,

Suszy w ogniu, i kindżał w swém ręku obraca,
I szepce coś pod nosem, ostrze jego maca,
I zwiesza głowę. Nad nim wisiały obrazy
Zbawiciela na krzyżu, i Matki bez Zmazy,
I ojca Mikołaja. Gdyby podniósł głowę
I westchnął, toby jego koronę cierniową
Podjęli Święci Pańscy, do serdecznéj rany
Wleli balsamu życia. Jakiś cień rumiany
Przeszedł po licach Świętych, a Bolesnéj Matki
Dwie czyste perły spadły na święcone kwiatki.

I przez kogoż on uszedł morowéj zarazy?
Też same na tych ścianach wisiały obrazy,
Matka jego wyrzekła w ostatniéj godzinie:
„O Jezu! Święta Panno! Mikołaju ojcze!
Ratujcie moje dziécię!" Zaraz na dziecinie
Przytępiła zaraza swe żądło zabójcze,
Z matczyném sercem druga znalazła się matka,
I zakwitła wszelkiemi dostatkami chatka.
Ale Szulak swe święte patrony zasmucił;
Od czasu, jak za wolą starosty się rzucił,
Jak przemienił Archipa imię na Szulaka
I dzikie obyczaje przyjął tego ptaka:
Czyhał czart. Szulak sobie siedział w końcu stołu,
Na którym właśnie leżał nóż i chleb święcony;

I skatyrka święcona; więc milczkiem z pod połu
I z zapiecka wyzierał, i na wszystkie strony
Rozrywał jego myśli, oczy jego wodził,
Spotkać się ze świętemi obrazami szkodził;
A więc w czarnych, czarniejszych Szulak myślach (brodził,
Coraz boleśniéj święte zasmucał patrony.

Wszystkie psy ujadają, homon po dąbrowie,
Zaskrzypią ciężkie wrota; nadworni druhowie
Przypadną do Szulaka, zbladli, zadyszali,
„Uciekł lis — krzyczą — a myśmy zatkali
Pustą norę: szczenięta wszystkie zabrał z sobą;
Ruszaj z nami — z jutrzejszą dogonim go dobą."
Podniósł wzrok Szulak z ziemi ostry, zapalony,
I rzekł z przyciskiem: „Pustki — ani jednéj głowy,
Ani psa, ani kota"—Toć tam dziad skrzywiony
I baba wiedma siedzi—„Za jednę dwie głowy:
Niech i tak będzie; ha! dość piérwszym razem"
Odrzekł Szulak i umilkł, a potém wyrazem
Skąpym znów coś przyrzucił, i znów ciszą wilczą,
Ciszą głuchéj jesieni razem wszyscy milczą,
I znów słowo do słowa. Księżyc, co zazierał
Pomiędzy krągłe szyby, jeszcze się ocierał

O białe węgły ściany, aż na chmurach zasnął.
Noc na dworze, lecz w kącie kaganek nie gasnął:
Ta dłoń, to ta go znowu podniesie, rozżarzy,
A on strumieniem światła od twarzy do twarzy,
Z ściany rzuca na ścianę, z ścieli na podłogę,
Chwieje się, drży, jak gdyby czuł boleść lub trwogę.
W jego łamaném świetle dziwnie się wydają
Te twarze, zkąd te oczy tak strasznie błyskają,
Te ubiory fałdziste, gdzie pierś, noga, ręka,
Rośnie jak ją Bóg stworzył, trudu się nie lęka.
Stół skatyrką zasłany, pół wymyty biało (*),
A za którym ratyszcze tak strasznie błyszczało,
Gorzéj czarnego kota paliły się oczy,
Który chodząc i mrucząc, wkoło niemi toczy:
Nie kot to, lecz ktoś inny przerzucił się kotem (**).

Jakby się namówiwszy na jedno, z łoskotem
Wyskoczył Szulak za drzwi, a za nim kompany:
I długo tętent kopyt odbijały ściany,
Długo łamał się z echem i błądził po lesie,
Aż odleciał z kurzawą, co ją wiatr poniesie.

* * *

(*) *Pół*, długa, széroka ława przy ścianie.

(**) Podług mniemania naszego ludu, najczęściéj diabeł okazuje się pod postacią czarnego psa lub kota.

A było to tak, było nad Tulczynką rzeką:
Wojewoda z bezsenną jak legł, wstał powieką,
Przywołał kapelana, i z nim po ogrodzie
Chodząc, śpiewał godzinki. W przecudnéj pogodzie
Wstawał jesienny ranek, świeży, czerstwy, zdrowy,
Całą naturę, jakby na obchód godowy,
Z czystego srébra tkanym obrusem zaścielił,
I głodu syna, zimę na ucztę zaprosił.
Krótka uczta: pogodny z góry promień strzelił,
Uciekł gość, srebrny obrus w krople się rozrosił;
Znów natura, jak ze snu przebudzone dziécię:
I świéża, i wesoła. Jéj suchot kolory,
Jéj płeć śmiertelna w młode oblekły się życie;
Na stawach domowego ptastwa grały chóry,
A tam, ponad głowami, w niebios oceanie
Kręcąc się klucz żórawi, śpiewał pożegnanie,
Mgła snuła się po ziemi, dym piął się do góry.

Wojewoda pacierze kończył, i w natury
Wpatrując się oblicze, mówił do plebana:
„Księże! choć mi przeczucie szepce bez ustanku:
Będziesz mieć dzisiaj smutki; jednak tego ranku
Smutnym być niepodobna. O! z tego krużganku
Rzućmy okiem dokoła! Patrz, jak ta ubrana

Złotemi liśćmi brzoza, czyż stokroć nad króle
Nie wspanialsza, bogatsza? Po białych ramionach
Rozpuściwszy warkocze rosy i promieni,
Zdaje się żegnać lato w swych ciągłych ukłonach.
Piękne są lasy w wiośnie, ale w dniach jesieni
Stokroć one piękniejsze; kiedy upał lata
I kosa w niwach, łąkach, kwiecie pozamiata:
Wówczas to uwieńczone złotem i purpurą
Cudownie kwitną lasy; dziwi się im ziemia,
A słońce zanim ciągłą zasunie się chmurą,
Zasypia na nich. Spojrzyj po tym gaju,
Jaka tam gra kolorów, farb września i maju!
Idzie cudowny pożar po zielonym lesie,
I to piękne zniszczenie swojém przyjściem niesie.
Boże! jakżeś ty wielki, dziwny w każdym kroku!
Wszędzie twe cuda: w ziemi, na ziemi, w obłoku,
W powietrzu, ogniu, wodzie, i w życiu, i w zgonie."
Tak mówi wojewoda, a gaj coraz płonie
Z ranném wschodzącém słońcem w kolorów tysiące;
Nad jego czołem słońce zawisło wschodzące,
Kurzawa z przydrożnego pociągnęła szlaku,
I dym, i płomień z gaju, jak z Mojżesza krzaku
Strzelał w górę, rosł w górę . . . .

Dym — o nie! kurzawa
Coraz w swych czarnych kłębach nad gajem powsta-
(wa,
Wychodzi z niego, prosto szlakiem się przewleka,
I ta brudna powietrzna coraz bliżéj rzeka
Wpłynęła na przedmieście, i groblą się toczy.
W kurzawie wóz wyraźnie postrzegają oczy,
Ot już w bramie, zahuczał na podwórca bruku;
Powstał jęk przeraźliwy przy rozgłośnym stuku,
I nazad wóz po grobli przelatywał ptakiem,
A długa się kurzawa znów ciągnęła szlakiem.
Wojewoda zdziwiony na podwórzec bieży,
Cóż widzi?—przed wschodami bez pamięci leży,
Jak śmiecia, kupa żydów. Służba się gromadzi,
Szuka, czy się w tym tłumie gdzie życie nie zdradzi?
Szuka, i wódką, octem, z kamiennéj pościeli
Przebudza nieproszonych, nieczekanych gości.
Wstają, podnosząc swoje zakrwawione kości,
Aż powoli, powoli wszyscy się podjęli;
Wszyscy, prócz dwojga starców, i męża i żony.
Mąż pod schodami łeżał krzyżem rozścielony,
Z krwawą ścieżką przez piersi kołem wyoraną;
Staruszka z czaszką o róg filara strzaskaną.

Siedziała, jako upiór pod drzwiami kościoła.
Tych już do życia żaden lekarz nie przywoła,
A jeżeli przywoła, to Ten, co zasiądzie
Sądzić kiedyś nas wszystkich na swym strasznym (sądzie.

Skarżył się wojewoda, na kogoś narzekał:
Od kogożby obelgi takiéj się doczekał?
Ha! od równego tylko... Żydzi jęcząc klęli,
I nieraz Kaniowskiego z Szulakiem wspomnieli.

III.

A my idziem do pana,
A będzie nam cześć dana,
A będzie nam cześć dana
U naszego pana.

Pan ma złotą pszenicę,
Pan ma pełną piwnicę;
Wino będziem spijali,
Pirogi zajadali.

Skrzypki! cymbały! grajcie,
Ochoty dodawajcie!
Będziem z panem ucztować,
Popijać i tańcować.

Pan nasz rodził się w maju,
W zielonym, młodym gaju;

Zozulka babką była,
Powijacz jaskółka szyła.

Słonko nasze na niebie.
Panie! idziemy do ciebie;
Poucztujże ty z nami,
Ze swojemi sługami.

Przez most, przez kalinowy
Zabrzęczały podkowy:
To na nasze spotkanie
Idą twe sługi, panie!

Jaki pan, kram taki.
To nadworne kozaki,
To nadworne hajduki,
Masztalerze, pajuki.

Konie srébrem kowane,
Suknie ze złota tkane;
A cudownéj porody
Na ich liczkach jagody.

Oj nasze to ogrody
Rodzą takie jagody!
I z tego w świecie chwała
Naszemu panu stała.

Skrzypki! cymbały! grajcie,
Ochoty dodawajcie!
Będziem raźno tańcować,
Popijać i ucztować.

Prowadzone przez huczną troistą kapelę,
Śpiewając szło z kołaczem na zamek wesele.
Śpiew i brzęk się rozlegał daleko, széroko,
A grą ruchów, kolorów, bawiło się oko.
Po samym przodzie chłopcy z chorągwią czerwoną,
A którą ku czci panny-młodéj wywieszono.
Skakając wywijali; kapela za niemi
Szła, od ucha rzempoląc. Na krok przed młodemi,
Tuż z jednéj strony drużki, a z drugiéj drużbowie,
Swachy, kumy, marszałek, starosta, kumowie (*);
Daléj krewni i goście, i wszelakie pierze,
Co na ogon wesela Bóg wié zkąd się zbierze.
Mężatki i dziewczęta swych czekmenów bielą, (*)
Jakąś czystą radością twe oczy weselą;
Mołodce, trzęsąc czapką i dzwoniąc podkową,
Serce twe przerażają radością surową.

(*) Marszałek i starosta, są to dwie bardzo ważne figury w weselu ukraińskiego ludu.

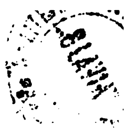
(**) *Czekmen*, zwierzchnia długa suknia, prawie to samo, co świta.

Z dziewcząt białego czoła tęcza wstążek płynie,
Namiotka skroń mężatek udatnie obwinie;
Ale piękniéj żupankom na barkach młodzieży:
Tak odzież człeku, a człek przypada odzieży.
Dawno już od ich boków szable odczepione,
Za to w kieszeniach noże stalone, ostrzone,
O krzesiwko przy każdym uderzając skoku,
Uczą wpokój nie wierzyć i mieć się na oku.
Panna-młoda spuszczone miała w ziemię oczy,
A pan-młody spojrzeniem dumnie wkoło toczy,
Stąpa śmiało; ta za nim drobnym krokiem idzie,
Raczéj się ciągnie cała we łzach i we wstydzie.
Koniec chustki z jéj nieraz wysunie się dłoni:
Swachy gdyrzą, wesoły mąż śmieje się do niéj.

Pan starosta Kaniowski już na ganku siedział;
Czy to on o wesela przyjściu się dowiedział
I czekał? czy tak sobie o słońca zachodzie
Wyszedł się polubować w wieczornéj pogodzie?
Przy nim Aron i Szulak nachmurzeni stali,
Rzekłbyś: jeden drugiemu wzrokiem grób kopali,
Tak z pode łba na siebie, tak w ziemię patrzali.
„Zgoda! — rzecze starosta — i od siebie wara!
Co było — przeszło. Nie lepsza twa stara

Od jego gratów. Więcéj ni pół słowa!
Broń Boże jaka kłótnia powstanie mi nowa,
To turma, szubienica! Ty idź do szafarza.
Widzisz, Pan Bóg wesołych gości nam nadarza:
Niechaj piwa i wódki, i miodu utoczy."
Odszedł Szulak, a Aron na pana wzniósł oczy,
Pan patrzył na wesele, co ot już przy wchodzie.
„Gdzież ona?" Pan zapyta:—„Przy téj siwéj brodzie,
Przy swoim starym ojcu, właśnie się przybliża:
To ona" mówił Aron. Jak jagoda świéża,
Jak róża wpół rozwita, kraśna szła dziewica.
Cień siwéj brody ojca padał na jéj lica,
A ona się do jego przyciskając boku,
Miała smutek na twarzy i jasną łzę w oku.
Młodzi się do nóg pana trzykroć pokłonili,
Starostowie kołaczem grzecznym obdarzyli. (*)
Wszedł pan do izby, za nim hurmem powalili,
Bez najmniejszego braku, najmniejszéj różnicy,
Wszyscy, jacy tam tylko byli godownicy.
I stary wszedł z swą donią; wodka, miód się leje,
Grzmi troista, a młodzież od serca szaleje.

(*) Wyrażenie ludu: *obdarzyć grzecznym kołaczem*, to samo, co upewnić *o należném uszanowaniu*; i w dowód uszanowania starostowie weselni przynoszą do dworu kołacz.



Pan starosta Kaniowski rzecze do Szulaka:
„Jak sowa chodzisz; w taniec weź tego buziaka,
Niechaj dłużéj nie drzémie pod tą siwą brodą.”
I już Szulak z dziewczyną raźny taniec wiodą,
Wycinają tropaka i w podkówki dzwonią.
Starzec brodę wyciągnął, i za swoją donią
Z kąta w kąt wodził okiem. Starosta podchodzi
Do starca i tak prawi: „Niechaj skaczą młodzi,
A my siebie zabawim jaką miodu flaszą.”
„Nie—rzekł stary—wielmożność jak szanuję waszą,
Nie, tego nie uczynię i nie spuszczę oka
Z mego miłego dziecka; jak na kostkę sroka,
Chcę sobie na nią patrzéć.” — „Któż ci patrzéć
(broni?
Usiądziem przy tym stole, i ty swojéj doni
Napatrzysz się dowoli, i wypróżnim flaszę.”
Usiedli i zaczęli zwykłe: w ręce wasze!

„Gdzie ty żyjesz? mój stary!” — „U Boga w komo-
(rze,
Jak to mówią, w pasiece, w lesie, na futorze.”
„Gdzież twój futor?”—„Jak widzę, pan chce wszyst-
(ko wiedzieć,
A może i sam chciałby na futorze siedzieć.

Dobre życie, spokojne! Gdybym od młodości
Siadł sobie na futorze, lżéjby sercu było;
A teraz stoi człowiek nad swoją mogiłą,
W tył zwrócić się nie pora, naprzód śmierć nie daje."
„No, no, pij, stary! kielich za tobą zostaje,
Nie lubię remanentu. Czémże byłeś z młodu?"
„Byłem pono zacnego szlacheckiego rodu;
Siczowi mnie gdzieś w Polsce dziecięciem zabrali
I jak swego po swemu chrzcili, wychowali;
I żyłem w Zaporożu, jako drzewo w lesie,
Co wzrośnie z ziarnka, które zkądeś ptak przyniesie.
Hej! hej! gdzie to człek nie był... Gdybym zaczął pra-
(wić,
Dziwnąbym historyą mógł pana zabawić;
Ale coś pan nie słucha, okiem na bok strzela:
At, co tam wielmożnemu z chłopskiego wesela?
Tyś pan, a oni chłopi.... niech wół szuka wołu,
Koń konia".... „No, no, stary! jeszcze tę pospołu
Flaszeczkę wypróżnimy; no, no, stary! siadaj,
I daléj historyą twoję opowiadaj;
Słucham, proszę cię słucham." — „Na morzu, na zie-
(mi,
Szczęście mię się czepiało rękami obiemi,

I cobym nie pomyślił, zawsze się udało,
I zawsze zewsząd wyszedł zdobycznie i cało.
Pokój był niby—myśmy drobną wojną żyli,
Po Polsce plondrowali, w Wołoszech łupili.
W Humańszczyznie był szlachcic, wolarz, sknera,
(stary;
Zwietrzyli nasi jego pleśniące talary,
Napadli nań, a że się upornie im bronił,
Zginął z żoną i dziećmi. Jam się wtedy gonił
Z kozaki Ortyńskiego, i nie był w tém dziele, (*)
A gdym przybiegł, już dworzec znalazłem w popiele,
Ruchomość rozgrabioną. Do sadu podchodzę,
Aż tu maleńkie dziécię pod płotem przy drodze,
Jak szczenię, karmi suka; zrazu na mnie szczeka, (**)
Potém się łaszcząc, skomląc, do nóg się podwleka.
Dziecina z płaczem do niéj rączki swe wyciąga,
Suka mi patrzy w oczy, za połę pociąga:
Zda się, że coś przemówić, coś pokazać żąda.
Ja idę: suka coraz, coraz się ogląda,

(*) Ortyński, dowódzca kozaków humańskich, który nieraz szczęśliwie staczał z Zaporożcami utarczki. Połączył się on z konfederatami barskiemi, lecz w jedném spotkaniu się z wojskami rossyjskiemi na Ukrainie, wśród powszechnego popłochu dostał się do niewoli, i w Kazaniu wiele lat przebył.

(**) Z podania ludu.

Aż nadeszła do rowu, gdzie za nią piszczało
Pięcioro małych szczeniąt. Na sercu mi stało
Tak żołośnie, tak smutno, że aż łza pociekła.
Wracałem; suka skomląc u nóg mi się wlekła:
Wstydziłem się żem człowiek; dziecinę zabrałem
I w piérwszém lepszém siole mamce je oddałem.
Odtąd mnie do sierotki jakaś myśl więziła,
Jakaś miłość, jak gdyby mojém dzieckiem była.
Gdziem nie jechał, to zawszem w tę stronę obrócił,
Zdrowiem dziecka się cieszył, a niezdrowiem smucił.
Biegł czas—ot już z robaczka śliczne dziéwczę wzro-
(śnie,
Tu dopiéro przy lalkach, a tu już w swéj wiośnie
Kwiatek nad kwiatki. I serce mi skacze,
Myśli się rozlatują, samo oko płacze.
Jużem nie samowity; dziej się wola Boża!
Dość, bracia, z wami hulać w stepach Zaporoża.
Zostałem przy dziewczynie; ksiądz związał nam dło-
(nie,
I na nowo człek zaczął żyć przy miłéj żonie.
W Zaporożu, gdy inni sieli swoje grosze,
Ja moje, jako pszczółka w ul, znosił potrosze,
I dużom ich naznosił; teraz się przydały:
Kupiłem dwie słobody. Zewsząd się ściekały

Tłumy ludu, i wkrótce moje dwie słobody
Były jak jakie miasta, jak jakie ogrody,
Z sadów barwinkiem, z stawów źwierciadłami.
Ale Bóg miłościwym nie chciał być nad nami;
Co roku nas niedola nowa powitała,
Śmierć dzieci nam, zaraza dobytek zmiatała,
Grady żniwa niszczyły. piorun stogi palił.
Raz wicher w nocy powstał i dom nasz rozwalił;
Sam nie wiem jako nasze unieśliśmy życie.
Z siedmiorga ot to jedno zostało nam dziécię,
I to zaczęło niszczeć, schnąć. Żona mi prawi:
„Mój miły! coś nam strasznie Bóg nie błogosławi,
Ktoś z nas ciężko zawinił. Naco te dostatki,
Kiedy co roku będą umierać nam dziatki,
Kiedy z każdym dniem w domu trwoga, boleść taka?
Wolałabym na siebie wziąć torbę żebraka,
I żebrować po świecie, jak żyć w téj niedoli....
Ona płacze, a i mnie ciężko serce boli.

Szukałem rady księży. Marek mi poradził,
Aby wszystkie dostatki, com dotąd zgromadził,
Rozdzielił na ubóztwo i na domy Boże,
A sam żył z własnéj pracy, w modlitwie, w poko-
(rze;

Jeżeli to uczynię, dziecku wróci zdrowie,
Szczęście wszemu domostwu, pokój mojéj głowie.
Zrobiłem jako kazał, słobody sprzedałem,
Jednę część cerkwiom, drugą ubóztwu oddałem,
I poszedłem na futor, bednarki się wziąłem,
Ciosałem ludziom klepki i obręcze giąłem.
Żona po nocach przędła, dniem połyki szyła,
Dziecina rzeźwa, zdrowa, przy nas się bawiła,
Weselszy świat nam stanie: w oknach jaskółeczka,
Czego nigdy nie było, lepiła gniazdeczka;
Bocian na naszym dachu siadło pobudował,
Rano, w wieczór klekotał i dziécię hodował;
Zozulka zakukała, rój na głowę padał,
Zebrałem go do ula; i któżby odgadał,
Żem do roku już z niego liczył pni dziesiątek?
Serce rosło na taki szczęśliwy początek,
Myśl się uspokoiła jak źródlana woda,
Co czysta, świeża, bieży z naszego ogroda.
Tak dni nam upływały, gdzie tam?—całe lata!
I gdyby mi Bóg żony nie zabrał ze świata,
Co przeszłą wiosnę takim płaczem nabawiła,
Żyłbym jak w raju. Boża wola była!
Choć boli—trzeba cierpieć. Teraz oto dziécię
Jest dla mnie całe szczęście, gdzie tam?—całe życie!

Zabierz je, to mnie żywcem zakopiesz do dołu.
Lubka moja!" Tu starzec spojrzał wokrąg stołu:
Starosty już nie było; czyż dawno go rzucił?...
Rój weselny coś w sobie mitrężył się, kłócił;
Wstał starzec, szuka doni, lecz nigdzie jéj niema.
I chwycił się za głowę rękami obiema,
Ujrzał pana starostę i żmiją nań skoczył.
Starosta w skroń go chropnął, starzec się zatoczył,
Upadł, ale po chwili znów przywstał na nogi;
Lecz już jakby pozbywszy żalu, gniewu, trwogi,
Zaczął serdecznie śmiać się, poklaskiwać w dłonie,
Prawić ni to ni owo. A Kaniowski płonie
Strasznym gniewem, grzmiąc ciągłe wyrzuca rozka-
(zy;
Sługi się przed nim wiją, czołgają jak płazy.
Szulak zebrał wierzchowych i ruszył z kopyta,
Aron w każdy najskrytszy zakątek zawita,
I sam Kaniowski wybiegł. Po pustych komnatach
Stary bednarz się włóczy, to za drzwi się chowa,
To śmieje się; a echo, a cisza grobowa,
Jak gdyby swéj szatańskiej niesyte uciechy,
Odbijają krok jego, powtarzają śmiechy.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

By za sobą goniące wymijali wrogi,
Ptakom skrzydła, zwierzętom Bóg dał szybkie nogi,
I swój ptak swego ptaka, zwierza zwierz nie zdradzi.
Człek lepszy od nich: wroga na człeka sprowadzi,
Za kawał chleba, gorzéj, za blaszkę, co świeci,
Przeda krew swego brata, przeda własnych dzieci!
Kaniowski był bogaty—wszyscy mu się gięli;
Kaniowski był okrutny—wszyscy przed nim drżeli.
Szlachcic, choć z swojém *veto*, z drogi ustępował,
A cóż chłopek, co w równi z bydłem się rachował?
I któżby przyjął Hannę do swojego dachu,
I chował ją bezpiecznie, i sam żył bez strachu?
Komuż mogła zawierzyć, że on jéj nie zdradzi?
Lecz znalazł się przyjaciel, ten ją zaprowadzi
Ni do wsi, ani miasta, ani do futoru,
Lecz gdzie dymy nie zajdą pańskiego faworu,

4*

Gdzie szpieg nic nie wybada; między dzikie skały,
Co tak brzegi Tykicza (*) wspaniale ubrały,
Że zdaje się nawykłym do równego pola,
Że tutaj i świat inny, inna Boża wola.
Pod górą, w skał wyłomku, drobna, jakby klatka,
Była wśród gęstwy lasu piękna, biała chatka.
Zdało się—nikt w niéj nie żył; ale chatka stała
Zawsze jednako czysta, wymieciona, biała,
Szyby w oknach błyszczały; czasem w wieczór szary
Ogień migał, i jakieś w niéj kipiały gwary,
I dym z komina leciał. Ciekawość człowieka
I swawola na zawsze od tych miejsc ucieka.
Zarosła trawą ścieszka zdawna nie deptana,
Klamka w drzwiach zardzewiała, na dachu zasiana
Dłonią czasu murawa pięknie się podniosła,
Sama sobie więdniała, corok bujniéj rosła.

W ciemnéj głębokiéj nocy, ścigana od trwogi,
Hanka te niemieszkalne przestąpiła progi;
Człek, co ją przyprowadził, ledwie chwilę bawił,
I samą ją z myślami w téj pustce zostawił.

(*) *Tykicz*, rzeka płynąca w gubernii kijowskiéj, w powiecie taraszczańskim i humańskim. Miejsce to opisywane znajduje się w Antonówce, majątku hrabiny Kisielowéj.

Jakaż noc była długa, ale przy rozświcie,
Skoro Hanka ujrzała jak tu ciche życie,
Że za sąsiady nie ma jak ptaki i skały,
I drzewa co się z letniéj szaty rozbierały;
Skoro ujrzała słońce, co i tu świeciło,
I niebo gdzie Bóg mieszka: lżéj się jéj zrobiło,
Łzy po licach pociekły, a jak nigdy jeszcze,
Takie modły w jéj usta kładło czucie wieszcze.

Leżał kamień pod progiem; Hanka na nim siadła,
Patrzyła jak wiewiórka orzech w dziubło kładła,
Jak jeż do swéj kryjówki leśny owoc znosił,
Jak się nad skały sznurek jaskółek unosił,
Jak ostatni motylek umierał na ścianie;
I ciche, tęskne w duszę jéj zaszło dumanie,
Myśl za myślą płynęła. Słońce południowe
Za skały przechyliło złotą swoję głowę;
Cieniem Hanka zbudzona, z miejsca swego wstała,
Jakby się dłużéj słońcem rozweselać chciała:
Póty się z skał na skały czepiała, drapała,
Aż znów ujrzała słońce, aż się przed jéj oczy,
Boże mój, co za cudny widok się roztoczy!
Czuła w sobie, że żyje, lecz gdzie, w jakim świecie?
Pojąć tego nie mogła. Kiedy była dziécię,

Znała wieś, pole, stepy; zamieszkawszy lasy,
Pokochała ich dzikie, tajemnicze krasy:
Cały jéj świat się składał z ziemi, lasu wody
I z nieba, zkąd przychodzą słoty i pogody,
Gdzie świeci słońce, miesiąc się przemienia,
Błyszczą gwiazdy. A teraz nowego stworzenia
Cuda miała przed sobą: jakby dwa obłoki,
Jak dwa bez granic mury, dwie groźne opoki
Ciągnęły się wzdłuż rzeki jedną wielką ścianą,
W co najdziwniejsze kształty łamaną, ciosaną.
Były tam wszelkich świątyń kopuły, wieżyce,
I wszelkich zamków baszty, arkady, strzelnice,
I wszelkie fantastyczne kształty i ozdoby,
W jakie człek stroił domy, kościoły i groby.
Budownicy miast naszych! gdybyście swe dzieła
Porównali z tym gmachem, rozpaczby was wzięła:
Cudowny pomnik może już przez lat tysiące
Odbija i wiosenne i zimowe słońce,
Zawsze jednaki, zmienném życiem ustrojony.
Powój go coraz w wieniec przestraja zielony,
Kraśnemi koralami szepszyna ubiera,
Świeci komysz jak w hełmie kita bohatera,
A na wieczyste w skałach wskazany więzienie
Samotny dąb, zieloną głową rzuca cienie,

A z korzeni do dołu drabinę wyplata;
Stado szpaków na jego konary przylata,
I radzi radę. W gniazdach przed wieki sklepionych
Na tych gzémsach, krawędziach sztucznie zaczepio-
(nych,
Rój jaskółek szczebioce; orły, jak królowie,
Milcząc chodzą, a jeśli który się ozowie,
To ostrym krzykiem; rzeka raz swawoli, mruczy,
To znów zbiera się w sobie, szumi, warczy, huczy,
Rozdąsana o brzegi białą piersią bije,
Z gniazd swych głazy wyrywa i przepaści ryje;
I w przepaściach, co sobie wyryła przez wieki,
Jak na łożu wygodném, przymruża powieki
I cichym snem zasypia: cudne jéj marzenia
Zgadniesz z tego na licach odbitego cienia.

Czuła Hanna że żyje, lecz gdzie? w jakim świecie?
Pojąć tego nie mogła. Była jako dziecię
Piérwszy raz do pięknego teatru wniesione;
Przecierała powieki snem niezamroczone,
Ozierała się wkoło; a wkoło, a wkoło
Jednako było dziwnie, pięknie i wesoło:
Słońce szło do zachodu, na niebie obłoki,
A tu wieczornym ogniem gorzały opoki,

A na nich Hanny postać tak promienna, błoga,
Jak gdyby gońcem była do ziemi od Boga.
Słońce zaszło, na rzece cienie zalegały,
Hanna nazad wracała, ale przed nią stały
Tak strome, przepaściste, niedostępne skały,
Aż głowa się kręciła, nogi przyklękały.
Wtém ozwał się ktoś za nią: „Zaczekaj, dziewczyno!
Podaj mi twoję rękę, idź, idź tą drożyną,
Tak, dobrze, wyśmienicie, tędy, dobrze, tędy,
O krok byłaś od śmierci, wzięły się cię błędy.
Czego się tak spóźniłaś? no, leniwko! śmiało!
Czekałam ciebie, aż mi spać się już zachciało:
Zgotowałam wieczerzę i łóżkom usłała,
Spłakawszy się, niebogo, będziesz dobrze spała.
Miękkie, wygodne łóżko z rwanéj wiosną trawy,
I moje być powinny do smaku potrawy,
Bo ja umiém gotować. Dobreś uczyniła,
Żeś chatę mą wybrała, w niéj się rozgościła;
Nie będziesz w chłodzie, głodzie. Ja w wiośnie i w le-
(cie,
I w jesieni, włóczę się po szerokim świecie;
Lecz skoro wiater luty, zimowy powieje,
To przy swoim kominie stare kości grzeję.

Ile ja bajek umiem, ile pieśni śpiewam!
Że nie znudzisz się ze mną, tego się spodziewam,
A może i ktoś jeszcze śpiewać nam pomoże.
Nie frasuj się, niechajno ja tobie powróżę:
Ja wróżyć majster. Wróżba i teraz mi rzekła,
Żeś ty pod moję strzechę, niebogo, uciekła,
Że brzydkiego karszuna uchodząc pogoni,
Siwo-pióry gołąbek do mnie się uchroni.
Póki ja z tobą, karszun nie odszuka ciebie,
Potém nie wiém." Tak gwarząc do Hanny, do siebie,
Jakaś staruszka szybkim szła po skałach krokiem;
Hanka szła za nią, lecz lękliwym wzrokiem
Wkoło siebie strzelała: pełna ciężkiéj trwogi,
Sama nie znała dokąd prowadzą ją nogi.
Lecz oto już i chatka, i weszli w jéj progi,
Staruszka jednakowo rozhoworna, śmiała;
Hanka w godzinę prawie przy niéj zapomniała
Wszelkiéj trwogi, i obie tak poprawdzie były,
Jakby już z sobą razem Bóg wié odkąd żyły.

Słońce wschodziło, Hanna ze snu się przecknęła:
Gdzież Mokryna, (tak stara zwała się), zginęła?
Czy wyszła? drzwi zamknięte; i Hanka wychodzi
Na podwórze, lecz i tu staréj nie znachodzi.

Zdziwiona, niespokojna, na skały wstępuje,
Aż oto ją znajduje, lecz jakże znajduje?
Siedzi, a przy niéj dzbanek pełen wody stoi,
Chodzą dwa duże orły, ona orły poi,
Karmi i głaszcze dłonią i do nich przemawia,
Przyciska ich do siebie, swe lica nadstawia,
A one krzywe dzioby tuląc do jéj twarzy,
Skrzydłami obejmują. Czasem się poswarzy
Na którego z nich: zaraz piękny winowajca
Zwiesza głowę i skrzydła; żalem rozczulona
Znów ona go całuje, przytula do łona,
I on znowu wesoły, wspaniały, dostojny.
Hanna szła: porwały się orły jak do wojny,
Mokryna się spojrzała i klaśnięciem dłoni
Uspokoiła orły; znów one koło niéj
Pieszczą się, a Mokryna do Hanny wyrzecze:
„Chodź, poznaj moję dziatwę zanim ztąd uciecze.
Za to, żem ją z pisklęcych puchów wychowała,
Patrzaj ile mi wdzięczna, jak mię ukochała;
Ale już wam się przykrzy, moje złote dzieci!
Nie trzymam was, niech każdy w swoję drogę leci."
Zaszumiało powietrze, srébrne błysło pióro,
Ot orły już pod chmurą i ot już nad chmurą.

„Umarłabym z nudoty, Mokryna wyrzekła,
Jeślibym moje życie tak, jako wy, wlekła,
Jeśliby mnie te wody, te drzewa, te skały,
Za panią, za rodzoną swą siostrę nie miały.
I żyję sobie z niemi w wiecznéj pięknéj zgodzie:
Każdy turptak w powietrzu, rybka zna mnie w wodzie,
Nawet gady mnie znają; świsnę, a za chwilę
Zobaczysz jakich pięknych tu będzie i ile.
Jaskółki się zbierają do swojéj kąpieli,
Pożegnam je." Klasnęła—chmurą zaszumieli
Czarni ptaszkowie: jako jesienny liść z lasu,
Usłali skałę. Ileż wdzięcznego hałasu,
Radosnych głosów! Każdy na Mokrynie siadał
I jak gdyby coś do niéj po swemu zagadał,
Zaszczebiotał, i znowu był sobie na stronie.
A ona wody z dzbanka chlupiąc w swoje dłonie,
Kropiła wszystkich, wszystkich, raz i dziewięć razy,
I jakieś do nich cicho szeptała wyrazy;
Pokropiła, i czarne zaszumiały pióra,
I nad wody ta lekka poniosła się chmura.

„Była posucha—znowu Mokryna wyrzekła—
Tak straszna, że na węgiel ziemia się upiekła:
Z pragnienia, głodu, wszystkie twory wymierały.
Ja mam małą kryniczkę między temi skały,

Co wiecznie pełna wody, i kiedy dno rzeki
Wysuszyły do szczętu niesłychane spieki,
Moja kryniczka zawsze jednakowo stała.
Po skałach wpół nieżywem jaskółki zbierała,
I wodą je, i własnym chlebem wyżywiała;
Za to mnie pokochały. Przeszło już lat wiele,
A ci mi jednostajnie wierni przyjaciele.
Lecz my tu rozmawiamy, a tam ktoś zdaleka
Przybiegł do nas, i z ciężkiém utęsknieniem czeka.
Nicże ci się nie śniło? czy zgadniesz kto przecie
Przytulał on do serca pewne śliczne dziecię
I zawiódł na bezludzie: zgadnij, moja miła!
Ale czegoś tak oczki do ziemi spuściła?
Spłoniłaś się, niebogo! niewiniątko moje!
To jakeście po nocach błądzili oboje,
To nic, a teraz wstyd ci. Chodźże, chodźże skoro,
Popatrzaj kto tam taki stoi pod tą górą."
I popatrzyła Hanna, Szulaka postrzegła,
I sama nie widziała jak do niego zbiegła,
Padła w jego objęcia, a Mokryna prawi:
„O dzieci! niech was pełna ziemia błogosławi,
Słońce, miesiąc i gwiazdy, i wszystkie niebiosa,
I wiatr szczęściem wiejący, i przeczysta rosa!

Niechaj wam z każdą wiosną żóraw' zdrowie niesie,
Na dziatwę, na grosz kuka zozula po lesie,
Pająk zwiesza nad głową, bocian gniazdo kleci,
Pies domu a wąż wierny pilnuje wam dzieci."

Zdziwiony Szulak słucha i do Hanki rzecze:
„Zkąd i po co ta baba, i kędy się wlecze?"
„Zkąd, po co—Hanka powié—Bóg ją raczy wiedzieć,
Lecz ona taka dobra, tak z nią miło siedzieć,
Tak ciągle rozhoworna, zna wszystkiego wiele,
Tak wesoła, że od niéj i wieje wesele.
Wczoraj na tych tu skałach siedziałam do nocy,
Błąd mię się wziął, i bez jéj poczciwéj pomocy
Jużbyś mnie nie oglądał. Przed dawnemi laty,
Powiada, że kto inny był dziedzic téj chaty,
A teraz to jéj chata. I w wiośnie, i w lecie,
I w jesieni, włóczy się po szerokim świecie,
Ale skoro zimowy, luty wiatr powieje,
To przy swoim kominie stare kości grzeje;
Że wcześniéj w swoję chatę teraz zawitała
Dlatego, że o mojém przybyciu wiedziała."
„Ale zkądże wiedziała?"—„A Bógże ją zgadał!
Ona mówi, że wszystko wróżba jéj powiada."—

Wchodzą do chaty, wkrótce i Mokryna wchodzi;
Zrazu Szulak niepewném okiem na nią wodzi,
Lecz tyle było prawdy w jéj całéj postawie,
W ruchach, mowie, że Szulak zapomni się prawie
Że ją piérwszy raz widzi; nie przeszła godzina,
A oni już we trojgu jak jedna rodzina.
Hanna spyta Szulaka: „Co z ojcem się dzieje?"
„Cóż—rzecze smutny Szulak—pociesza się, śmieje"
„Śmieje się?"—przerwie Hanna; a Mokryna na to:
„Jak nie ma być spokojny i wesoły tato,
Gdy jego donia zdrowa i bezpieczna żyje?"
„Ja myślałam, że jego tęsknota zabije!
Któżby się był spodziewał? Nigdy po jagody
Jednéj mnie nie wypuszczał; trzeba było wody,
To sam szedł do krynicy, lub razem idziemy,
A teraz on się śmieje. Ja śmiać się nie mogę,
Mnie za nim tęskno, smutno! Kiedyż się ujrzemy?"
„Trza zaczekać—rzekł Szulak—bo teraz wam drogę
Wszędzie poprzecinano; szpieg włóczy się wszędzie:
Trza zaczekać, niech wrzawa cokolwiek osiędzie,
Szpiegi się wybiegają. Ja do was czasami
To dniem słotnym, a bardziéj ciemnemi nocami
Na godzinkę zawitam. I za mną wróg chodzi,
I miecz prędzéj w mą głowę niż w czyją ugodzi."

I odtąd tylko Hanna z swą Mokryną żyła:
Ta ją we dni pogodne na skały wodziła,
A w słotne to bajkami, to pieśnią bawiła.
Dni pogodnych niewiele; coraz smutniéj skały
Mroczyły swe oblicze, mgłą się odymały,
Nareszcie znikło słońce. Noc ciemna, grudniowa:
Czy to wicher zaszumiał, zahuczała sowa?
O, nie! to koń tak zarżał, zagrzmiała podkowa.
Skrzypnęły drzwi, wszedł Szulak, „Ha! jakże się macie?
Czy zdrowi, czy weseli, i co porabiacie?
Ojciec ciebie całuje: weź jabłka z sakwami,
Oh! i bądźcie mi zdrowe"—i już kopytami
Zagrzmi wrony po skałach i przez pola skacze.
Hanna wzdycha i łzami gorącemi płacze:
I tak zawsze maleńkie z przybycia wesele,
A potém wiele żalu, łez i smutku wiele.

Raz dłużéj niż zwyczajnie Szulak się zabawi.
Hanna szyje połyki, stara bajki prawi,
A Szulak, jakby w tęczę, w Hannę wlepił oczy.
W dziewczyny licach żywszy rumieniec wyskoczy,
Rzekła: „Czego tak, miły, we mnie się wpatrujesz?
Przestań, proszę, bo wszelką radość mi zatrujesz!

Kaniowski mnie odstraszył od ojca, od ludzi
Takim wzrókiem; ten jego wzrok ze snu mię budzi,
I nieraz całe nocy nabawia bezseniem."
„Moja miła!—rzekł Szulak—trwożyć cię wejrzeniem
Nie przestanę, aż pójdziem do popa na sprawę,
Niech mi stułą przygasi wejrzenie jaskrawe:
Czy zgoda? moja miła!"...—„Zgoda!"... a Mokryna
Daje ręcznik i pieśni weselne zaczyna.

. . . . . .

I do popa na sprawę idą sami dwoje.
Stara cerkiew rozwiera przed niemi podwoje,
Stary pop ślub im czyta, stułą wiąże dłonie,
A jedna tylko lampa wśród ciemności płonie.
Posępny ślub! Ot rzekłbyś, że to duch grobowy
Tak do trumny poświęca te dwie młode głowy.
Mokryna z chlebem, solą, w progu ich witała,
Korowaj spiekła, w iłce, w szyszki go ubrała (*)
I wszystkie im weselne pieśni odśpiewała.
Lecz Szulak z krasawicą i dziś krótko bawił,
Pobiegł w swą drogę, a ją smutniejszą zostawił.

(*) *Korowajem* nazywa się duży pleciony pszenny kołacz weselny. *Ilce*. gałązka sosnowa, bez której żadne wesele obejść się nie może. Na Ukrainie w wielu powiatach sosny nie ma, przeto gałąź sosnową nieraz z odleglejszych stron sprowadzają. Korowaj musi być ubrany w gałąz sosnową i w szyszki urabiane z ciasta pszennego.

Mokryna jednakowa; z uśmiechem na twarzy
To Hannie pieśni śpiewa, to swe bajki gwarzy:
Dźwiękiem pieśni i słowem wesołéj powieści
Smutek z jéj głowy, z serca wywabia boleści.
Czasem wyjdą na skały, co w śmiertelnéj bieli
Stoją milczące, rzekłbyś, że śmierci anieli:
Słońce złotą koronę wkłada im na głowę,
Na barki płaszcz królewski rzuca ze szkarłatu;
One stoją na berła wsparte kryształowe,
I w milczeniu, panują wymarłemu światu.
Kruk czarny, jak myśl śmierci na czole usiada,
Rzeka w kajdanach lodu pod nogi upada.

II.

. . . .

Jak sen straszny a krótki przeleciała zima,
Tutaj dopiéro była, tu już śladu nie ma;
Stoją omyte skały, pola wykąpane,
Na nowo ręką Boga sprawiane, zasiane:
Podrasta młode życie, stare się ubiera,
Ziemia swe łono, niebo duszę swą otwiera.
Mokryna z przyjściem wiosny jakaś roztargniona,
Częściéj Hannę opuszcza, a gdzie błądzi ona,
Któż odgadnąć potrafi? Nieraz w noc się zrywa,
I ledwie o południu do chaty przybywa.
Choć wesoła jak przedtém, ale więcéj skryta;
Kiedy ją Hanna o to i owo zapyta,
Lub odpowié półgębkiem, lub nic nie odpowié.
I jakieś podejrzenia powstaną w jéj głowie;

Nigdy ona Mokryny jeszcze nie widziała,
By nasz pacierz mówiła albo się żegnała,
Świętych Pańskich, Chrystusa Pana wspominała.
A niechże nów zabłyśnie, to na twarz upada,
Do ptaków, zwierząt, wężów, jak do ludzi gada,
I one rozumieją jéj mowę, skinienia.
Śpiewa, lecz te jéj często jakieś dziwne pienia,
O jakowychś rycerzach, jakichś dawnych bogach.
Stara, ale starości nie widać w jéj nogach:
Po skałach sarną skacze, a gdy pieśń zaśpiewa,
To mniemałbyś że jaka w piérwszéj wiośnie dziewa.
Starannie obwinęła chustkę wkoło głowy,
Lecz z pod chustki czasami taki bursztynowy,
Taki młódy włos świeci, że aż dziwo bierze,
Zkąd taka starość takim włosem się ubierze?

Już Hanna sama siebie pociesza i bawi,
Ale mdła tam pociecha, gdzie serce się krwawi!
Coraz to łza gorętsza po jagodach spływa,
I westchnienie gorętsze z piersi się dobywa:
Tęsknota serce gniecie. Do ojca w godzinie
Ptakiemby poleciała, mężaby do siebie
Łańcuchami przykuła; lecz dzień za dniem ginie,
Ani ojca, ni męża! Pierś wzdycha, łza płynie,

Pierś wzdycha bez podziału, łza samotna spada!
Sen, jedyny towarzysz, o nieszczęściach gada.
Przyrzekał mąż w ludniejszém miejscu ją osadzić,
Przyrzekał być z nią razem i ojca sprowadzić;
Rozwiał wiatr przyrzeczenia, mąż gdzieś nad Dniepr (lata,
Ojca nie masz i nie masz, mieszkaniem taż chata.
I taż chata, i tenże brzeg stałby się rajem,
Gdyby z nią stary ojciec żył starym zwyczajem,
Gdyby mąż częściéj gościł. Piękny tu świat Boży,
Wesoły; lecz bez miłych kiry na się włoży.

Słońce szło do zachodu, piérwszy pączek róży
Rozwijał pod skałami wieczór ciepły, cichy;
Woń rozlewały drobne konwalii kielichy
I wierzba nie przekwitła, i liście brzozowe;
Wdzięcznie się zieleniły szaty lasu nowe,
Wolnie rzeka igrała, kołysając cienie,
Poeta-słowik echu podawał swe pienie.

Po obu stronach rzeki, jak dwie pół arkady,
Stoją skały ku sobie; i teraz są ślady,
Że te skały przed wieki były jedna skała,
Co nad rzeką, przepaścią, mostem zawisała.

Cudowny most!—dziś jeszcze prawe jego ramie,
Jak obłęk w rozwalonéj, tryumfalnéj bramie,
Pysznie zwisa, wzywając do nowych zapasów
Rękę ludzi, żywiołów i ostry ząb czasów.

Długo wieczòrem błądząc na jednéj z tych skale,
Siadła Hanna, a myśli poniosły ją fale;
Poniosły ją do swoich, do futoru swego,
Do matki, co śpi w grobie, do ojca starego,
Do owych lat wesołych, co jak zwiędłe kwiecie,
Już za nią gdzieś daleko zostały na świecie.
Czas pędził, noc padała, a Hanna za łzami,
A raczéj nie widziała nocy za myślami.
Przyszła noc, niosąc miesiąc bladawy na czole
I słabe gwiazd promyki na swéj czarnéj pole:
Razem czoło schyliła i poły rozwarła,
I nad ziemią świeciła, co na czas zamarła.

Spadnie kilka kamyków od prędkiego kroku,
I Mokryna przy Hanny pojawi się boku
Niespokojna: snać jakieś skryte myśli chowa,
W końcu siebie zwycięży i w te zacznie słowa:
„Nosiłam tájemnicę długo w mojéj duszy,
Czas przyszedł, niech z łupiny ziarnko się wykru-
(szy;

Chciałam cię rozweselić, i w wesela szacie
Chodziłam pókim mogłam, i żyłam w téj chacie;
Zdarła się cudza szata, spowszedniała chata,
Tyś smutna, i myśl moja już gdzieindziéj lata.
Nie płynąć wodzie w górę, nie odmienić doli.
Boli twe biédne serce, oh! i moje boli!
A jednak się rozstaniem, i na zawsze może.
Serdecznie mi żal ciebie, śliczne me nieboże!
A jednak się rozstaniem; lecz wprzód powiem tobie
O Rusałce, a może nawet i o sobie.

Przed północą się kogut przebudził i śpiewa,
Biała kotka na środku izby się umywa,
Rodzi się młódéj matce takie śliczne dziécię,
Jakie nigdy w tutejszym nie bywało świecie.
Matka je do wschód słońca lubistkami myje,
Aż się z dzieciny taka dziewczyna rozwije,
Że się w niéj pokochają i ludzie i bogi.
Pokocha się w niéj naprzód jeden bóg złowrogi,
Czarnym zwany, a drugi bóg wiecznéj dobroci,
Białym zwany; bóg czarny pokocha dla siebie,
A biały dla niéj saméj. Gdzie się dziéwczę zwróci,
Tędy biały bóg patrzy, tędy czarny goni.
Czarny bóg jął tumanić, i raz się osłoni

W śliczną postać młodziana, to znów się przemienia
W sznur korali i w złote do uszu noszenia,
To w wstęgę różno-wzorą, sznurówkę jedwabną,
To w bócik safianowy.— Już na nóżkę zgrabną
Kładła bócik dziewczyna, wtém biały bóg z góry
Spojrzał, dmuchnął — tumanu rozwiały się chmury,
I przed dziewczyną stanął straszny bóg złowrogi
Z obliczem trupiém, ze łbem uzbrojonym w rogi.
I krzyknęła jak dziécię nowo narodzone,
I załamała ręce do góry wzniesione.

Czarnego boga miłość, gniew, żądza rozpiecze,
Gwałtem chwyta dziewczynę, a wtém przyoblecze
Biały bóg jéj postacią polny kamień szary,
I rzuci mu w objęcia, i z brzemieniem mary
Leci czarny, a biały dziewczynę ukryje
W tych skałach, w które brzeg ten tak dziwnie ob-
(wije.
A na skałach bezsenne strażniki sadowi,
I orły i jaskółki; i nocy i dniowi
Stróżuje wierna straża wiernemi oczyma,
Które w powietrzu, ziemi, wodzie wiecznie trzyma.
I więcéj dla dziewczyny uczyni bóg biały:
Młodego strzelca zwabi pomiędzy te skały;

Ścigał zwierza, lecz skoro na dziéwczę wzrok rzucił,
Do zwierza i do domu nigdy nie powrócił.
I dziewczyna go więcéj nie puszcza od siebie
Czarném okiem, co świeci jak słonko na niebie,
Białém licem, co kwitnie jak jabłonia w maju,
Rusą kosą, co pływa jak miesiąc w ruczaju,
Hożą pieśnią, co brzegom tym rozkosznie śpiewa,
I miłością, co sen jéj spokojny przerywa.—
Raz dziewczyna do strzelca rzecze: „O mój luby!
Na wiek wieków niech święte powiążą nas śluby."
„Niech powiążą, rzekł strzelec, a odtąd te skały
Staną, o luba, z tobą, dla mnie za świat cały!"
I natychmiast w obliczu i nieba i ziemi,
Przysięgli sobie miłość usty gorącemi,
Przysięgli sobie miłość, i na wspólne gody
Sprosili gości z ziemi, powietrza i wody:
I dla jednych podali mleczywa i miody,
A dla drugich podali i ziarna i trawy,
A dla trzecich podali mięsiwa stół krwawy.
Każdy gość nowożeńców parze błogosławi,
Krom gąsienicy, która tak się gdzieś zabawi,
Że jéj znaleźć nie mogli. Mówią, że w te czasy
Ona się przebierała w motylowe krasy,
Ale nim się przebrała, już gody skończono,

Zdjęto misy, skatyrki, stoły odstawiono.
I głupi motyl, z podłéj zrodzon gąsienicy,
Zaprzysiągł wieczną zemstę strzelcowi, dziewicy.

Czarny bóg ze swą marą co robić sam nie wié,
Raz tuli ją do serca, to w szalonym gniewie
Precz odrzuca, to znowu w swe objęcia chwyta,
I wróżbitów, i wróżek o radę się pyta,
W swym kłopocie na długie zapomni się lata
Podwładnych jego woli i ludzi i świata.
I stanie w całym świecie wesoło i miło.
Motylu! co się tobie lepszego zrobiło,
Żeś czarnemu bogowi odkrył tajemnice,
Świat zasmucił i zgubił strzelca i dziewicę?

Chłopiec ze skał obłomków i suchego drzewa
Zbuduje chatkę, gliną wybieli ją dziewa,
Białą gliną wybieli, pieśnią rozweseli,
Ożywi śmiechem, mową; świeża, jasna, biała,
Wesoła stanie chatka, jakby w niéj mieszkała
Sama wesołość, jakby panował na świecie
Sam bóg biały, jak gdyby człek był szczęścia dzie-
(cię.
Na to co rok ubiera wiosna ziemię w kwiecie,

Aby je bezlitośna pustoszyła zima;
Tutaj się człowiek rodzi, a tu go już nie ma.
Tu go matka huśtała, tu kładną go w grobie,
Tu ty płaczesz po drugich, tu płaczą po tobie.
A jaż po mojém szczęściu kiedyż się napłaczę,
Kiedyż ciebie, mój miły, kiedyż znów zobaczę?
Przywalił cię bóg czarny wiekiem strasznéj skały,
Nakrył wodami; wody łzy me rozchwytały,
Skała jęki odbiła; śpisz w kamiennym grobie
I nie słyszysz jak jęczę, jak płaczę po tobie!
O czarna moja dola! o biada mi, biada!
Oh! oh!" jęknie Mokryna i do rzeki wpada.

I huk i stuk się rozległ, echa się ozwały,
Rozbite wody w kręgi, łuki się złamały;
Chwila — echa ucichły, a woda wzruszona
Coraz się wolniéj chwiała, aż znów do jéj łona
Głucha cisza wróciła, aż brzegi zbudzone
Znowu sobie drzémały swe sny nieprześnione.
Hanna chciała uciekać, ale jakieś trwogi
Zmysły jéj odbierały, krępowały nogi;
Chciała wołać, lecz piersiom jéj zabrakło głosu,
I ze skały, jak owa ofiara ze stosu,
Patrzyła w głębią rzeki, a rzeka gorzała

Żywym ogniem miesiąca, a nad skałą skała
W pół-świetle i w pół-cieniu mnożyła postaci
To piekielnych mieszkańców, to niebieskich braci.

Jął wietrzyk szumieć rzeką, i do brzegu fale
Pełną dłonią zgartywać, aż podobne skale
Powstały wodne mury, aż na świat przejrzało
Dno rzeki, co od wieków pod wodą marniało.
A na dnie tym, jak okiem rzucisz, same dziwy:
Srébrne liście rozwieszał jakiś las sędziwy,
Dziwny las, dziwne liście: podobne mu wzory
Zima w oknach maluje; tęcza swe kolory,
Rosa ognie po jego konarach rozlała;
I las kwitł, błyszczał, świecił. Nad lasem pałała,
Jak łuna od pożaru, głowa jakiéjś wieży,
Jak druga Ławra, cała w złocistéj odzieży,
A pod nią ściany z lodu, a nie z żywéj wody,
Szumią, grają, lecz w sobie ściosane jak lody.
W tych ścianach wszelka ryba swobodnie przepły-
(wa,
Wiją się wodne węże, koral odpoczywa,
Drzémią muszle, a wszystko w tym pięknym nieła-
(dzie,
Jaki ręka uczona naumyślnie kładzie.

Sto gładkich kolumn, raczéj sto fontan przejrzy-
(stych,
Biło w wiecznym porządku do stropów złocistych;
A w tych wszystkich kolumnach, jako pod szkłem
(kwiecie,
Stały dziewice w całym gdzieś szukane świecie,
Cudowne swojém licem, postacią i okiem.
Ale wszystkie dziewice gasiła urokiem
Jedna, snać ich królowa; na poklask jéj dłoni,
Każda fontana swoję dziewicę wyroni;
Fontany swą koleją biją w złote stropy,
A dziewice łekkiemi przelatują stopy
Czarowne ściany zamku i gałęzie lasu:
Już pląsają po wałach wodnego tarasu,
Już na skale, już Hannę otoczyły wkoło,
Wzięły ją, jak niemowlę, i nócąc wesoło,
I pląsając, poniosły do swojéj królowéj,
Kędy ów pyszny zamek wodno-kryształowy.

W zamku tym inne dziwy i świat inny wcale:
Tu wieczna wiosna, w wodnym zamknięta krysztale,
Wszystkie swe roztoczyła i farby i cienie;
Woniły zioła, kwiaty, brzmiało ptasząt pienie,
Szumiały drzewa, piękne, cudotworne drzewa,
Bo tu kwitną, tu owoc dośpiał, tam dośpiewa.

Drugi raj darowany drugiéj matce Ewie.
Zdziwiona Hanna patrzy, aż przy jedném drzewie
Stoi stara Mokryna w swéj staréj odzieży,
Jakby starość i zima, wśród wiosny, młodzieży.
Wzniesie dłoń — czarodziejki obiegną ją wkoło,
Te kwiat pod nogi ścielą, a te pieśń wesoło
Śpiewając, brzeg całują jéj wytartéj szaty.
Oną pieśni nie słucha, nie patrzy na kwiaty,
Lecz wyciągnąwszy rękę do Hanny, tak prawi:
„Chociaż się od boleści serce moje krwawi,
Jednak zaczętą powieść skończyć muszę tobie.
Siądź przy mnie, moja miła! Raz w wieczornéj dobie
I strzelec i dziewczyna wyszli na te skały,
Co wtedy jednym mostem brzeg z brzegiem wią-
(zały;
Strzelec był ciągle smutny, łza z oczu mu biegła;
„Co ci?— rzekła dziewczyna — łzęm w oczach spo-
(strzegła!"
„Nie wiem — odpowie strzelec — wypowiedzieć
(trudno,
Jak mi na sercu ciężko, żałośnie i nudno."
„Napij się świeżéj wody" — i dziewczyna bieży
Po wodę, a wtém orzeł skrzydłami uderzy,
Zaszczebiocą jaskółki; razem z tym szczebiotem,

Z ręki czarnego boga i z hukiem, i grzmotem,
Runie piorun na skałę i skałę rozkruszy,
I rozkruszoną skałę, i strzelca bez duszy,
Topi w wodnéj przepaści. Jeszcze nie wsypała
Swych okruszyn do rzeki rozłamana skała,
Już biały bóg w Rusałkę zamienił dziewczynę
I oddał jéj pod władzę tę dziwną głębinę,
A Rusałkę tém wszystkiém, co widzisz, otoczy.
Jak byłaby szczęśliwa, jeśliby jéj oczy
Nic więcéj nie widziały! — zwaliła się skała
I w przepaściach miłego zamknęła na wieki!
O! krusz się moje serce! topnijcie powieki!

Czekam ja wiosną zimy, a gdy przyjdzie zima,
Czekam, czy dla mnie szczęścia w przyszłéj wiośnie (nie ma?
Skoro słońce na rzece poroztapia lody,
Tylko mojém pragnieniem, tylko życiem wody,
I topię się, jak nurek, i czekam w głębinie,
Czy o miłym wieść jaka do mnie nie przypłynie?
I jak muszla przy skale uczepiona wiszę,
I czekam, czy o miłym czego nie posłyszę?
Czekam, napróżno czekam, aż nadchodzi zima,
Ja biegnę, szukam szczęścia, czy go w zimie nie ma?

Szukam śladów miłego, gdzie lasy, gdzie skała,
I przybiegam, gdzie nasza miła chatka biała,
I w naszéj miłéj chatce wszystko po dawnemu,
Dziś, jutro tylko do niéj powrócić miłemu.
I czekam dziś, i jutro, i w wieczór, i zrana,
I truchleję w tęsknocie, jak na deszczu ściana;
I czekam dziś i jutro, aż przechodzi zima,
Ja biegnę, szukam szczęścia, czy go w wiośnie nie (ma?

I ciebie, moja miła, czarna ściga dola!
Niech ona idzie sobie na bezdrożne pola,
A ty zostań się z nami, zostań, siostro, z nami!
Zwabimy twego męża pieśnią i wdziękami,
I będziemy żyć razem w miłości, swobodzie
Przypatrz się jak tu u nas dziwnie, ślicznie w wodzie,
Jakie my wszystkie śliczne!"—Tu z Mokryny spadły
Okrycia, co starości maskę na nią kładły:
Jak kwiat z pączka, jak ranna jutrzenka o wschodzie,
Błysnęła krasawicą i mówiła daléj:
„Zostań się z nami, siostro! będziem cię kochali,
Jak swą siostrę rodzoną, jak kochamy siebie:
Zostań się z nami, siostro! Nie będzie ci w niebie
Tak dobrze i tak miło, jak tu między nami.
Na co te blaszki nosisz? precz z temi blaszkami!

Ubierzem cię po swemu, jak słońce ubiera
Majowe niebo."—Hanna po sobie spoziera,
I cóż widzi?—medalik, który matki dłonie
Z błogosławieństwem na nią włożyły przy zgonie,
I krzyżyk, co jéj przy chrzcie świętym zawieszono.
Mimowolne westchnienie podniosło jéj łono,
Łzy się z oczu polały; upominek drogi
Przycisnęła do serca, i ugięła nogi,
I pobożnie złożyła ręce do pacierzy.
Wtém jakby się świat walił, taki wzdłuż wybrzeży
Trzask się rozległ, ode dna fale zahuczały,
I pochwyciwszy Hannę, niosły ją na skały:
Już już miały roztrącić, a wtém ją ujęli
Stróże poczciwéj duszy, niebiescy anieli,
I złożyli na skale. I Hanna na skale
Siedzi, patrzy; na rzece cicho drzémią fale,
I księżyc je wyzłaca, i wschód zarumienia:
Nigdzie i nigdzie śladu z całego widzenia.
Byłyżby to nic więcéj jak senne marzenia?
Ale cóż na tym świecie nie senném marzeniem?
Krom Boga, duszy, wszystko marą i złudzeniem!

III.

Po swym śnie, czy widzeniu, Hanna wylękniona
Rzadko wyjdzie na skały: stokroć częściéj ona
Z igiełką przy krosienkach usiadłszy na progu,
To swemu sercu śpiewa, to modli się Bogu.
Smutna pieśń zbolałego serca nie weseli,
A Bóg czy uchą na jéj modlitwy udzieli?

Szulak kiedy-niekiedy nawiedził te strony,
Wbiegł wesoły, a wybiegł zlany łzami żony.
Ostatnią razą Hanna tak ciężko płakała,
A w jéj łzach stałość męża dotyla zmiękczała,
Iż zaklął się na duszę ojca jéj sprowadzić,
I z téj głuchéj pustyni wśród ludzi osadzić.
Zaklął się... i zaklęcie to na noże brało
Jego serce, a myśli wkoło uplatało;

Zaklął się, więc dotrzyma coby się nie stało—
Dotrzyma.... a któż wreszcie wszystko zgadnąć
(zdoła?
Po nocy chmurnéj idzie pogoda wesoła:
Może sam widok córki już ojca uzdrowi
Wprzód jeszcze, nim się ona że chorował dowié.
. . . .

Już Hanna w wigilią całą noc nie spała,
Tak była niespokojna, tak ojca czekała.
Nadszedł dzień obiecany, wnet na szlak wybiegła
I z mogiły swych gości pilném okiem strzegła.
Szło słońce, po niebiosach ciągnął ptak za ptakiem,
A bujny wiatr stepowy przechadzał się szlakiem;
I bujny się wiatr przeszedł, opadła kurzawa,
A tylko świstał susel i szumiała trawa;
I świst susła, i trawy jednostajne szumy,
I woń ziół rozkwieconych, w ciche, tęskne dumy
Pogrążały jéj myśli; za myślą uśpioną
Przyszedł sen, przywarł oczy, ukołysał łono;
Po chwili sen uleciał—Cóż to? gdzie mogiła?
Gdzie szlak?—step tenże sam, ale go okryła
Jakaś trawa zbujała, jakieś kwiaty, zioła.
Wiater zrazu ich lekkie, malowane czoła

Zwolna kołysał; potém zadął z mocy całéj,
I te wonne, malowne, poniósł, z sobą wały,
Gdzieś za horyzont poniósł i wrócił na nowo
Wzdymać falę kwitnącą, wstrząsać pierś stepową.
A na te fale, na te rozburzone wały,
Słońca promienie, ptaki, owady padały;
I ptaki, i owady, i promienie słońca,
I to zielone morze w jakąś myśl bez końca,
W jakąś całość bez granic dziwnie się zlewały
W blasku, farbach i w wonnym czy dymie, czy pyle:
Kraśném kołem, jak tęczą, błysnęły motyle,
I Hannę otoczyły, i z sobą poniosły.

Wśród stepu, jak las jaki, różne zboża rosły:
Złoty jęczmień, pszenica, srébrne kłosy żyta,
Hreczka z dziewic rumieńcem, płowa prosa kita.
A z tych zbóż dziwny zamek wzniósł się do góry:
Za dach go ptastwo swemi przysłoniło pióry,
I dach był, jak kobierzcc, w różne wzory tkany,
Słomiane szczerém złotem świeciły się ściany:
I dach i ściany, zda się, że w powietrzu wiszą,
Lada wiatru powiewy precz je rozkołyszą,
A jednak stoją; trzeba, to słońca promienie
Leją się doń ryczałtem; trzeba, to znów cienie

Co najgłębsze padają; trzeba, wiatr przelata,
Trzeba, to tylko w ściany daremnie kołata.
Teraz wiater pociągnął, i w téj saméj chwili
Do zamku z Hanną wleciał kraśny rój motyli,
I Hanna z zadziwienia pojąć się nie może,
Bo tu razem zobaczy wszystkie dary Boże,
Wszystkie skarby piękności: tu w stropie niebiosa
Płoną od gwiazd złotego rozjaśnione włosa,
A tu biegną potoki, kwitną łąki, niwy,
Szarzeje pasmo góry, łańcuch skały siwy
Świeci w słońcu, a między skały, zdroje, niwy,
Buja swobodnie wszelki zwierz i ptak pierzchliwy;
Z roja motylów błyśnie cudny rój dziewiczy,
I wszystkiemu nowego uroku użyczy.
A z dziewiczego roju, kwiat nad inne kwiaty
Wyjdzie Mokryna, strojna w lekkie, mgliste szaty,
W smutne, blade oblicze, i zalana łzami,
Mówi do Hanny: „Siostro! zostań ty się z nami,
Żyj z nami. Tu tak pięknie, tak raźno, tak miło,
A tam już twoje szczęście w łzy się roztopiło:
Tam tylko wieczny smutek i płacz czeka ciebie!
Zostań z nami, a blaszki te odrzuć od siebie.
Ubierzem się po swemu, jak słońce ubiera
Majowe niebo."— Hanna po sobie spoziera,

Widzi medalik, który miléj matki dłonie
Z błogosławieństwem na nią włożyły przy zgonie,
I krzyżyk, co jéj przy chrzcie świętym zawieszono.
Mimowolne westchnienie podniosło jéj łono,
Łzy z oczu się polały; upominek drogi
Przycisnęła do serca i ugięła nogi,
I ułożyła ręce nakrzyż do pacierza;
A wtém wicher zahuczy, straszny grom uderza,
Hanna zrywa się... patrzy — z widzenia ni znaku!
Byłżeby to sen znowu? . . . .

Pył ciągnął po szlaku,
I głośniejszy kół turkot, i ot przy mogile,
Trójkonny się wóz zbliża w wzrastającym pyle.
Zadrżała Hanna, oh! bo sercem zgadła
Czyj to wóz, i do niego co żywo przypadła.
Przypadła jak ten listek do wilgotnéj ziemi,
I ojca się chwyciła rękami obiemi,
Zanosząc się od płaczu, u szyi wisiała
I jego siwe piersi, lica całowała;
Ale on jéj radości ni łez nie podziela,
Milczy tylko i okiem obojętném strzela:
„Com wam jest? tatu! co wam? — Hanna płacząc
(woła,

Może się wy gniewacie na mnie, lecz wam z czoła
Gniéw nie patrzy; przemówcież do mnie choć słó-
(weczko!
O mój tatu! o moje rodzone słoneczko!
Nie patrzcie się tak strasznie.... co im? o mój miły!
Co im?"—I Hannę wszystkie opuściły siły,
I jak stała, upadła koniom popod nogi.
Zlęknione konie razem cofnęły się z drogi,
Skoczył Szulak, i Hannę trzeźwi, i pociesza,
I piérwszy raz łzy swoje z jéj łzami pomiesza.
A starzec zimno patrzy, wkońcu tak zawoła:
„Może i mój gołąbek we szponach sokoła
Tak samo jęczy, płacze, lub w klatce zamkniony
Z każdą chwilą umiera, czekając na szpony!
Jest Bóg, jest śmierć; ta przyjdzie na nas i na niego,
Zmiecie gołąbka, zmiecie sokoła srogiego.
Nie płacz i ty kobieto!—i twój karszun zginie.
Mój synu! niech sieroca łza marnie nie płynie,
Puść na wolność niebogę; może po niéj stary
Ojciec płacze; puść, synu! bój się Bożéj kary!"

„Oh tatu!—Hanna woła—tatu! swoje dziécię
Poznajcie we mnie, Hannę poznajcie już przecie!"
„Co? co? ty moje dziécię?—to wilk gołębicą,

Żmija jaskółką. Hanną chcesz być? Czarownico!
Cyganko! nie zczarujesz mnie szlochami twemi:
Znam ja, znam ja cię dobrze, zmówiłaś się z niemi.
O! wyłupcie mi oczy, a ja moje dziécię,
Poznam ręki dotknieniem; ręce obetniecie,
A ja słuchem je poznam; uszy zabijecie,
Ja poznam je oddechem. — Oh! częgo wy chcecie?
Puszczajcie mnie! puszczajcie! ot już zachód słońca
A tam jeszcze tak wiele roboty do końca.
Cerkiew niby skończona, lecz kiedyż do końca
Dojdzie moja dzwonnica? Kieszeni nie szczędzę,
Lecz dziełò ku końcowi coś leniwo pędzę.
Z dzwonnicy moję dziécię prędzéj dojrzę ciebie,
Z dzwonnicy prędzéj głos mój dojdzie Boga w niebie;
A skoro się niebiosa zaścielą chmurami,
Błyskawicą zaiskrzą, hukną piorunami:
Porwę kij i od dzwonów odgonię każdego,
Niechaj biją pioruny, może który w niego
Wystrzeli, i jaskinię z jéj łotrami spali
A ciebie mój gołąbku, ciębie mi ocali.
Ha! oto już nabiegła biała, czarna chmura,
To może i mój piorun przyniosła mi która;
Puszczajcie mnie, puszczajcie" i popędził szlakiem
A Hanna jak liść drżąca została z Szulakiem.

Czyż i to sen? oh gdzie tam? już Hanna skończyła
Swoje sny, już przeczucia naprawdę zmieniła.
Płynął strumień bezpieczny i tyle przepłynął,
A na ojczystym brzegu, na swym piasku zginął;
Wracał ptaszek do gniazda i już go dochodził,
A strzał śmiertelny z ręki kochanéj ugodził:
Któż krew jego zatrzyma, któż życie odgrzeje....
O! jak nas marnie wszystkie zdradzają nadzieje:
Czyż za łzami nic Hanna na tym świecie niéma?
Z jasnemi na mogiłę wybiegła oczyma.
Zgubiła jasne oczy w gorzkich łez powodzi,
Zgubiła szczęście, już go więcéj nie znachodzi.
Na mogiłę wesoła wybiegła zaraniem,
A wieczorem wracała z rozpaczą i łkaniem.

Szulak cieszy jak może; współczuciem niedoli
Połowę wziął boleści, co w jéj sercu boli.
Cieszy Szulak swą miłą i ciesząc jéj mówi,
Jaką wielką posługę oddaje krajowi,
Jakie Rzeczpospolita przyniesie mu dzięki
Gdy on ją od zbójeckiéj uratuje ręki;
Wynajdzie między ludźmi weselsze mieszkanie
A może i na zawsze z swą miłą zostanie.
Ma pewnego znachora co ojcu pomoże,
*W trzech kla*sztorach zakupił roczne służby Boże;

Znachor leczyć a mnisi póty śpiewać będą,
Aż ojciec zdrowie, oni wesołość posiędą."
Tak Szulak trzy dni mówił, a Hanna słuchała;
Ale kiedy przez okna wronego ujrzała,
Co osiodłany kopał niespokojną nogą
I ustawnie rżał tęskniąc za panem i drogą;
Gdy ujrzała jak Szulak burkę swoję wdziewa:
Łamie ręce i tak się znów łzami zalewa,
Że Szulak chętnie oddałby i ciało i duszę,
I wolał znieść doczesne i wieczne katusze,
Jak widząc tę jéj żałość samą ją zostawić,
I to serce tak smutne, tém smutniéj zakrwawić.
Siadł i myślał, a Hanna rzekła: „O mój drogi!
Słyszysz koń niespokojny woła cię do drogi.
Jedź, trzeba abyś jechał, jedź w dobrą godzinę,
A tylko prędko wracaj, bo bez ciebie zginę.
Jedź, lżéj mi kiedy płaczę; nie patrz na łzy moje,
Jedź miły!" I wzdychając i płacząc oboje,
Nareszcie się rozstali, przyrzekając sobie
I prędko się zobaczyć, i być razem... w grobie.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Z za lasu, z za obłoku słońce szło w niebiosa,
I na świat lało ognie żywotne z ukosa;
Suszył się dzień na słońcu we mgle wykąpany
I słał sobie pod stopy zgęszczone tumany;
I słał sobie tumany i gniótł nogą białą.
Słońce złotym grzebieniem włos mu rozczesało,
Z rozczesanéj grzebieniem złotym rusej kosy
Ostatnie na pierś ziemi polały się rosy.
Zakończył las swe pieśni, i ptak kędy wola,
Leciał z pola do lasu, a z lasu do pola;
Zwierz po nocnéj wędrówce spoczynkiem się bawił,
Człowiek-robak i dom swój i dzieci zostawił,
I szedł tarzać się w prochu, toczyć ziemi łono,
I kończyć swoję pracę wiecznie nieskończoną;
Lecz nietylko na polu czekała nań praca.

Pod cerkwią kilku cieśli bierwiona obraca
I toporem je siecze, i łokciem je mierzy,
A zciosane, zmierzone wiąże w kwadrat wieży.
Do cieśli stary bednarz coraz się odzywa:
„Spieszcie bracia, niech topor wasz nie odpoczywa,
Kończcie dzieło: niechajże choć tém się ucieszę,
Że na mojéj dzwonnicy dzwony me zawieszę,
I zawieszę me dzwony i na gwałt zadzwonię,
A może się kto znajdzie co wróci mi donię.
Spieszcie bracia pieniędzmi nie żartem nadzielè,
Odkopię je z kazankiem i dam ich wam wiele;
Chowałem to na posag dla mojéj dziewczyny,
A teraz i ten posag oddam wam jedyny;
A tylko spieszcie bracia, tylko tak wysoko
Pobudujcie dzwonnicę, aby moje oko
Do niéj, do okien zamku prosto dosięgało;
Niechby choć kiedyś na mnie me dziécię spojrzało,
Niechbym choć w wielkie święto me dziécię zoba-
(czył.
Ja stary grzesznik, czemuż Pan Bóg mnie nie raczył
Karać na mojéj głowie; zabrał czasu tyle,
Nachylił dziada siwą głowę ku mogile:
Grzesznik w niewinnéj córce za swe przewinienia,
Miał jedyną nadzieję wiecznego zbawienia,

Miał Boga niewinnemi przebłagać ustami.
Wróg zabrał jemu córkę... piekło pod nogami.
Ten matâcz Szulak jeszcze ze mnie się nadrwiwa,
Jakąś szlochę cygankę, Hanną mą nazywa,
I ta się do mnie czepia; łaska nad nią Boża,
Że pokój dałem rękom, żem nie chwycił noża."

Cieślôm pomimo uszu idzie starca mowa,
Hojną ręką płacona podrasta budowa.
Starzec ciągle do zamku zwrócone ma oczy,
W ustach żale, przekleństwa, z oczu łza się toczy.
W dzień za stukiem toporów mało ich kto słyszy,
Lecz w nocy, w głuchéj nocy gdy świat się uciszy,
Te przekleństwa i żale z swą nutą żałosną
Coraz smutniéj, żałośniéj bardziéj dziko rosną,
Jak gdyby jęk przeciągły wiatru jesiennego,
Albo żałosne wycie wilka zgłodniałego.
A lud zbiega się, słucha, milcząc się przechadza:
Takie milczenie nieraz grom zemsty sprowadza.

Noc była niespokojna, szumiał wiatr drzewami
Wlókł się leniwo księżyc pomiędzy chmurami.
Starzec na zrębie siedząc na zamek spozierał,
Po swemu klął, wyrzekał, z oczu łzy ocierał.

Wiatr szumiał; starzec zaczął coraz głos podnosić
Jakby swą dziką pieśnią chciał wiater przegłosić,
I bił się pieśnią z wiatrem, co mu słowa skradał,
I przed niebem i ziemią skargi swoje gadał.
Zmęczony umilkł; oczy podniósł na niebiosy,
Bujny wiater rozwiewał srébrne jego włosy.
Rozeszli się słuchacze, co starca słuchali;
Stał sobie jeden słuchacz od innych w oddali,
Przybliżył się do starca, usiadł koło niego:
„Mój stary, rzekł, nie chcecie słuchać głosu mego
A ja mówię, że w zamku waszéj Hanny nie ma:
Pan wam pozwala zamek własnemi oczyma
Przejrzéć, to jutro ze mną na zamek pójdziecie."
„Ja jutro pójdę, a wy dziś ją wywieziecie!
O wywóźcie! okryjcie! otumańcie ze mną,
Kiedyś na jasno wyjdzie wszystkie wasze ciemno,
Kiedyś Bóg z twoim panem, z tobą poganinie,
Obliczy się w godzinie, zapłaci w godzinie."
„Co ja wam winien, sami przyszliście do pana.
Ja wiem czyja to sprawka: to tego szatana,
Tego Szulaka, wszak to on do waszéj dziewki:
I wam samym nie tajno że smalił cholewki:
Może ona u niego, a katże go zgadnie."
„O! niechaj pomsta Boża na was wszystkich spadnie

Równie ty jak on dobry: on temu dni kilka
Porwał mnie i wiózł z sobą jak w kapkanie wilka.
Nie krzycz, oddam ci córkę, czekaj tylko chwilkę,
Ot jednę jeszcze milkę, jeszcze jednę milkę,
Jeszcze milkę, i jeszcze stanęliśmy przecie
W futorze Antonowym. Pytam gdzie me dziécię.
A wtém jakaś cyganka na szyję mi skoczy:
Dlaczegoż do niéj wioząc nie wydarł mi oczy!
Może ślepy... oh gdzie tam! gdyby mi zostało
Samo serce, i toby me dziécię poznało;
Me serce swoje śpiewa, w zamku twa rodzina"...
Jeszcze stary coś gadał, ale już Arona
Nie było;... już gdzie indziéj nie żartem on spieszy,
A czart się nowych plonów oczekując cieszy.

Na zachód pochylone słońce zkosa świeci,
Kurz ciągnie się po drodze: to Szulak tak leci,
Między zielone lasy, między złote żniwa,
A lecąc tak do konia swego się odzywa:
„Hop hop! hop hop mój wrony, już słonko spoczywa,
Hop hop! hop hop na zamek pilne niesiem rzeczy."
Musi i pan starosta mieć się już na pieczy,
Oburącz chwycić korda by odwrócić burzy,
Inaczéj Ukraina we krwi się ponurzy.

Dość tam panie starosto hulać, bankietować,
Trza iść krzywego tańca na polu tańcować...
Nie masz rady: rzuconą głownię w serce lochu
Musim albo zagasić, lub zginąć od prochu.
Zagasim, nie na darmo w Motronach gościłem
Nie na darmo i wino i miód z niemi piłem:
Za miód, wino przepili swoję myśl i wolę.....
Jutro nie nasze, ruszym na czerwone pole,
Ruszym mój wrony; co ci, spotykasz się czego?
Może co złego czujesz? Nic nie czujesz złego,
Ale ci się nabiło piasku pod kopyta;
Łzy tobie z oczu cieką? to nie łzy, lecz rosa,
Z przydrożnéj niwy bieżąc uchwyciłeś kłosa,
A cała niwa rosą jak deszczem okryta.

Słońce się przechyliło za dębowe gaję,
Tuman w dolinach, w polu wszelki ruch ustaje.
Samotne szumią kłosy, gwiazdy w niebie świecą,
Echa ze snu zbudzone z odpowiedzią lecą:
A czy się tu dwa echa jednym głosem bawią?
Czy wrony w swym pośpiechu po dwa naraz chwyta?
Ani się tu dwa echa jednym głosem bawią,
Ni wrony w swym pośpiechu po dwa naraz chwyta,

Lecz od rozstajnéj drogi jakiś jeździec goni;
Biały koń jego, mało w świecie takich koni,
A jeździec, o! i takich mało w świecie ludzi.
Opięty czarną burką, którą wiatr rozwiewa,
Nieraz głową przydrożne dorównywa drzewa.
Ratyszcze w jego ręku z masztowego lasu (*),
Bez stali, czy téż z stalą zczerniałą od czasu.
Szulak chciałby go przebiedz i zajrzéć mu w oczy;
Choć wrony się wyciąga, białą pianę toczy,
Jednak jeździec po przedzie, jak kroczył tak kroczy.
Księżyc taki wesoły wstąpił na błękity:
Tam gwiazdy się paliły; obejrzał się wkoło,
Noc z tumanu pogodne odsłoniła czoło,
Błyszczą stawu zwierciadła, błyszczą zamku szczyty,
Błyszczy się szlak i pole; razem nade szlakiem
Olbrzymi jeździec białym zatoczy rumakiem
A wrony się na wszystkie cztery utknie nogi.
Nim przywstał, tylko własny cień czernił u drogi,
Ale nigdzie widziadła; zkąd, po co przybyło,
W Szulaka duszy ciemno, smutno się zrobiło...

Otóż i miejska brama; w oknach światła gorą,
Krzyże cerkwi poświatę od księżyca biorą....

(*) *Ratyszcze* wyraz miejscowy, drzewce od dzidy.

Ach to cmentarza brama! Pod krzyżem na grobie
Stoi stary Łużyński i tuli ku sobie
Gromadkę swoich dzieci; krew z ran mu się toczy,
Spada na dziatwę czoła i lica im broczy.
Oczy zamknięte siny z ust płomień się świeci.
Ujrzał Szułaka, jęknął „dzieci moje dzieci!!!"
Wrony rwie się, szaleje i pędzi w bezdroże;
Szulak go co sił trzyma i wstrzymać nie może.
Wpada na leśną drogę, pędzi dali, dali,
Póki się do futoru swego nie dostali;
Dostali się i wrony stanął pod wierzbami,
Szulak zsiadł i na wierzbę zarzucił cuglami.

Pod wierzbami krynica żywym zdrojem bije,
Kobiéta przy niéj stói w zdroju nogi myje;
Czerpnęła wody dzbankiem, i do chatki wraca,
A jasny księżyc ścieżkę poprzed nią wyzłaca.
Szulak pospiesza za nią, woła: „Stójcie matko!"...
Ot chatka, lecz kobiéta gdzieś znikła pod chatką.
W chatce ciemno i Szulak dostanie krzesiwa
Wykrzesze ogień. Jakaż pustka i ruina!
Rzucił ściany tak białe, dziś pleśń je okrywa,
Kuna z rozwalonego skoczyła komina;

Przez dach zapadły deszczu jezioro nalało;
Żółw' świszczy kędy łoże miłéj ciotki stało.
Zagasło jedno słonko, a już śmierć dokoła.

Jak się nie smucić, kiedy zewsząd smutek woła,
Nie płakać, kiedy łzy się cisną nam do oka;
Choćby twe serce twarde było jak opoka,
Z opoki najobfitsze wytryskają zdroje:
Przyjdzie twój czas, wytryśnie łzami oko twoje.
Do łez niezbyt nawykła Szulaka powieka,
A jednak z ócz się jego łez polała rzeka:
Tutaj wyrósł, sierocie tu Bóg błogosławił,
Tu miał matkę nie ciotkę: dla dworu zostawił
Samę ciotkę, i dworskich zdradą, ciotka zginie;
Dla miłéj chatkę rzucił, i chata w ruinie!

Wrony zarży, i czegoż wrony pana wzywa?
Szulak swe pistolety z zapasa wyrywa,
I sążnistym pomiędzy chaszcze sadzi krokiem:
Wrony w walce z wilkami. Zmierzył Szulak okiem
I poleciał strzał jeden, i poleciał drugi:
Jeden się wilk podesłał wronemu jak długi,
Wyjąc; drugi się powlókł, spocony, skrwawiony,
Nosząc bokami, nozdrza chłodzi sobie wrony.

Wrony się tarza, pasie; Szulak w myśli tłumie
Coraz i coraz w głębszéj zatapia się dumie.
Wyorał on, uprawił swego losu pole,
A czart przyniósł nasienie i rzucił mu w role:
I czarci posiew rośnie coraz to bujniejszy,
I Szulak każdodziennie smutniejszy, nudniejszy.
Nie masz pszczołki co taki miód do ula niosła,
Bez ciotki gospodarka z dymem na wiatr poszła;
Gdzieś blizkie czarcie żniwo, zewsząd czat się jawi,
Grozi blizkie nieszczęście kto i jak wybawi?
Zachodzą widma drogę, dlaczegoż zachodzą?
Może śmierć i nieszczęścia jego głowie godzą?
Gdybyżto jego głowie, a może jéj głowie!...
I poczuje jak coraz przebieży go mrowie:
Otrze zimny pot z czoła, wkoło okiem rzuci...
Krynica spiesząc z gajem wierzbowym się kłóci,
A nad krynicą znowu taż postać kobiéca;
Księżyc jasnym promieniem oświetli jéj lica.
Ach to ciotka! „O ciotko! co wy mi niesiecie,
Ciotko rodzona matko czego się kryjecie;
Mówcie, uczcie mnie matko." Darmo prosi, wzywa,
Echo tylko do niego z pod wierzb się odzywa.
Dobiegł krynicy, cichy tylko blask miesiąca
Złoci wierzby, w krynicznéj fali się roztrąca.

Mając kamień na sercu, bijąc się z myślami,
Resztę nocy przechodził Szulak pod wierzbami.
I dzień przechodził; słońce rzucało niebiosa,
Ptak gałązkę poruszył, i wieczorna rosa
Upadła mu na czoło. Rosą orzeźwiony
Przypomniał sobie zamek i że czeka wrony.



II.

Pan starosta się bawił ze swoją drużyną,
A było tam wszelakie jadło, miód i wino,
I muzyka, i śpiewy, i płacze i śmiechy,
I hulanka i pomsty wołające grzechy;
I wszystko jak zwyczajem pana Kaniowskiego,
Męża niesfornych myśli, serca nadpsutego.

„*Laudetur Jesus Christus.*"— Co tam za łacina,
Zawołał pan starosta — „Fratra Bernardyna,
Excelentissime fortuna wam darzy
Wielkopostnego sługi kwestarza kwestarzy."
„Szczególniejsze subjektum! a niech się waść zbliży.
O bracie wielkopostny, z jednych twoich krzyży
Byłaby polędwica na twój konwent cały.
Próżniaki! wy nie Bożéj pilnujecie chwały,
Ale kufla i misy; opasłe wieprzysko,
Na coś ty"—„Jasny panie! wam na pośmiewisko

Ale Bogu na chwałę; nie każdy wydoła
Excelentissime jak wy, w pocie czoła
W trzeźwości i skromności wieść pobożne życie."
„Skórka na bóty, kwestarz! a czy wy słyszycie
Jak on sobie z nas szydzi"—„Nie, wcale nie szydzi,
Ale jego prostactwu tylko się tak widzi:
Kto taki pan jak waszmość a naparstkiem pije,
Zjada takie porcyjki, taki u mnie żyje
Jakby anachoreta"—„Ha! gracza patrzajcie,
Sprobujemy waszecia: bezdenko podajcie.
Musisz spełnić do kropli, inaczéj za wrota
Kundlami ciebie dworska wyszczuje hołota"—
—„Niech nas Pan Bóg od takiéj infamii strzeże."
Wnet przyniesiono kielich, który naraz bierze
Królewski garniec, (bezdenkiem przezwany
Że podstawę miał zbitą); jak oko nalany
Podano kwestarzowi: przyjął go bez wstrętu,
Od ust nie odrywając wychylił do szczętu:
„Deo gratias, wyrzekł, z gardłem odświeżonym
Terazby się człek spotkał z indorem pieczonym,
Z półtuszką baraniny, i misą bigosu..
Wszakże jasnemu panu nie uskąpię losu,
Gdy jak o tę przekąskę, tak też na podziękę
Poproszę, by bezdenko znów dano mi w rękę."

—„No łepskiś panie bracie! jednak mój piwniczy
Codziennie takich gości, jak waść, mi nie życzy.
Jedzenie na stół!"— Natychmiast wniesione
Ogromném jadłem, duże misy napełnione.
Zasiadł do nich Bernacha, i z miejsca nie ruszył,
Aż co do kąska każdą z tych misek osuszył:
Osmoktał palce, wziął bezdenko w rękę,
I wychylił go do dna, panu na podziękę.

„*Ago gratias* za mnie: teraz może konwentowi,
Miłość wasza, swéj także łaski nie odmówi,
Jaki półbeczek miodu, wosku centnar drugi,
Tuzin faseczek masła, wieprzaków dwa cugi,
Parę łasztów pszenicy, a na piwsko, słodu
By *fratres* nie zginęli od chłodu i głodu,
Półsetków choć półkopy, baranów sztuk dwieście."
—„Hola bracie! cóż przy mnie zostanie nareszcie!
Dość waści, gdy ładunkiem napełni się bryka,
A jeszcze na podprzążkę dostaniesz konika,
Tylko go sam zaprzężesz; teraz oto z nami
Musisz jeszcze podzwonić temi naparstkami."
—„Sługa waszéj miłości, jak trzeba to trzeba!!
Nie będziesz, mówi pismo, za próg rzucać chleba:

Wszakże i wino chlebem. Niedawnemi laty
Czytałem, że jest pewny kraj bardzo bogaty,
Gdzie rośnie samo wino; tam ile im trzeba
Umieją ludzie z wina przyspasabiać chleba
Ergo wino jest chlebem; a więc ten dar nieba
Sprzątajmy z uczciwością."—„A jaki uczony
Moralista! nie same baranie ogony
Przewozisz do konwentu. No mój Salomonie,
Zaczynam mój naparstek, ale w twoje dłonie."
I zaczęli, i poszedł naparstek koleją,
Wymierny, co go ledwie butelką naleją,
I chodził i powracał i wychodził z nowa,
Aż się niejedna dymem zakurzyła głowa.

Doniesiono, że bryka już naładowana.
Bernacha wstał, i pańskie uścisnął kolana:
Wyszedł. Stajenni wiedli nie konia, lecz czarta;
Kwicząc, bijąc, kąsając, bestyja uparta
Pięła się dębem w górę, skakała na człeka.
Stajenni z wielką trwogą jak można zdaleka
Ciągnęli, napędzali; starosta wesoły
Śmiał się na ganku. Bernach zakasawszy poły
Rzekł do starosty: „Szkoda waszmość pana,
Że tak przy jego stajni służba źle dobrana:

Tyle drabów, a każdy prawie do niczego."
Poszedł, i na bok trącił tego i owego,
Chwycił konia za uzdę koło saméj szczęki.
Koń poczuwszy pod jakiéj władzę przyszedł ręki
Struchlał, i szedł jak diécię; przywiodłszy do ganku
Rzekł *pater*: „musisz jeszcze grzecznie mój kochan-
(ku,
I za chléb podziękować i pożegnać pana."
I wściągnął na dół rękę i koń na kolana
Upadł raz jeden, drugi:—„Teraz to już mogę
Benedicite prosić waszmościów na drogę."

„Za to żeś mi gracz taki, to przy moim boku
Zostaniesz na pół roku; konwent na pół roku
Sustentacyą całą natychmiast odbierze:
Waść weźmiesz pod swój dozór moje masztalerze."
—„*Serenissime* lepiéj niech wezmę piwnicę."
„Dobrze! więc cię podwójną godnością zaszczycę:
Masz piwnicę i stajnie; a teraz panowie
Wypijem piwniczego, koniuszego zdrowie"
I rzęsno pili zdrowie; wtém przed panem stanie
Aron i jakieś w ucho poda mu szeptanie.
„Co! to ona już u nas?"— starosta zawoła,
Rzuci na stół kielichem i skoczy od stoła.

Cudniéj nad wszystkie gwiazdy jutrzenka się
(świeci,
Cudniéj nad wszystkie kwiaty róża się rozkwieci,
Lecz nad kwiatów królowę, nad gwiazdę miłości,
Cudniéj Hanna rozkwita w piękności, młodości.

Po Dnieprowéj zatoce krąży łabędź młody:
Błogo Hannie wiek płynął wśród cichéj zagrody;
Groźny orzeł po Dnieprze powlecze oczyma:
Dla młodego łabędzia swoich wód już niéma.
Kaniowski strasznym wzrokiem po Hannie powle-
(cze:
Porzuci ona ojca, domu się wyrzecze.
Łabędź na cudzych wodach z bojaźni ochłonie,
I Hanna bezpieczniejsza nie w rodzinnéj stronie.
Orzeł łábędzia z góry znów obwiódł oczyma:
Dla wzroku Kaniowskiego skrytego nic niéma;
Łabędzia orzeł porwał i uniósł za chmury,
Hannę Kaniowski porwał i osadził w mury.
Łabędź już nie powróci na rodzinne wody,
I Hanna nie powróci do miłéj zagrody;
Łabędzia się rozwieje duch po czystém niebie,
Hanna żyje i płacze, płacze nie tak siebie,
Jak tego, co tam od niéj odbił się daleko:
Nie wié, że na nich trumna już podnosi wieko.

Na zielonéj kwiatami usłanéj mogile,
Zebrały się wesołe dziewczęta motyle.
Krasne dziewczęta! rwijcie równie krasne kwiatki
Bo nie uplotą wieńca na czoło mężatki.
Tańcujcie, skrzydłem wiatru młodość nasza lęci:
Któż wié, jaka z kolebki gwiazda nad nim świeci.
Hanno! gdy twoja matka urodziła ciebie,
Jedna tylko błyszczała gwiazda w całém niebie,
I ta na twój dom spadła; potém jak noc cała
Z piorunami i burzą ulewa się lała,
Gwiazda krasę, ulewa te łzy tobie dała.

Na pośrodku komnaty był stół cyprysowy.
Hanna ku niemu z płaczem nachyliła głowy
I łzami polewała szczerzéj, niż w téj dobie,
Kiedy był drzewem śmierci i wzrastał przy grobie.
Łzy doli nie zmieniają, sercu ulgę niosą;
Biada! kto wśród nieszczęścia suchem strzela okiem:
Serce jego jak ziemia nie zwilżona rosą
Skamienieje, popęka. Czy boleści chmura
Strumieniami łez z serca Hanny się wylała,
Czy nadzieja tęczowém skrzydłem przeleciała,
Kędy wprzód sama rozpacz błądziła ponura;
Że Hanna odetchnęła, że zpod jéj powieki

Zabłysnęły promienie pogodnéj źrenicy
Jak słońce z za obłoku czarnéj nawałnicy.

Okno było otwarte, w oknie Hanna siada.
Z okna widok rozległy na miasteczko pada,
Na cerkiew ukończoną i na zrąb dzwonnicy,
Na któréj toporami siekli siekiernicy.
Przy siekiernikach właśnie do zamku zwrócony
Stał sobie jakiś starzec na belkę schylony;
Przepatrzyła godzinę Hanna, jednę, drugą,
Starzec stał; i któż zgadnie jakby on stał długo,
Gdyby się do nieszporu nie ozwały dzwony.
Podniósł się, schylił czapkę, ku cerkwi się zwrócił;
A wtém wieczorny promień jasném światłem rzucił,
Dzwonnica jak na dłoni. Hannie się wydaje
Że to jéj ojciec; tak, on, chód jego poznaje,
Poznaje włos co srebrzy koroną u głowy,
Ostatnie jego sobie przypomina mowy;
Tak, on to! Ach! dlaczegoż pierwéj nie poznała,
Wyciągnęła ramiona, na nogi przywstała,
Schyliła się, lecz darmo: ojca już nie było,
Na pustym zrębie słońce żałobnie świeciło.

Słońce zaszło, wieczorne żuki zabrzęczały,
Błysnęły ognie, w bramach straże się ozwały.

W pięknéj komnacie Hanny, światłością przymgloną,
Dwie wonne kryształowe lampy cicho płoną.
Cicho płoną i pokój zanoszą do duszy:
Wypoczynek, za którym przyjdzie do katuszy.
Zaskrzypiały podwoje i Hanna pobladła;
Jeśliby jéj mur nie wsparł na ziemięby padła.
Oto wróg zdrajca Aron przed nią się pojawia
I z uśmiechem, czułością te słowa przemawia:

„Dlaczego Hanno płaczesz? zapewne dlatego,
Że z lepianki pan przeniósł do zamku swojego,
Że dał ci na mieszkanie swe pańskie komnaty,
Przyniósł ci do wyboru najcudniejsze szaty,
I jeszcze niespokojném sercem przemyśliwa,
Czy wśród takiego zbytku na czém ci nie zbywa.
O miła Hanno! póki chce ci szczęście służyć
Umiéjże go rozumnie na swą korzyść użyć."
„Chcesz mego szczęścia, puść mnie na wolność (Aronie!
U was taka hulanka, wy tacy weseli,
A mnie serce się pęka, oko we łzach tonie.
Chceszże me jęki miaszać z głosami kapeli,
Chceszże słuchać mych przekleństw; Aronie! Aronie!
Mam dukacze, korale, mąż ma trzody, konie;

Ma złota trzosy: trzody, konie, złoto
I wszystko co ma tylko odda ci z ochotą,
Bo ja dla jego serca więcéj niż rodzona,
Bo nam nie żyć bez siebie."

Chytra twarz Arona
Uśmiecha się złośliwie, a on znowu prawi:
„O moja krasnolica, człek cię nie wybawi
Z za takich murów; patrzaj jak te mury
Gęstą wartą okryte od dołu do góry;
Gdybym był ptakiem, niósłbym cię mojemi pióry,
Nie mam piór, więc spokojnie zgódź się z swoją dolą:
Widać Pan Bóg chce tego, idź za jego wolą."
„I na cóż to Judaszu chcesz mnie naprowadzić?
Jaż mam odrzec się męża, wiarę jego zdradzić?
O! piérwéj na me oczy ziemi nasypiecie!!!
Powiédz temu coć posłał, że gdyby na świecie
Tylko on i ja byłam, i tak...." — „Miłe dziécię
Co ci jest, bój się Boga, jaka twoja mowa."
„O! ja boję się Boga chociam ja niewinna:
Ty drżyj Judaszu, piérwsza cię powinna
Spalić chmura.... Śmiejesz się, bogdaj te łzy moje
Poszły na potępienie dla ciebie, twych dzieci!
Jak ty mnie, niech tak dzieci zaprzedają twoje.

One widzą, że Pan Bóg karze ich za ciebie,
Klną dzień swojego rodu i ciebie i siebie."

Jak jodła gdy ją pożar płomieniem obwieje,
Twarz układna Arona zżółknie, poczernieje:
Drży ze złości, a jednak twarz łamie do śmiechu,
Złamał twarz i szatański na niéj śmiech zastyga,
Jak pieczęć na sąd Boży, śmiertelnego grzechu.
I porywa się z miejsca, do Hanny podbiega
I drwiąc mówi: „Zaśpiewasz, zaśpiewasz inaczy,
Gdy z tobą pan Kaniowski sam pomówić raczy,
Gdy jasny miecz dobędzie powiész jemu duszko,
I tulić się do niego będziesz pod serduszko.
Twój Szulaczek w kajdanach dawno u nas chodzi,
Dośpiewasz się aż strzałka w serce mu ugodzi,
Dośpiewasz się aż główka jak makówka zleci."
„O Boże! woła Hanna, ratuj mnie o Boże!!"
Otwartém oknem głos ten rozległ się po dworze,
Przeszył duszę Szulaka co z wronego siada,
I pochwycił za kindżał i na wschody wpada:
Biada tobie Aronie, o! po stokroć biada.!!!

. . . .

. . . .

Gdy Hanna w téj bogatéj komnacie mieszkała,

Widząc jéj cudną piękność i łzy które leje,
Mniemałbyś, że oglądasz więzioną nadzieję.
Głęboka boleść, żałość, każdy kąt zabrała,
Wszystkie powietrze było przepełnione łzami;
Lecz kiedy zajrzał promień zachodniego słońca,
Zdało się gniewy niebios dojdą swego końca
I nadzieja znów błyśnie złotemi skrzydłami.
A teraz jaka dziwna, jak straszna odmiana!
Brzęczą pobite szyby, strzaskane zwierciadła,
Lampa jedna się pali, a druga upadła
Na hebany, i tleje wszystka krwią zbryzgana;
Drogocenne obrazy, obicia zerwane,
Upadły w proch i nagą odświeciły ścianę;
Stół cyprysowy z nogą wykręconą leży,
A pod stołem dwa żrą się brytany zamkowe.
Otó zwycięzca brytan wlecze rudą głowę,
Wyskakuje na łoże białe uścielone.
A wtém wiater podmuchnął przez szyby stłuczone:
Zgasły lampy, noc głucha, tylko słychać czasem
Jak zajadłe brytany tłuką się z hałasem.

III.

Głęboko na dnie wieży, głęboko jak w grobie
Długim, sklepionym, kędy promień słońca
Ledwie raczy zawitać, znowu mrok bez końca;
Gdzie taka straszna cisza, że się zdaje tobie
Że słyszysz ruchy cieni błądzących po ścianach:
Szulak syn stepu leżał okuty w kajdanach.
Jemuż leżéć co latał na przegon z wiatrami,
Co oddychał niw naszych wonnemi kwiatami,
I oddychać zgnilizną i patrzeć w te ściany,
Takie czarne, wilgotne i dźwigać kajdany!

Nieraz nie mogąc wytrwać ogniom swego łona,
Gangrenie duszy, myślał Szulak, że już kona;
Niekiedy się porywał, więzienie przebiegał,
A za nim długi odgłos kajdan się rozlegał;

To znowu chcąc zaczerpnąć powietrza świeżego
Darł się po gzémsach, gdzie tylko od świata
Jak sieć pajęcza jedna przedzielała krata.
Chciałby tę sieć potargać; już ramiona jego
Wplątały się pomiędzy żelazne ogniwa,
Wstrząsły, lecz się ogniwo żadne nie rozrywa.
Ale za tém wstrząśnieniem krew zbyła płomienia,
I on spokojnie usiadł na gzémsie z kamienia,
I spoglądał za kratę: jakiż tam świat za kratą?

Jakiż tam świat za kratą?... w oblężenia dobie,
Poległych tu chowano: cichy grób przy grobie.
Kronika téj krainy niema, lecz prawdziwa,
Którą i bujny oset i piołun pokrywa.
Lud ją czyta jak karty jasno napisane,
Kościół czci; i corocznie pomiędzy te groby
Śpiewa w imię narodu wielki hymn żałoby.
Jakże miło tu spocząć! Czyny powtarzane
W sercu i ustach braci przejdą w późne lata:
Jedyna cnotliwego na ziemi zapłata.
A czy tu kiedy spocznie? czy zasługi swemi
Kupi wieczystą pamięć sam idąc do ziemi?
Krwi swojéj dosyć przelał, lecz ta krew przelana
Mniéj dla bliźnich, a więcéj dla rozkazów pana.

Dziś gdy krajowi całém sercem i ramieniem
Zaczął służyć, spotkał się z kajdany, z więzieniem;
Ale nie tak od kajdan, nie tak od niedoli
Serce się jego krwawi, dusza jego boli:
Jakże ten skarb jedyny, co tak skrycie chował,
Wróg zdradziecko podejrzał, napadł i zrabował!
Rozdarta napół dusza na cóż mu się zdała,
Bez Hanny cóż mu życie, ojczyzna, i chwała.

I Szulak dumał, wzdychał; wtém jego dumanie
Przerwało zbrojnéj straży brząkanie, stąpanie;
Szła ona do więzienia. Zebrani sędziowie
Siedli o winowajcy wyrokować głowie.
Wchodzi Szulak, spoziera na ratusz zebrany,
Zapala się i mówi brząkając kajdany:

„Jeszczem nie umiał krzyża na piersiach położyć,
A już umiałem moję szablę nakrzyż złożyć;
Nudno mi było doma, na stepie wesoło:
Na stepie orły grają i wichry tańcują,
Orły wichry o stałéj sławie wyśpiewują.
I koń na stepie raźniéj w górę niesie czoło,
I skacze po mogiłach, kędy rosną kwiaty,
Niby tych dusze, co tam spoczęli przed laty.

„Nigdy się hajdamaka w jarze nie wysiedział,
Wiater mi o nim doniósł, a i wilk powiedział;
I kiedy wsi i grody we śnie cichym spały,
Wkoło mnie grzmiała szabla i kule świstały.
O! niechaj śpią, myślałem, nastaną te czasy,
Gdy mi nie będzie wolno z wrogiem iść w zapasy,
Gdy zima włos pobieli i poradli skronie:
Jak ja dziś, oni w mojéj wyskoczą obronie.

„Po Łobaczowskim lesie, Łebedyńskim lesie,
Dwanaście szajek rozbój i grabież rozniesie;
Zebrawszy mych mołodców, ruszyłem za niemi:
Szable co dzień dzwoniły, krew ciekła do ziemi.
Krew ciekła przez dni wiele, umilkło szczękanie,
Puszcza cicha jak dawno, bo pustką zostanie.
Po pustéj puszczy tylko huka nasze „hura"
I kracze kruk, co poniósł w naszę drogę pióra.

„O dlaczegoż w tych lasach głowa mi nie spadła
Niechajby jadł ją robak, zgryzota nie jadła;
Niechajby ją kruk szarpał: pod kruków szponami
Po stokroć lżéjby było niż z temi myślami;
I nie stałbym tu przy was, i nie drżał o ciebie,
Coś z sercem duszę moję zabrała do siebie.

„Aby nagrodzić panu, byle przyszła pora,
Jeszczebym mu ochotniéj służył niźli wczora;
Choć i tak kędy skinął leciałem bez trwogi:
Czy to chciał dumnéj szlachcie harde przetrzeć rogi,
Czy zajazdem dzierżawę swych włości poszerzyć,
Biegłem piérwszy i w szablę umiałem uderzyć.

„Doczekałem się przecie, Bóg dawał mi żniwo,
Za którém szlachcie ze mną nie byłoby krzywo,
Za którém w nowe pańskie przechodząc fawory
Grzechbym mój wyspowiadał, odpuszczenia szukał.
Ten szatan wszystko zepsuł, pozbawił mnie pory,
Na zamek Hannę zabrał i pana rozfukał.
W krwi jego zmyłem ręce: cóż mi ta krew nada,
Gdy moje serce z bolu, żalu się rozpada.

„Nie dbam czy mi do kłody głowę urąbiecie,
Czy dla dłuższéj uciechy na pala wbijecie;
Bylebym tylko z siebie te zrzucił kajdany,
I nie stał na uwięzi jak pies przywiązany,
Bo jak pies oszaleję.”

Téj Szulaka mowie
Pilne ucho na zamku dawali sędziowie;

Spojrzeli się po sobie, na dane skinienia
Na nowo więzień wrócił do swego więzienia.
A oni między sobą długie tocząc spory,
Swój wyrok do późniejszéj odroczyli pory.

Czego lata po lesie kruk, latając kracze,
Czego chodzi po mieście ojciec, chodząc płacze?
Jak nie krakać krukowi, nie płakać ojcowi (*),
U tego puste gniazdo, u tego dom wdowi;
Tego dzieci pobite i w drzewo wszczepione,
Tego dziécię porwane, w zamku uwięzione.
Kruk po wodę żywiącą leci poza morza,
Ojciec idzie o dziécię pytać zamku stróża.
I pyta ojciec płacząc; stróż mu odpowiada:
„O starcze! na nic przy mnie twój płacz się nie nada:
Twoja rodzona siedzi za stołem u pana,
W drogi złotogłów, w jasny aksamit przybrana,
A przy niéj małmazya i cukrowe dania;
Ale ona łzy pije i połyka łkania.

(*) Chcesz wiedzieć wszystko i mieć wszystko, szukaj gniazda kruczego, porozbijaj głowy kruczętom, i wszczep one w gałąź przyległą gniazdu; kruk albo przyniesie wody żywiącéj i swe dzieci ożywi, albo do gniazda rzuci taki kamień, który mając u siebie, będziesz miał co zechcesz i wszystko wiedzieć będziesz. (Sekret gminny).

O starcze! nic tu wasze płacze nie pomogą...
Idźcie raczéj, a siadłszy nad rozstajną drogą
Głoście nieszczęście swoje, wzywajcie pomocy,
To może i ten zamek będzie w waszéj mocy,
A wtenczas...." Idzie ojciec swoje żale głosi,
Wiatr jego długie jęki po polu roznosi;
Biegną poczciwi ludzie, każdy swoje radzi.
Tymczasem słońce gaśnie, księżyc noc wprowadzi;
Noc wprowadzoną księżyc swym cieniem zamroczy:
Czekając zbawców, ojciec wypatruje oczy.
Skrywszy księżyc i gwiazdy noc się zachmurzyła,
Straż wołała, północna godzina dzwoniła,
Zamek spoczywał, ale w spalni Kaniowskiego
Płoną światła, i świecą jarkie oczy jego;
Bo on sam swoję piękną strzegąc niewolnice,
Sen od oczu odgania, i wolne źrenice
Jak upior na niéj trzyma; a ona, a ona
Siedzi przy jego nogach blada, zalękniona,
Nie śmié odetchnąć, nie śmié z pod powieki
Upuścić na oblicze gorącéj łez rzeki:
Rzekłbyś, żyjąca zmarła. Tymczasem powoli
Zaczął panu starosty mierzchnąć wzrok sokoli,
Aż zamierzchł, aż mu głowa na poduszkę spadła.
A poprzed jego duszy oczyma, widziadła

Zaczęły się przejawiać, snu para po parze,
Z wszetecznicami, skoczki, kosterze, kuglarze,
Obwiesie trybunalscy, kundle-sejmikowi,
Rębacze, co na wszystko i wszędzie gotowi;
Hajducy nie znający ni Boga ni wiary,
Żydzi faktorzy, pańskie trapiący ofiary,
I wielcy kolligaci pańscy, z kuflem i pieśniami.
Puszcza się w tany rzesza, a za nią z jękami,
Z płaczem, przeklęstwy, biegną dziewice zhańbione,
Wdowy z dziatkami z domów na mróz wyrzucone,
Ślepi starce bez synów, ubodzy, żebracy
Nad któremi się pańscy znęcali kozacy.
Starosta w strasznym ogniu wstydu, żalu, trwogi
Chce uciekać, lecz trumna ściska jemu nogi,
Ściska głowę; a grzechu czarna kruków rzesza
Coraz na drzewie jego żywota się wiesza,
I biedne drzewo strasznym całunem przywala.
Oh! ciężko jego duszy.... I któż się użala
Nad jego biédną dolą? Ha.... ot przed nim staje
Dwa promieniste duchy... Prześladowców zgraje
Wioną cieniem, a para promienista rzecze:
„O synu! kędyż ciebie twa ślepota wlecze!
Opamiętaj się synu, póki jeszcze pora,
Porzuć ten świat zwodniczy, a w murach klasztora

W pokutnéj mnicha szacie, we łzach i pokorzę...
Za tyle zbrodni błagaj miłosierdzie Boże.
Rzuć ten świat, i cóż tobie po tym marnym świecie?
Niedosyć ciebie jego osypało śmiecie!
Małoż przekleństw twych braci nad twą głową cięży,
Do twego serca nowych nie przypuszczaj węży;
Za jednę chwilę szału, co się skończy łzami,
Na cóż tobie na wieczność rozdzielać się z nami?
Oh! biada twojéj duszy."

I znikły dwa duchy,
Głęboki sen starosty; cisza, brzęczą muchy
Gdzieś pająkiem męczone; zegar trzecią bije.
Podniesie Hanna oczy; w jéj sercu ożyje
Zgasła nadzieja: gdzie tam? to promień zwodniczy,
Któremu anioł zguby swych blasków użyczy.
Wdziewa szaty starosty; osłoniona nocą
Wymija straże, bieży nie wiedząc gdzie, poco.

Czując świt niedaleki, rżą po stajniach konie,
Szyldwachy rozmawiają a brzęczą ich bronie,
Świergocze ranne ptastwo, a na całém niebie
Ostatnia lampa nocy, zorza się dopala.
Już Hanna na podwórzu, spojrzy wkoło siebie,

Widzi mury a straże, słyszy ranne głosy.
I mrowie ją przeszyje i powstaną włosy:
Cóż, gdy za sobą wrzaski posłyszy pogoni?
Tu jéj czuciu wypowié ten ptak wylękniony,
Który przed jastrzębiemi uciekając szpony
Rzuca się do człowieka i tuli do łona.
Musi tam być strach wielki, gdy taka obrona:
Jednę część murów agrest osłaniał jałowy,
Hanna pod jego ostre ciernie się przeciska;
Wpoją się ostre ciernie do liców, do głowy,
Strumieniami krew z liców i głowy wytryska.
Lecz Hanna wszystka w cierniach, wszystka krwią
(oblana
Woli tutaj umierać, niż wracać do pana.

Przebudził się starosta i rzucił oczyma
I postrzegł, że przy jego nogach Hanny nie ma.
Zapomniał o śnie swoim, porwał się z pościeli,
Krzyknął: czujni służalce zewsząd się zlecieli,
Zaświeciły pochodnie, rozległy się wrzaski,
Po wszystkich kątach tylko tumult, świateł blaski.
Razem tumult, blask świateł zapadną w więzienie,
Na dziedzińcach znów pustka i głuche milczenie.

Milczenie zbudzi Hannę; wstaje wystraszona,
Bieży kędy z pod ziemi jasna bije łona,
I kędy jęk i wrzawa. Światło, jęk i wrzawa,
Cały jéj błąd, całe jéj nieszczęście wydawa,
I upada na światło, i białe ramiona
Wyciągając przez kratę: „Ja tu! ja tu" woła!
Ale jéj głos przez wrzawę przebić się nie zdoła,
I ten stłumi się w piersiach, oczy pójdą słupem,
Łzy zastygną i Hanna stanie się tym trupem,
Co słyszy jak już deska zapada grobowa,
A podnieść się nie może, ni przemówić słowa.

Nigdy nie myślał Szulak po stepie hulając,
Nigdy nie myślał jasną szablą wywijając,
Że zginie w ciemnym lochu, że ku swéj obronie
Ledwie wzniesie okute kajdanami dłonie.
Nie mogło się pomieścić w Kaniowskiego głowie,
Aby Szulak tą razą nie był z Hanną w zmowie,
Aby i téj ucieczki sprawcą on nie został.
To w ciężkie się katowskie ręce Szulak dostał,
W katowskie ręce, z których się nie wydostanie,
Aż dębowe mu deski dadzą na posłanie.

Hanny pierś odetchnęła, jednak od dnia do dnia
Zdało się, że jéj życia zagaśnie pochodnia.
W końcu dzielne starania i młodości siła,
I ducha cierpiącego i śmierć zwyciężyła.
Już na jéj licach róża piękniejsza się kwieci,
Powraca siła członkom, tylko nie powraca
Ten uśmiech, co to usta szczęśliwe ozłaca.
Na oku niby wiecznie zastygła łza, świeci.
Milczy; gdyby nie święte z kapłanem rozmowy
Zdałoby się, że drogi straciła dar mowy.
Nadarmo się pan w inną stronę wyprowadził
Nadarmo dokoła niéj to wszystko zgromadził,
Co zbytek, miłość może; słowa nie szepnęła,
Ani okiem rzuciła, ni głową skinęła...
Szalał z gniewu starosta, i gorzał miłością.

Rozrywając swe troski, starosta z drużyną
Wychylał puharami po pradziadach wino,
Gasił świece kulami, łby butelkom zrywał,
Hajdukom między palce wystrzeliwał asy,
Wybijał tańcującym dziewczętom obcasy;
Lecz kiedy coraz więcéj puhara dolewał,
Ranił ręce hajdukom, a dziewczętom nogi,
Broczyły się kobierce, broczyły podłogi:

Pan się śmiał przepijając za kompanów zdrowie,
A wtém tak się zamyślał, że wsparty na dłoni
Jedną i drugą kolej puhara uroni.
„Co ci panie starosto?—jeden z grona powie—
Dalibóg tać kobiéta weźmie rozum, zdrowie;
Dogadzasz jak królewnie, jéj lamenta znosisz,
I w nagrodę ludzkiego słowa nie wyprosisz.
Czemu to nie poczynać, jak dawniéj bywało:
Ja tak chcę, niech tak będzie, i takby się stało."

„Zbudziłeś mnie mój bracie, dość mieć się na (względzie!
Przywołać mi tu Hannę, tak chcę niech tak będzie."
Weszła Hanna powolnym, ale śmiałym krokiem,
Obojętném rzuciła na przytomnych okiem
I stanęła pośrodku. „Hanno—pan zawoła—
Czy mnie kochasz mów zaraz; kochasz, do kościoła
Pójdziem w parze; nie kochasz, na cmentarz ty sama."

„Czy ja cię kocham! o gdyby przez ciebie
Pan Bóg chciał wieczném szczęściem nagrodzić (mnie w niebie,
I takbym nie kochała, nie chciała żyć z tobą.
Masz przemoc, to przemocą możesz mnie wziąć (z sobą;

Zaciągniesz do ołtarza; lecz żadną przemocą
Nie wymęczysz przysięgi, choćbyś piekł szynami
I ciągał na turturach i siekał mieczami;
I do łoża mnie możesz zaciągnąć przemocą,
Lecz śmierć z sobą zaciągniesz."

Porwał się na nogi
Pan starosta, na głowie zjeżyły się włosy;
Wisiał łuk zawieszony na jelenie rogi,
Chwycił łuk, puścił strzałę. Nigdy śmierci ciosy
Lżéj nie przeszyły serca; Hanna się posłoni
I na ręku obecnych Bogu ducha roni.
Płynie krew; pan starosta skoro krew zobaczy
Odrazu się wytrzeźwi, z żalu łamie dłonie,
Klnie siebie, towarzyszy, i w strasznéj rozpaczy
O mur zakrwawia skronie.

W tym rozkosznym ogrodzie nad brzegiem stru- (mienia
Jakiżto wzgórek różą, jaśminem ubrany,
Biała brzoza zielonym warkoczem ocienia??
Czyje zwłoki ten marmur grobowy ukrywa?
W tym cieniu, pod tym głazem Hanna odpoczywa.
Jéj śmierć — sen spokojny: zgasła jak kwiat rany
Gwałtowną burzą w piérwszym rozkwicie zerwany.

Piękna przyszła na ziemię, piekna poszła w ziemię,
I grób jéj przysłoniło piękne kwiatów plemię.
Do kwiatów przylecieli niebiescy śpiewacy,
Skowronek ze słowikiem; rzewnie pieją ptacy,
Lecz rzewniéj na mogile ojciec Hanny śpiéwa;
Biała broda falami na piersi mu spływa,
Oczy podniósł ku niebu, z piersi przytlumiony
Wydobył głos i z liry żałosnemi tony,
I z sercem go ożenił, i przez wdzięczne pianie,
Kołysał swoje dziécię na wieczyste spanie.
I kołysał je w wiośnie i kołysał w lecie;
Przyszła jesień, a za nią zimowe zamiecie,
Mrozy, śniegi, i starzec z swoją lirą w dłoni
Po raz ostatni bawił na grobie swéj doni,
Po raz ostatni śpiewał: teraz mu nad głową
Wicher śpiewa, wstrząsając białą pierś stepową.

O lżéj mu że to wicher tak śpiewa stepowy,
I kołysze, swe śniegi ścieląc popod głowy,
Niźli tobie starosto na puchach rozkoszy,
Kiedy ogień sumienia sen z oczu twych płoszy.
Twój zamek to siedlisko zbytku i rozpusty,
Jak po powietrzu stoi i niemy i pusty;
Na dziedzińcach zarasta piołun i bielica,

Rdzewieją bram wrzeciądze; klątwą uderzony
Ten gmach kiedyś się zwali na swego dziedzica.
Niechby się zaraz zwalił: wszak życia nie żądał
Nad piekło, które zawziął wiecznie nosić w sobie,
Nie cięższe to, co czeka na niego przy grobie.

Dopóki oko nasze na zewnętrznym świecie
Zawisa, jak ten motyl na różanym kwiecie:
Żyjemy roztargnieni; lecz gdy zbrodni zima
Całuny przed naszemi roztoczy oczyma:
Zmuszeni w swoje piekło patrzeć, w nasze serce,
Jesteśmy sami siebie sędzie i morderce.

Jeżeli żyje drzewo piorunem rażone,
Żył starosta, a raczéj karmił życia bole;
Zgryzoty wieczną pieczęć wyryły na czole,
Zwisły ramiona niegdyś tak dumnie wzniesione,
Poczerniały jagody, zapadły źrenice,
Niby grób, zkąd wychodzą łzy i bezsennice.

Serce zatrute zbrodnią, jak umarłe morze,
Gdzie nigdy złotéj twarzy nie obmywa zorze;
Nakryły go mgły ciemne: z nich anioł zagłady
Na wybrzeża posyła nędzę, moru jady.

Serce zatrute zbrodnią, jak pustyni łono,
Gdzie nigdy wiatr gałęzią nie chwieje zieloną,
Gdzie skwar słońca na żuzel same topi skały,
I gra padalcom, aby z szaleństwa skakały.

PAN KANIOWSKI I KSIĄDZ ANZELM.

P. Kaniowski.

Ojcze! jakżeśmy z sobą dawno się widzieli!

Ks. Anzelm.

Tak, dawno!

P. Kaniowski.

Rzuciłeś mnie w młodzieńczych lat dobie,
A teraz na méj głowie srébrny włos się bieli,
W sercu boleść i nędza! Mój ojcze! przy tobie
Jakże byłem szczęśliwy! Czemże twe przybycie?...
Pozwól, niech mi się zdaje, że znów jestem dziécię,
Że słucham twoich nauk, że matka troskliwa,
Błogosławieństwa niebios na mą głowę wzywa.
Pan Bóg mi zabrał matkę, lecz ciebie zachował...
Ojcze! jakżem ja wasze nauki zmarnował!
Tyś me czoło sposobił pod wieniec wawrzynu,
Tyś me serce otwierał na naddziadów cnoty:
Dziś moje serce gniazdem boleści, zgryzoty!
A czoło....

Ks. Anzelm.

Uspokój się, uspokój się, mój synu!

P. Kaniowski.

Co widzę?—łzą się twoja zalewa powieka!
Kiedy odemnie spólnik mych zbrodni ucieka,
Gdy cały świat przeklina, ty jeden łzy ronisz!
Na pamięć méj młodości, na rodziców cnoty,
Nie opuszczaj mnie, ojcze! ty cieniem przysłonisz
Resztę dni, które robak oszczędził zgryzoty.
Nie opuszczaj mnie, ojcze! a jeśli tu ciebie
Tylu zbrodni morowe powietrze zaraża,
Prowadź mnie—ukryję się w łachmany nędzarza,
Bylebym się mógł ukryć przed tą krwawą marą,
Co za mną krok w krok goni... Patrz! zbliża się ona,
Jéj twarz tak dziwnie piękna, jéj pierś krwią zbro-
(czona,
Wzrok taki czuły.... Nie wierz, ach, nie wierz jéj,
(ojcze!...
Ukryj mnie!—Już ramiona wyciąga zabójcze,
Chce mnie chwycić, zadławić, rzucić na dno pie-
(kła!...
Ujrzała cię, pobladła, i jak cień uciekła.
Gdybyś nie ty, czyscowe wycierpiałbym męki,
A jakie codzień cierpię, wiecznie cierpieć muszę!

Ks. Anzelm.

Synu mój! twoja boleść rozdziera mą duszę!
Uspokój się! Bóg wejrzy na twe łzy i jęki:
Jego litość bez granic.

P. Kaniowski.

Jam przez lat tak wiele
Zapomniał Boga, i Bóg o mnie nie pamięta!
Jam hańbił jego sługi, gwałcił jego święta,
Jam, jak bisurman, w jego nie postał kościele!
Jego litość bez granic, ale nie nademną:
Ja nie znałem litości nad mym bliźnim, bratem,
Byłem wrogiem sąsiadów, byłem sługom katem!
Krew niewinna o pomstę woła Boskiéj ręki!
Ziemio! surowa ziemio! rozstąp się podemną!
Duchu mój, coś tak długo jęczał w téj jaskini,
Oto twój zbójca tobie wolne przejście czyni:
Przez wyłamane kraty, rozwalone ściany,
Leć, uciekaj, mój duchu! — *(chwyta za sztylet).*

Ks. Anzelm *(wytrącając sztylet.)*

Stój! stój! opętany!
Chceszże twą zbrodnią zatruć ostatek dni moich?
Wpół wieku raz się tylko wybrałem do ciebie,
I tegoż mam śmiertelnie żałować pośpiechu?

Słuchaj! — albo zaprzestań tych zapędów swoich,
Lub już nigdy na ziemi nie ujrzymy siebie.

P. Kaniowski.

Ojcze! przebacz mi, ojcze, ostatniego grzechu!
Wiedź mnie ztąd, bo tu szatan wziął górę nademną,
Wiedź mnie ztąd, wiedź co prędzéj!

Ks. Anzelm.

Chodź mój synu, ze mną!

* * *

Któżto Poczajów pięknie z gruzów odbudował,
Dźwignął klasztor, dźwignięty bogactwy obdarza?
„Pan Starosta Kaniowski" wszelki głos powtarza;
On się w tych murach z resztą swoich dni uchował,
Nad którym ksiądz Anzelm wszechwładnie panował.
Umarł — pół wieku mija, ciało zdrowe stoi.
Czy to Bóg miłosierdzia żywy przykład stwarza,
„Czy ziemia przyjąć nie chce, robactwo się boi?" (*)

(*) Ten ostatni wiersz wzięty z Popasu w Upicie.

KONIEC.


Stanford University Libraries
3 6105 124 432 399

